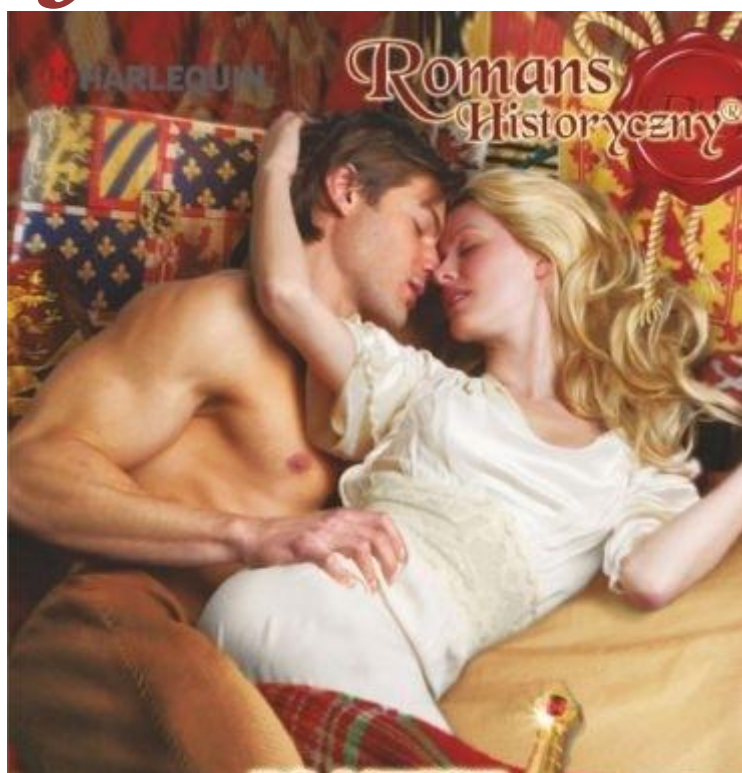




***Blythe Gifford***



***Szkocka baronessa***

# Rozdział pierwszy

*Haddington, Szkocja, luty 1356 roku*

Po dziesięciu latach nieobecności wrócił do Szkocji.

Zimna, wilgotna mgła kradła mizerne światło lutowego dnia, zalegała cieniem wokół naroży kościoła, przed którym stali. Stalowe kółka kolczugi ziębiły jego kark, angielscy rycerze, dosiadający wierzchowców, drżeli z chłodu.

Zima to zły czas na wojowanie.

Gavin Fitzjohn spojrział na swojego wuja, króla Edwarda, walecznego jak lew, symbol Anglii, znajdującego się u szczytu władzy. Ponad dwadzieścia lat temu także prowadził wojnę przeciwko Szkocji. I wówczas jego brat pozostawił po sobie syna, bastarda, z matki Szkotki.

Dzisiaj zaś Gavin Fitzjohn walczył u boku króla Anglików w Szkocji, tak jak przez ostatnie lata we Francji. Bezlitośnie siali spustoszenie wśród szkockich żołnierzy i wieśniaków, ziemia spływała krwią, obrazy rzezi nawiedzały jego sny. Był rycerzem, brał udział w wojnie. Król mu ufał.

Nie byli jednak we Francji, a Edward we własnym kraju stosował taktykę spalonej ziemi. Przez ostatnie dwa tygodnie, gdy odbili Berwick, armia króla wyrzynała w pień ludność i popielila wszystko, co pozostało jeszcze nietknięte po przejściu Szkotów.

Rumak pod Gavinem zatańczył niespokojnie. Jarzące się światłem prezbiterium, widoczne przez okna, zdawało się zapraszać do wnętrza kościoła.

Wieśniacy skupili się przed świątynią, niepewni, co ich czeka. Gavin obserwował mężczyznę, stojącego z boku ze złożonymi dłońmi i zamkniętymi oczyma, szepczącego modlitwę. Wieśniak otworzył oczy, ich spojrzenia spotkały się.

Dostrzegł strach, paraliżującą trwogę.

Żołądek podszedł Gavinowi do gardła. Miał dość zabijania.

Giermek podbiegł do króla z pochodnią w dłoni. W zapadającym zmierzchu migoczące płomienie rzucały jasne błyski na oręż, kładły upiorne cienie na rycerskich tunikach. Gavin spojrział na wuja. Dosyć już tego, przemknęło mu przez głowę.

Z twarzy Edwarda jednak nie wyczytał litości, tylko gniew. Szkoci zawarli rozejm wyłącznie po to, aby zyskać czas na przygotowania do nowej wojny. A zatem skoro lord Douglas odrzucił pokój z Anglią, Edward poprzysiągł wydać mu bezwzględną walkę. Teraz wskazał ruchem ręki na Gavina.

- Weź pochodnię - padł rozkaz. Płomienie tańczyły jak ognie piekielne. Ruchem głowy pokazał na kościół. - Podpał go.

Gavin wyciągnął rękę i giermek uniósł pochodnię. Ujął ją, jak wiele razy przedtem, ale trzymał dziwnie niepewnie i drzewce drżało w jego dłoni. A może to złudzenie wywołane pełgającym światłem...

Wieśniacy przenosili niepewne spojrzenia z niego, na kościół. Co ich spotka, jeśli stracą miejsce, w którym łączą się z Bogiem?

Płacz dziecka odbił się echem o kamienne ściany kościoła.

Gavin wyciągnął rękę z pochodnią do giermka.

- Na co czekasz? - wrzasnął na całe gardło Edward, dając upust frustracji po przegranej kampanii.

Sztorm zatopił królewskie okręty, co oznaczało brak świeżych dostaw i konieczność odwrotu. W odwecie zamierzał pozostawić po sobie spustoszoną ziemię.

- Poniechajmy. Nie walczyli przeciwko nam.

- Zostawili ziemię odłogiem. Nie znaleźliśmy żadnych zapasów!

Wśród rycerzy rozległ się pomruk potwierdzający królewskie słowa. Głód popychał do okrucieństwa.

Gavin spojrział ponad pochodnię na kościół. Podkładał ogień od Picardy po Artois. Widział belki spadające na podłogę, gorąco paliło go przez napierśnik. Rozżarzone węgle wypalały dziury w złocistych lwach i liliach jego tuniki.

Ale tym razem było inaczej. Od momentu gdy przekroczyli granicę, ziemia pachniała znajomo, zbocza wzgórz wznosiły się łagodnie pod kopytami rumaka. Kiedy podnosił oczy, widział zaciągnięte szarą mgłą niebo. I wiedział, że nieistotne, jak długo ani gdzie i z kim przebywał, tu był jego dom.

- O co chodzi, Fitzjohn! - wykrzyknął Edward. - Czy to krew szkockiej dziwki płynąca w twoich żyłach cię wstrzymuje?

Moja matka nie była dziwką! - pomyślał ze złością.

- Nie musimy tego robić - odpowiedział. - Ci wieśniacy już się nie zbuntują przeciw koronie.

- Twój ojciec by się nie zawahał!

To prawda! Ojciec robił gorsze rzeczy, ale Gavin nie zamierzał dłużej podążać tą samą drogą.

Upuścił pochodnię, która zaskwierczała na rozmięklej ziemi. Potem ściągnął tunikę herbową w barwach rodu ojca - czerwieni, złota i błękitu - i przytrzymał ją nad płomieniem, dopóki się nie zajęła.

- Być może. Ja tego nie zrobię! - Ściągnął lejce, zawrócił konia i odjechał samotnie w ciemność.

Nie był takim człowiekiem jak jego ojciec!

### *Kilka tygodni później, Cheviot Hills*

Sokolica przestępowała niespokojnie na żerdce, dziobiąc pęta, chociaż Clare nałożyła jej na głowę kapturek przysłaniający oczy. Dziwne. Zwykle nie była podenerwowana, jeśli niczego nie widziała.

- Co się dzieje, Drobna? - spytała Clare łagodnym, śpiewnym głosem, zamykając drzwi i odprawiając ruchem ręki sokolnika. Lubiła udawać, że dbanie o ptaki należy do jej obowiązków jako pani Wieżycy Carrów, chociaż przyzwoicie wynagradzany sokolnik skrupulatnie zaspokajał ich codzienne potrzeby. Sprawiało jej przyjemność zajmowanie się nimi osobiście, zwłaszcza tą akurat sokolicą. - Nie chcesz sobie polatać dzisiaj rano?

Głaskała pierś ptaka, poznaczoną charakterystycznymi ciemnymi kreskami w kształcie łez, mówiąc pieszczotliwie, aż Drobna pod wpływem dźwięku jej głosu złożyła skrzydła. Clare podała sokolicy smakowity kąsek, którego uskubnęła kawałek.

- Zepsuje panienka ptaka - powiedział stary sokolnik, ściągając posiwiałe brwi z naganą. - Nie zapoluje, jak nie będzie głodna.

- Nie po takim ździebełku. - Chodziło o coś więcej niż odrobina smakołyku. Clare łudziła się, że ptak lubi ją nie tylko dlatego, że zapewnia mu pokarm. Upewniła się, że

pęta na szponach sokolicy nie poluzowały się. - Dobrze na nią wpływa mały prezent od czasu do czasu.

- Przestanie panienka tak uważać, gdy ją straci ostrzegł sokolnik, potrząsając głową. - Jak odkryje, że może się sama najeść, nie wróci z powrotem na rękę.

Od paru lat jej to powtarzał. Poza tym jednym małym odstępstwem od reguł, Clare ściśle przestrzegała wszystkich innych. Teraz założyła skórzaną rękawicę i wyciągnęła lewą rękę. Ptak wskoczył na nadgarstek i Clare wyszła ze stajni, kierując się do murów obronnych, gdzie czekał na nią Angus, podrostek, który ledwie mógł uchodzić za giermka. Ponieważ ojciec zabrał ze sobą na wyprawę wojenną wszystkich mężczyzn, chłopak uznał, że do niego należy ochrona pozostałych w zamku kobiet.

- Przyrowadź mojego konia i psa, Angusie.

Chłopak zawahał się.

- Nie powinniście się oddalać samotnie, pani.

Doskonale to wiedziała. Podobnie jak i to, że jej nie odmówi.

- Ja i Drobna potrzebujemy trochę swobody. A mój ojciec przysłał wiadomość, że wkrótce wraca. Anglicy są już gdzieś w połowie drogi do Carlisle.

Tak naprawdę mogli być już znacznie bliżej, w okolicach Melrose, ale zmęczyło ją ciągle przebywanie w zamku. Czuła się jak ptak zamknięty w klatce. Poza tym wzgórza, okalające ich przygraniczny zamek, były przeszkodą niemal tak trudną do pokonania jak armia żołnierzy. Pojawiali się tutaj tylko ci, którzy pragnęli ucieczki od świata.

Angus przyprowadził ogara i konia, a potem przytrzymał sokolicę, by Clare mogła swobodnie zająć miejsce w siodle. Sam wspiał się na grzbiet kuca i wyruszyli. Ledwie wyjechali z cienia rzucanego przez zamkową wieżę, Clare wzięła głęboki oddech i spojrzała w błękitne, czyste niebo. Od miesięcy nie miało takiego koloru! - pomyślała.

- Clare! Zaczekaj! - rozległ się wołający głos za jej plecami.

Odwróciła głowę i zobaczyła galopującą za nimi Euphemie, córkę wdowy Murine. Zduśła westchnienie zawodu. Liczyła, że dane jej będzie cieszyć się polowaniem i wolnością w samotności. Ściągnęła wodze, żeby dziewczyna ich dogoniła, chociaż wcale nie wyglądała na osobę przygotowaną do polowania, za to u progu dojrzałości sprawiała wrażenie gotowej dzielić łożę z pierwszym mężczyzną, którego napotka. Nie z powodu

stroju - jej suknie były równie skromne jak Clare - ale choć miała dopiero szesnaście lat, prowokowała mężczyzn uwodzicielskim uśmiechem i trzepotaniem rzęs.

- Musiałam do was dołączyć - powiedziała, zrównując się z nimi. - Może nie trafić się nam taki słoneczny dzień aż do czerwca.

- Możesz ze mną jechać, ale trzymaj się blisko. Drobna długo była w klatce...

Spojrzała w niebo, wypatrując potencjalnej ofiary, ale zamiast tego usłyszała innego sokoła. Drobna przekrzywiła zakrytą kapturem głowę, jakby nasłuchiwała.

- A to co znowu? - spytała Euphemia.

Clare przyjrzała się ptakowi. Najprawdopodobniej tercel, samiec, pomyślała. Latał nad nimi, a żółto obrzeżone, ciemne, bystre oczy połyskiwały, jakby chciał ich zatrzymać.

- Nie wiem. - Nachmurzyła się, przestraszona, że dziwnie zachowujący się ptak może wzbudzić w Drobnej pragnienie wolności.

Puściła konia galopem z nadzieją, że go zgubi, i zatrzymała dopiero w połowie wzgórza, kiedy już znikł jej z oczu. Czekając na dwoje towarzyszy, czuła na plecach wiatr wiejący z południowego zachodu. Może wiosna przyjdzie wcześniej, pomyślała z nadzieją.

- Patrzcie! - wyszeptał Angus, pokazując na zamarłego w bezruchu z uniesioną łapą ogara, wskazującego kierunek.

Kilkaset metrów dalej buszowała w krzakach kuropatwa. Clare rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście zgubili tercela. Następnie zdjęła Drobnej kapturek, a wiatr niemal wyrwał jej z palców skórzany pasek pęta, którym sokolica była przywiązana do rękawicy. Uniosła ramię i ptak poszybował w górę, aż stał się tylko małym punkcikiem nad jej głową. Będzie tam czekać, aż człowiek pośle ofiarę w powietrze.

Angus zachęcił psa, aby spłoszył kuropatwę. Poderwała się do lotu, szukając ucieczki, a wtedy Drobna zanurkowała z góry, szybciej niż najszybszy rumak świata potrafiłby galopować.

Pobudzili konie do biegu i ruszyli w pościg.

Wczesnym popołudniem byli mniej więcej w połowie doliny. Przez ten cały czas Drobna polowała niestrudzenie. Zabiła jeszcze trzy ptaki. Za każdym razem Clare nagradzała ją kąskiem mięsa, a potem wkładała zdobycz do saka i oddawała go Angusowi.

Kęs mięsa ze świeżo upolowanej zdobyczy stanowił nagrodę dla sokoła, ale nigdy nie pozwalano mu jeść bez pomocy człowieka. Inaczej szybko nauczyłby się, że człowiek nie jest mu do niczego potrzebny.

Ostatniej kuropatwie udało się ujść z życiem. Clare przywołała sokolicę ostrym gwizdem i uśmiechnęła się, gdy ptak posłusznie wylądował na jej nadgarstku. Drobna zawsze do niej wracała. Zawsze.

Wraz z tą myślą nawiedziła ją inna - o codziennych obowiązkach, które zaniedbała. Nagle znikło poczucie wolności i radość. Zawróciła konia i gestem nakazała Angusowi i Euphemii jechać za sobą. Ciepło poranka zniweczyła zstępująca na dolinę mgła, która przesłaniała wzgórza i przypominała o czającym się niebezpieczeństwie. Angielska armia mogła zostać odparta, ale angielska granica była niedaleko.

Gdy tak jechali, powoli pokonując drogę, nagle niczym duch wynurzył się z mgły mężczyzna o złocistych włosach na czarnym koniu.

Nie nosił żadnych barw. Nikomu nie złożył przysięgi wierności.

Ogar zaszczekał, ale od razu zaskomlał, jakby go coś przeraziło.

Mężczyzna utkwiał w Clare oczy niebieskie jak lazur letniego nieba. Słowa uwięzły jej w gardle.

Euphemia wciągnęła głośno powietrze, a potem zachichotała.

- Dokąd zmierzacie, dobry panie?

Clare skarciła ją wzrokiem. Niemożliwa była ta dziewczyna! Będą mieli szczęście, jeśli zdołają wydać ją za mąż, zanim zajdzie w ciążę.

- Dokądkolwiek... tam, gdzie mnie zechcą - odpowiedział jej, nie spuszczać wzroku z Clare.

Policzki jej płonęły.

- Będę bronił dam - ogłosił Angus, wyciągając sztylet, jedyną broń, jaką pozwalano mu nosić.

- Nie mam co do tego wątpliwości. - Bezcelny uśmiech przeczył gorącemu spojrzeniu. - Piękny szkocki sztylet. Jestem pewien, że potrafisz skierować go przeciwko mnie, ale proszę, abyś nie wyrządził krzywdy koniowi.

Jego głos brzmiał dziwnie uprzejmie, nawet łagodnie. Gdzie jest giermek? - zastanowiła się Clare.

- Kto jest z wami?

- Nikt.

- Niebezpieczne przyzwyczajenie. - Może kłamał i za chwilę wynurzy się z mgły cała armia... Nie powinna tak się oddalać, narażając dwójkę towarzyszy. - Nie wiecie, że armia Edwarda wciąż krąży?

- Tak? - spytał, posepniejąc.

Jego wymowa myliła ją. Charakterystyczne wibrujące „r” wskazywało na szkockie pochodzenie, ale nie brzmiał całkiem jak Szkot. Z drugiej strony, w każdej dolinie, otwierającej się między wzgórzami, ludzie mówili odrobinę inaczej. Może należał do Robsonów, mających siedzibę po drugiej stronie wzgórz. A może to jeden z Teviotdale'ów, którzy związali się z Edwardem.

- Nie jesteście Anglikiem, prawda?

- W moich żyłach płynie szkocka krew, tak jak w waszych.

- Skąd wiecie, jaka krew płynie w moich żyłach?

- Sądząc po tym, jak zadajecie pytania...

Czy w uszach Alaina brzmiała równie prowincjonalnie? Skrzywiła się. Chciała wywrzeć wrażenie na francuskim rycerzu, którego gościł jej ojciec, a nie wprawiać go w zakłopotanie.

- Jak was zwa?

- Gavin. - Po krótkiej chwili dodał: - Gavin Fitzjohn.

Bastard Johna, brata Edwarda. Ale nawet bastard nosi barwy ojca, a u nieznanego nic nie wskazywało na jego pochodzenie. Żadnego godła na tarczy, nie nosił też tuniki. Zbroja, nieczyszczona i nieoliwiona przez giermka, zaczynała pokrywać się rdzawymi plamami. Zapewne nie był na tyle wysoko urodzony, aby zostać rycerzem.

- Jesteście renegatem? - Drobną zatrzepotała skrzydłami na jej nadgarstku.



Clare pogłaskała pióra na piersi sokolicy, uspokajając ją.

Lekki uśmiezek nie znikł z jego twarzy.

- Tylko zmęczonym, głodnym mężczyzną, który potrzebuje wygodnego łóżka.

Jego oczy prześliznęły się po niej, jakby zastanawiał się, czy go zaprosi.

- Cóż, tego u nas nie znajdziecie.

- Nie poprosiłem o to. Jeszcze nie.

Czyżby wyobrażał sobie, że mogłaby go zaprosić do swojego łóża? Nie powinna w ogóle z kimś takim rozmawiać, skarciła się w myślach.

- Gdybyście to zrobili, nie wypadałoby mi was zaprosić.

- Nie poproszę, dopóki nie będę wiedział, czy mam do czynienia z wrogiem czy z przyjacielem.

- A ja nie odpowiem, dopóki nie dowiem się tego samego. - Głos jej lekko zadrzał, chociaż nie chciała tego.

- Czyżbyś, o pani, miała wrogów?

- Trzech królów rości sobie prawa do tych ziem. Mamy więcej wrogów niż przyjaciół.

- Tak - potwierdził. Na zasepionej twarzy pogłębiły się zmarszczki. Zgiął dłoń, jakby zamierzał dobyć miecza. - Który z nich jest waszym?

Spojrzała mu prosto w oczy. Powinna go pierwsza o to zapytać. Ciekawe, wobec którego z nich był lojalny? Kandydata do tronu Szkocji, Balliola, niedawno zdetrozowanego, czy Dawida Bruce'a, wciąż przetrzymywanego dla okupu przez angielskiego króla, Edwarda III? Może kłamał o swoim pochodzeniu i był poplecznikiem Edwarda?

Dziewczyna siedząca na koniu u jej boku westchnęła głośno.

- To Clare, pani na zamku, a ja jestem Euphemia i nie mam żadnych wrogów.

- Euphemio! Chcesz na nas sprowadzić zgubę?

- Nic nam nie robi. Rycerze przysięgają bronić kobiet, prawda? - Zatrzepotała rękami, a potem zwróciła się do Clare: - Nie traktuj go jak wroga.

- Nie traktuję jak wroga. Staram się postępować rozsądnie! - Ściszyła głos do szeptu: - Wygląda jak niebezpieczny zbir, a nie rycerz. Nie nosi barw, ma podejrzenie brudną

zbroję z plamami rdzy. - Z pewnością nie przestrzegał kodeksu rycerskiego, jeśli w ogóle miał o nim pojęcie, dodała w myślach na koniec.

Euphemia wzruszyła ramionami i spytała nieznanego:

- Nie jesteście niebezpieczni ani podejrzanie brudni, prawda, rycerzu?

Cień przemknął po jego twarzy, przepłoszony uśmiechem.

- To zależy, jakie znaczenie nadać tym słowom... ale podziwiam, jak przenikliwie pani Clare ocenia ludzi.

W jego głosie nie zabrzmiało oburzenie. Żaden rycerz nie powinien pozwolić, aby kwestionowano jego honor. Z pewnością Alain, uosobienie cnót francuskiego rycerstwa, nie puściłby płazem takiej zaczepki.

- Na czyje ziemie wjechałem, pani? - zwrócił się do Euphemii.

- Nie pani. Zwyczajnie, Euphemia - zaprotestowała Clare, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. Wystarczająco upokarzające było to, że ojciec zniesławił pamięć matki, biorąc sobie wdowę Murine. Jeszcze gorsze, że traktował owoc lędźwi innego mężczyzny jak własną córkę. - Jesteście na ziemiach Carrów.

- Pod władzą?

- Douglasa - odparła, tym samym ujawniając, komu służą.

Wydało się jej, że to go uspokoiło.

- Trudno nie znaleźć się na ziemiach Douglasa, jadąc przez marchię. - Powoli skinął głową, ale nie wiedziała, co naprawdę myśli. - Jesteście zwolennikiem Bruce'ów?

- Cóż to za pytanie! Na tarczy Douglasa widnieje to samo serce, co u Bruce'a! Nie wiecie tego? - Ku własnemu zdziwieniu porzuciła dworską ogładę.

- Niekoniecznie. Wiem, że Carrowie są znani z lojalności wobec przebywającego na wygnaniu króla.

Dawid Bruce, król Szkocji, był więźniem Anglików niemal od dekady. W czasie jego nieobecności krajem rządzą Douglas i Stewart, przywódcy dwóch wpływowych klanów.

- Czy to oznacza, że jesteście wrogiem Douglasa i Carrów, Gavinie Fitzjohn?

- Nie, jeśli oni nie są moimi wrogami.

Ich oczy spotkały się i przez moment oboje próbowali się wzrokiem. Na pograniczu sojusze bywały zmienne jak wiatr.

- Widzisz, Clare? Nie jest wrogiem, wracajmy do domu. Przemarłam do szpiku kości i chciałabym się ogrzać przy ogniu. - Euphemia przeszła do kłusa, a nieznajomy poszedł w jej ślady.

Clare oddała sokolicę Angusowi i dołączyła do nich. Zrównała się z Euphemią, a nieznajomy został nieco w tyle i zaczął komplementować Angusa dosiadającego kuca.

- Co cię tak martwi? - spytała Euphemia, wzruszając ramionami. - Jest jeden, a nas troje.

- I tylko on jeden nosi miecz.

Kilku mężczyzn pozostało w zamku, ale jeśli wypuszczono go na zwiady, prowadzili go dokładnie tam, gdzie chciał jechać. Z drugiej strony, jeśli znajdą się w zamku, Clare będzie bezpieczna, otoczona swoimi ludźmi.

Nieznajomy podjechał bliżej.

- Angus powiedział mi, że sokolica upolowała trzy sztuki dwukrotnie większych od siebie ptaków. Dzielne stworzenie.

- Dobrze, że to mówicie. - Euphemia uśmiechnęła się do niego. - Drobną jest ulubienicą Clare.

- Więc wasza siostra ocenia sokoły równie dobrze jak mężczyzn.

Clare zerknęła na niego, nie odwracając głowy, wciąż niepewna, z kim ma do czynienia. Nie okazywał dworskich manier, jak przystało rycerzowi, ale siedział na bojowym ogierze pewnie, jak wojownik znający swoją siłę. Podchwycił jej ukradkowe spojrzenie i roześmiał się, a ona odwróciła wzrok, zaciskając zęby.

- Nie musi mi pan schlebiać, Fitzjohn.

- O pani. - W jego głosie zabrzmiał cień rozbawienia. - Żaden mężczyzna, który choć trochę zna się na ludziach, nie poważyłby się zwodzić was pochlebstwem.

- Ale też każdy rycerz ma obowiązek prawić komplementy damie. - Alain zawsze rozmawiał z nią dwornie. - Co oznacza, że nie jesteście w pełni rycerzem.

- Albo wy w pełni damą.

Zeszywniała. Coś ją zdradziło? - zastanowiła się.

- Z pewnością jestem bardziej damą niż wy rycerzem.

- Być może jest za wcześnie, aby wydawać taki osąd, pani - powiedział, skłaniając głowę.

Przełknęła tę przyganę. Dama rzeczywiście nie powinna wygłaszać takich sądów. Trudno było na tych przygranicznych ziemiach zachować wszystkie dworskie reguły, które wpojono jej w dzieciństwie we Francji.

Nie musiała odpowiadać. Tymczasem dotarli już do wieży. Pomachała strażnikowi stojącemu przy bramie, żeby ją otworzył.

- Kto jest z wami, pani?

- Znużony i głodny mężczyzna, szukający ciepłego łóżka i posiłku - zawołał, nie czekając, aż ona udzieli odpowiedzi.

Strażnik czekał na sygnał od niej. Skinęła głową.

- Otwórz bramę.

Podjechali do wieży i Clare wręczyła sakwę ze zdobyczą sokolnikowi, głucha na jego utyskiwania. Zaczęła zsiadać z konia, pewna, że młody Angus pomoże jej jak zwykle, tymczasem zobaczyła przed sobą nieznajomego. Wyrósł koło niej niespodziewanie, szybki jak sokół spadający na zdobycz i gotów do pomocy. Zawahała się. Jego wyciągnięta dłoń zdawała się zapraszać do czegoś więcej niż tylko zetknięcie się palców. Nie czekając na jej przyzwolenie, ujął ją w tali i unióśł z siodła. Nie miała wyboru. Zsunęła się wprost w jego ramiona.

Przytrzymał ją chwilę. Czowała jego pierś przy swojej i mimowolnie wyciągnęła stopy, żeby jak najszybciej dotknąć nogami ziemi. Dreszcz przeszedł po jej skórze, lekki jak muśnięcie skrzydeł ptaka. Odwróciła głowę, ale wciąż miała jego usta, wyraziście zarysowane, tuż przy swoim policzku.

Jej stopy dotknęły ziemi.

Był o głowę od niej wyższy.

Jego uśmiech nie zmienił się. Ani wyraz oczu. Zadziwiająco niebieskich pod wyraziście zarysowanymi brwiami, więzących jej spojrzenie, tak jak jego ramiona więziły jej ciało.

- Ja też chcę zsiąść. - W głosie Euphemii brzmiała nieskrywana uraza.

Nieznajomy odszedł od niej równie niespodziewanie, jak się pojawił. Clare oparła się o konia i nagle zdała sobie sprawę z tego, że przez cały czas, gdy jej dotykał, wstrzymywała oddech. Nie był nieskazitelnym rycerzem. Zapewne był niebezpieczny.

Zmusiła się, żeby odejść, nie rzucając za siebie spojrzenia. Zobaczyła kucharza i rządcę, podchodzących do niej z marsowymi minami. Może świeże mięso złagodzi ich urazę z powodu zaniedbania przez nią codziennych obowiązków.

- Pani Clare! - Głos nieznajomego zabrzmiał rozkazująco.

Odwróciła się na dźwięk swojego imienia i odezwała się, jakby uprzedzając pytanie.

- Jeśli chcecie jeść, niedługo podadzą wieczorny posiłek.

- Chcę rozmawiać z rządzącym tu Carrem.

Uśmiech pojawił się na jej twarzy. Wpatrywała się w niego triumfalnym wzrokiem.

- Już rozmawialiście...

Gavin patrzył za odwracającą się do niego plecami kobietą, nieprzystającą się uśmiechać.

Już rozmawialiście! - powtórzył w myślach. Ciasno spleciony warkocz, podejrzliwe szarozielone oczy pod prostymi brwiami - nie była to twarz nieskazitelnie pięknej damy, ale otaczała ją aura osoby przywykłej, by ją słuchano, i nie miał wątpliwości, że to ona była rzeczywistą panią na zamku pod nieobecność wojującego ojca lub męża.

Nie zdołał jej sobie zjednać, to pewne, mimo to musi spróbować. Podeszedł bliżej i nie zważając, że ustala coś z rządcą, wtrącił się do rozmowy:

- W takim razie to z wami powinienem pomówić. Pani, chcę służyć pani rodzinie.

Kąciki ust jej drgnęły, sama nie wiedziała, czy ze strachu, czy z irytacji. Gdyby odkryła, kim jest, pewnie ze strachu. Zresztą długo nie zdoła tego ukrywać. Nic jej nie mówiło jego imię, chociaż jemu wydawało się, że każdy, kto brał udział w wojnie, teraz je zna.

- Nie. - Ton jej głosu wykluczał sprzeciw.

- Dlaczego? - Bez wątpienia większość ludzi z zamku ścigała Edwarda, spychając jego wojska z powrotem do Anglii. - Dodatkowy zbrojny na pewno się przyda.

- Mamy wystarczająco własnych ludzi. Wkrótce pokonają Edwarda i wrócą do domu.

Poczuł ukłucie żalu.

- Oferuję wam swój miecz i usługi.

- Nigdy nie ustępujecie, zawsze wysuwacie żądania i uważacie, że dostaniecie to, czego chcecie!?

Chciał końca bezustannych wojen. Ale nie spodziewał się, że to nastąpi.

- Sądzę tylko, że moim obowiązkiem, jako rycerza, jest walczyć.

Przyglądała mu się badawczo, aż poczuł obawę, że domyśli się, iż w jego żyłach płynie także angielska krew.

- Więc rzeczywiście jesteście rycerzem?

Powątpiewanie w jej głosie oznaczało, że uważała rycerzy za specjalny gatunek ludzi w przeciwieństwie do mężczyzn wytrenowanych do walki, jak jej sokolica do zabijania.

- Tak - odpowiedział i szkocki akcent, nabyty w dzieciństwie, powrócił. - Jestem rycerzem. - Teraz on przyglądał jej się badawczo, gdy rozważała jego odpowiedź.

- Moja decyzja pozostaje niezmienną. Jeśli jesteście głodni, posilcie się. Jeśli chcecie zostać, śpijcie w sieni. Ale jutro musicie opuścić to miejsce.

Skłonił się przed nią, gdy odchodziła, wdzięczny za chociaż jedną noc pod dachem. Przepelniony gniewem i desperacją, krążył pośród wzgórz, ukrywając się zarówno przed Szkotami, jak i Anglikami.

## Rozdział drugi

Euphemia pobiegła za nią, gdy Clare wchodziła do sieni.

- Nic dziwnego, że wciąż jesteś niezamężna. Pojawia się dzielny mężczyzna, a ty potrafisz go tylko obrażać.

- Mówisz, jakbym miała podciągać spódnicę na widok wszystkiego, co nosi nogawice. - Jej matka tak robiła, nic dziwnego, że i ona uważała to za normalne.

Euphemia wzruszyła ramionami. Miała świadomość swojej pozycji i tego, kim jest. Jej matka była towarzyszką życia barona od dziesięciu lat, ale nigdy nie zostanie jego żoną.

- Co w tym złego?

- Jest bastarden, nie służy żadnemu panu. Może nawet został wygnany z własnego kraju. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie zamorduje nas w naszych własnych łóżkach. - Jeśli tak się stanie, to ona, Clare, będzie temu winna.

- Cóż, ja się zachowam przyjaźnie, jeśli ty nie potrafisz.

- Nie, Euphemio. Nie chcę cię widzieć noszącą jego bękarta, gdy wyjedzie. Pójdiesz teraz do kucharza spytać, czy nie potrzebuje pomocy przy kuropatwach.

Dziewczyna uśmiechnęła się i odeszła, nic nie mówiąc. Clare zazgrzytała zębami. Próbowwała zaprowadzić tutaj jakiś porządek, ale Francja i wszystko, czego się tam nauczyła było tak zupełnie inne. Dzikość tych wzgórz przenikała wszystko i wszystkich.

Ignorowała go, gdy zjawił się w Wielkiej Sieni na wieczerzy i zasiadł na odległym miejscu. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się dobrze wśród zbrojnych.

Euphemia pochyliła się nad nim, nalewając mu zupeł, i otarła się piersią o jego bark. Clare zacisnęła dłonie w pięści, Fitzjohn złapał jej badawcze spojrzenie i dla odmiany on oszacował ją wzrokiem, jakby potrafił widzieć nie tylko przez ubranie, ale i zajrzeć do jej wnętrza.

Nie był wart zainteresowania damy. Odwróciła wzrok i utkwiała spojrzenie w niewielkiej tapiserii, którą podarował jej Alain.

Alain, hrabia Garencieres, przybył do Szkocji przed rokiem, wraz z żołnierzami i pieniędzmi, mającymi pomóc w prowadzeniu wojny z Anglią. Jego obecność przy-

pomniała Clare o tym wszystkim, co zostawiła za sobą, wracając po dziesięciu latach spędzonych we Francji.

Tapiseria, tkana czerwonymi, białymi i złotymi nićmi, przedstawiała kobietę i mężczyznę z ramionami wyciągniętymi w geście powitania. Na barku kobiety przysiadł sokół, który dopiero co do niej powrócił. Tkanina była zbyt piękna, aby na niej siadać, chociaż takie właśnie miało być jej przeznaczenie. Zamiast tego Clare przewiesiła ją przez skrzynię stojącą opodal paleniska, żeby móc na nią patrzeć.

Podarunek Alaina przypominał o istnieniu lepszego świata, w którym królowały piękno i rycerskość. Gdy tylko wojna się skończy, zostaną małżeństwem, pomyślała. Wróci do Francji jako żona hrabiego, daleko od przesiąkniętego brutalnością prymitywnego kraju, w którym się urodziła.

Nie unosząc głowy, spojrzała na Fitzjohna. Nieokrzesany Szkot, skwitowała. Jedyne, co go interesowało, to walka, jedzenie i kobiety.

Porzuciła te rozmyślenia, gdy skończyli wieszcząć, i zaczęła się wspinać po spiralnych schodach do swojej sypialni. Na trzecim piętrze wyrósł przed nią Fitzjohn, tuż przed pełgającym płomieniem łojowej świecy.

- To prywatne pomieszczenia. Co tu robicie?

- Szukam łóżka.

Spojrzała na drzwi swojej sypialni. Na szczęście zamknięte. Czyżby miał czelność zajrzeć do środka?!

- Powiedziałam wam, że macie spać w sieni, razem z innymi. - Weszła na ostatni stopień schodów, ale wciąż nad nią górował.

- Moglibyście chociaż zaoferować mi koc i poduszkę.

- Zaoferowałam wam dach nad głową. Nie każcie mi tego żałować.

- Gościnność damy zwykle oznacza większą wygodę.

Zabrzmiało to obraźliwie dwuznacznie, mimo to poczuła się odrobinę winna. Rzeczywiście, dama powinna okazać więcej gościnności, ale jego zachowanie było tak dalekie od rycerskości, że niełatwo przychodziło jej postępować jak należy.



- Potraktowałam was jak każdego innego zbrojnego. Jeśli trudno wam to przyjąć, odjedziecie rano bez przykrości. A teraz ustąpcie mi miejsca, chcę wejść do mojej komnaty.

Nie poruszył się, mimo to poczuła mrowienie na skórze, jakby jej dotknął. Chciała go obejść, ale miejsca było niewiele i w rezultacie oblała się o niego, potknęła i upuściła łożówkę.

Podtrzymał ją ramieniem, chroniąc przed upadkiem, a gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że w drugiej dłoni trzyma jej lampkę. Na ugiętych kolanach próbowała odzyskać równowagę, ale zachwiała się i oparła o jego pierś.

Szybko wyprostowała się i cofnęła, choć na przedramieniu wciąż czuła ciepło jego dłoni.

- Przyjemnych snów, o pani.

Wyciągnęła rękę na oślep i otworzyła drzwi, nie spuszczając z niego oczu, w obawie, że zechce wejść razem z nią. Stał nieruchomo, a gdy zabrała ze sobą świecę, ciemność skradła jego uśmiech.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, drżąc.

Jutro już go tu nie będzie, pomyślała, uspokajając się.

Gavin z trudem zdusił gniew. Łatwo okazywała pogardę i to z tak błahych przyczyn. Co dopiero, gdyby odkryła jego przewiny. Jeśli tak jej przeszkadzała nie dość lśniąca zbroja, co by pomyślała, gdyby wyważył drzwi i zakosztował komfortu jej łoża?

Widział mężczyzn robiących gorsze rzeczy. Poniechał Anglików, bo na wojnie zbyt łatwo przychodziło realizować takie wizje. Tak jak łatwo przyszło jego ojcu uwiedzenie szkockiej damy i opuszczenie jej brzemiennej, przez co on musiał się mierzyć z niewygodnym dziedzictwem zmieszanej szkockiej i angielskiej krwi.

Był znużony wojną, miał dość bitew i wewnętrznego rozdarcia.

Zszedł po kamiennych schodach do sieni. Kilku mężczyzn grało w karcie w kości, ale reszta ułożyła się już do snu. Ogień przygasł, zarzyło się jeszcze kilka węgli, podłoga była bezlitośnie twarda. Przez całe tygodnie wystawiał się na zimno i deszcz, unikając ludzi Douglasa ścigających wojska Edwarda. Trawa i błoto były mu posłaniem. Boleśnie pragnął zakosztować choć odrobiny wygody.

Podszedł jak najbliżej do paleniska i zobaczył podłużną tapiserię, okrywającą skrzynię. Bez namysłu sięgnął po nią i się przykrył.

Clare uśmiechała się, wchodząc następnego ranka do zamkowej sieni. Podeszła prosto do skrzyni, żeby pogładzić okrywającą ją tapiserię. Stało się to jej codziennym przyzwyczajeniem, mającym jej przypominać, że Alain oczekiwał po niej zachowania należącego damie, zgodnego z tym wszystkim, czego uczyła ją jego matka.

Uśmiech zgasł, gdy podeszła bliżej. Szaroczarne smugi znaczyły biel i czerwień wełny. Uklękła obok tkaniny, z gniewu mdliło ją w żołądku. Co Alain sobie pomyśli, gdy zobaczy, jak potraktowano jego wspaniałą podarunek?

Rozejrzała się wokół. Żaden z jej ludzi nie odważyłby się dotknąć tapiserii. On musiał to zrobić, ten przybłąda! Uczucie przykrości szybko zastąpiła wściekłość.

Krew pulsowała jej w skroniach. Próbowwała zdusić złość i winiła go za to, że straciła panowanie nad sobą. Gwałtowność jej reakcji przestraszyła ją niemal tak samo jak inne uczucie, które w niej budził... Przez które nie mogła zasnąć długo w nocy.

Kiedy znalazła go w stajni, klęczał przed koniem, oglądając mu pęcinę. Przynajmniej dbał o zwierzę, które z pewnością było cenniejsze, niż na to zasługiwał. Ciekawe, czy zamordował rycerza, którego ten rumak był własnością.

Angus siedział w kucki na słomie, z głową pochyloną nad kolczugą, i polerował oczka siatki.

- Angus! - Jej głos zabrzmiał ostro. - Spytaj sokołnika, czy nie potrzebuje pomocy.

- To nie jest zajęcie dla giermka.

Sprzeciwił się jej po raz pierwszy i winę za to przypisała Gavinowi.

- Jeśli nie będziesz wykonywał poleceń, na pewno nie zostaniesz giermkiem.

Fitzjohn pokazał ruchem głowy na drzwi, a chłopiec odłożył szczotkę i pospiesznie wyszedł.

- Obwiniajcie mnie, jeśli kogoś musicie, nie chłopca - powiedział Gavin.

- Tak też jest.

Poranne słońce, wpadające do stajni przez otwarte wrota, oblewało go, wzniecając złote błyski we włosach. Nie uśmiechał się tak jak zwykle.

- To - uniosła oskarżycielskim gestem tkaninę - było piękną tapiserią. - Przełknęła ślinę, usiłując zdusić gniew, który ściszał jej gardło. - Przywieziono ją aż z Francji.

Stała, trzymając w wyciągniętych rękach tkaninę, ale on nie sięgnął po nią. Jego twarz przybrała kpiący wyraz maskujący niebezpieczną stronę jego natury.

- Przebyła daleką drogę.

- Zniszczyliście ją. Z rozmysłem.

- To ciężkie, ale pochopne oskarżenie. Posłaliście mnie do sieni nawet bez czegoś, co choćby przypominało derkę. Więc okręciłem się tym i zasnąłem jak kamień. - Wzruszył ramionami, na twarzy ani cienia skruchy. - Do tego to służy. Do ochrony przed zimnem.

- Do ochrony przed chłodem, kiedy siedzi się na ławce.

Jego wargi powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

- Ale wasze siedzenie nie grzało się na niej ostatniej nocy, więc nie myślałem, że zrobi to wam jakąś różnicę.

Radował go jej gniew. A jego uśmiech mówił: wiem, kim jesteś. Nieprawdziwą damą, którą próbujesz udawać. Upuściła tapiserię na słomę, wzniecając obłoczek kurzu.

- Zabrudziliście ją. Oczyszćcie ją, zanim wyjedziecie.

Spojrzał na tkaninę, potem znów na nią. Denerwujący półuśmieszek wrócił na jego twarz.

- Dużo zamieszania o parę plam na kawałku materiału.

- To tapiseria, nie jakiś tam kawałek materiału. - Przygryzła wnętrze policzka, aby powstrzymać łzy. - Z Arras. To prezent.

- Jesteś pewna, o pani, że to ją tak zdenerwowało?

- A czym jeszcze miałabym być zdenerwowana?

- Mną.

- Wami, Fitzjohn? - Słowo wyleciało z jej ust tak szybko, jakby ją uderzył. Jak to wyczuł?

- Tak. Moja obecność was drażni. Aż się gotujecie w środku.

Prawda, drażnił ją. W sposób, jakiego dotąd nie znała.

- Tak, panie, jeśli zasługujecie na ten tytuł. - Uniosła głowę i opuściła ramiona, usiłując odzyskać spokój jak na damę przystało. - Ale nie macie co uśmiechać się do tej myśli. Drażnicie mnie, bo rozmyślnie nie przestrzegacie zasad rycerskości.

- Rycerskości? - powtórzył i zabrzmiało to nieprzyjemnie szyderczo.

- Tak. Musieliście kiedyś w życiu słyszeć to słowo.

Ku swojej satysfakcji, zobaczyła, jak jego uśmiech znika. Spojrzenie niebieskich oczu stwardniało, podszedł bliżej i Clare cofnęła się.

- Słyszałem, ale walczyłem na wojnie, nie na turniejach dla rozrywki dam. Możecie w to nie uwierzyć, pani, ale niewiele rycerskości widuje się podczas wojny, więc wybaczcie mi, jeśli zapomniałem, jak zręcznie wykonać ukłon albo paść na kolana. W prawdziwej walce nie wymachujemy lancą i szarfą damy w nadziei na zdobycie woreczka z jedwabiu. Na prawdziwej wojnie przegrywający traci życie.

Wstrząsnęła się. Należał do tych, którym zabijanie sprawiało radość?!

Przed oczami przemknęła jej wizja Drobnej spadającej na zdobycz. Ale to nie to samo. Z całą pewnością nie to samo!

- Chrześcijańscy rycerze nie zabijają się nawzajem. Kodeks rycerski im na to nie pozwala. Inaczej wojna nie byłaby niczym więcej jak brutalnym mordem.

- Wojna nie jest niczym innym jak brutalnym mordem, rzezią.

- Radzę wam zachowywać więcej oglądy!

Wyuczony uśmiech powrócił, rozjaśniając sposepniałą twarz.

- *Mais oui, demoiselle.*

Jego francuski wprowadził ją w osłupienie. Miał nieskazitelny akcent.

Przestał się uśmiechać, kiedy zaczął zmagać się z tapiserią - niewielką i nędzną w porównaniu z tymi, które widywał w zamkach Edwarda. Zaczął od tego, że wytrzepał ją, licząc na efekt. Potem spróbował ją wyszczotkować, co dało taki rezultat, że rozsmarował brud po całej powierzchni.

Nie potrafił niczego doprowadzić do porządku, umiał tylko niszczyć, skonstatował smutnie. Jakimś cudem ona to wiedziała. Od początku, nawet nie znając jego imienia, traktowała go jak człowieka wiarołomnego. Jak kogoś, kto stoi na zewnątrz kościoła z pochodnią w dłoni. W kim płynie krew ojca podpalającego kościoły!

Jeśli tak łatwo można było to wyczytać z jego twarzy, słusznie zrobił nie ukrywając, kim jest. Ludzie osądzali go, niezależnie od tego, jaka była prawda.

Musiał jednak przyznać, że Clare Carr potrafiła zadziwiająco przenikliwie osądzać ludzi. Jej świat ograniczał się do warownego przygranicznego zamku, gdzie życie było dość proste i monotonne, a jednak zachowywała się tak, jakby знаła korytarze Windsoru.

Jej nierealistyczne wyobrażenia o życiu przypomniały mu króla Edwarda. Kilka lat temu zgromadził ich przy okrągłym stole i powołał zakon rycerski, ustanawiając Order Podwiązki. Jeśli pogłoski były prawdziwe, rzeczona podwiązka należała do kobiety, którą zgwałcił.

Pani Clare nie spodobałaby się ta część historii. Zaburzyłaby jej fałszywe wyobrażenie o rycerskości i rycerzach, a także pewnie wzbudziłaby jej gniew. A wyglądała wtedy ślicznie, pomyślał.

Czysta przyjemność zmusić kobietę taką jak ona do ujawnienia skrywanej namiętności. Mógłby rozpleść jej warkocz i sprawić, by jęczała, doznając uczuć, o których nie miała pojęcia.

Spojrzał na tkaninę. Przedstawiała mężczyznę, wyciągnięte ramiona miały za chwilę objąć kobietę. Jedna ręka sięgała za jej głowę, druga kierowała się ku biodrom. Jego twarz skłaniała się do jej piersi. Ciekawe, czy ona zdawała sobie sprawę ze zmysłowości tego obrazka.

Powstrzymał te myśli. Powinien trzymać uczucia na wodzy. Dowiedział się od zbrojnych, że jej ojciec walczy u boku Douglasa i wkrótce wraca do domu. Do tego czasu musi jej ustępować. Dla barona Carra wartość rycerza leży w tym, jak włada mieczem, nie w tym, jakie ma maniery. Z pewnością pozwoli mu tu zostać, ukryć się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi przygranicznym stołpie.

Spojrzał na tapiserię raz jeszcze i westchnął. Żeby zmyć brud z ciała, zanurza się je w wodzie. Może i z tą rzeczą powinien zrobić podobnie.

Skierował się do strumienia, nękany niejasnym przeczuciem, że oboje mogą być niezadowoleni z rezultatu jego zabiegów.

Fitzjohn opuścił posiłek w środku dnia. Zaniepokoiła się stanem tapiserii. Wystarczyło, żeby powiesił ją na drągu, wytrzeptał porządnie z odwrotnej strony, a potem wyczyścił przód małą szczoteczką. Proste zadanie.

Gniew ją opuszczał, niepewność rosła. Proste dla niej, ale zdaje się, że niemądrze założyła, że dla niego również. Nie powinna mu powierzyć tapiserii, zanim nie udzieliła mu dokładnych wskazówek.

Słońce było już wysoko, gdy zdecydowała się odłożyć wszelkie zajęcia i poszukać go. W końcu w pobliżu stajni zamigotało jej coś czerwonego. Przewieszona przez sznur sflaczała, mokra tkanina nie była już piękną tapiserią przedstawiającą dworskich kochanków, tylko smętną, nasiąkniętą wodą szmatą.

Zamknęła oczy, żeby powstrzymać napływające łzy. Jak ona wyjaśni to Alainowi?

Fitzjohn najwyraźniej zbyt późno pojął swoją omyłkę i teraz usiłował ją naprawić. On z jednej strony, a Euphemia z drugiej, usiłowali naciągnąć tapiserię, aby nadać jej pierwotny kształt. Widok pomagającej mu córki wdowy Murine rozżłościł Clare równie mocno jak to, co on zrobił.

- Euphemio, do domu!

- Nie jesteś moją matką.

Czy oni wszyscy teraz będą się jej sprzeciwiać, sprowokowani przez Fitzjohna?

- Nie, ale to ja, nie twoja matka, jestem panią tego zamku. Odejdź!

Odeszła, obdarzając Fitzjohna na pożegnanie promiennym uśmiechem.

Clare podeszła bliżej, nie wiedząc, czy go uderzy, czy zacznie płakać. Żadnej z tych rzeczy nie powinna robić dama.

- Zawsze jesteś taka surowa, pani?

- Dopiero poznacie, co to znaczy surowość. Zniszczyliście ją! - wykrzyczała gniewnie.

Wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział. Oczekiwała przeprosin albo kłótni. Jej ojciec wrzasnąłby na nią. A ten człowiek, jakby odporny na obrazę, odwzajemnił się jej tylko półuśmieszkiem. Jak ktoś, kto po otrzymaniu ciosu przetacza się po ziemi i z powrotem wstaje na nogi.

- Zniszczyliście coś wartościowego i cennego. Spodziewam się rekompensaty.

- Czego? - Uniósł ze zdziwieniem brew. - Widziałem martwych żołnierzy leżących na ziemi i nikt nie zapłacił za ich stratę. Nie potrafię opłakiwać kawałka wełny. - Jego głos brzmiał gorzko, a nawet szyderczo.

Martwych...? Przełknęła razem ze śliną strach.

- Nie wiem, dlaczego spodziewałam się po żołnierzu, że będzie wiedział, jak traktować tak wartościową rzecz - powiedziała, przenosząc wzrok na tapiserię.

- Nie do tego mnie przygotowano.

Uśmiechnęła się niespodziewanie. Trudno, musi uznać swoją winę. Może jeśli rozciągnie ją na krosnach, uda się uratować podarunek Alaina.

- A do czego was przygotowano?

- Do zabijania.

Pospiesznie cofnęła rękę.

- Macie haniebny stosunek do wojny. Rycerz powinien myśleć o wznioślejszych sprawach. Jak choćby honor...

- Mówicie, jakby rycerze króla Artura wciąż krążyli po świecie. Teraz chodzi o ziemię i o okup, a nie o poszukiwanie świętego Graala.

Okazała mu słabość i obdarzyła go uśmiechem, a on w zamian poczęstował ją znowu swoją brutalną wizją świata.

- Skoro nie szukacie świętego Graala, to miejcie chociaż tyle honoru, aby nie odmówić prośbie damy. Zgodnie zresztą z kodeksem!

Wiatr uniósł rąbek jej sukni w kierunku jego butów. Uśmiechnął się do niej drwiąco.

- To, czego zwykle chcą ode mnie damy, nie ma nic wspólnego z honorowym kodeksem.

Złapała spódnicę, chroniąc ją przed podmuchami wiatru.

- To, czego ja od was chcę, również. Chciałabym, żebyście wyczyścili sokolarnię.

Miała przed sobą mężczyznę, który z pogardą traktował cnoty rycerza. Czy wypełni jej prośbę? A może uzna ją za niemożliwą do spełnienia i wreszcie stąd wyjedzie? Rysy jego twarzy złagodniały, gdy pojawił się na niej szczerzy, a nie szyderczy uśmiech.

- Spędziłem więcej czasu z sokołami niż z tapiseriami. Wypełnię skrupulatnie wasze życzenie, pani, niezależnie od tego, jak ciężka czeka mnie praca.

- Dobrze. - Podobała się jej wizja Fitzjohna na czworakach, zeskrobującego brud.

- Niezależnie od tego, ile czasu to zajmie. - Uśmiechnął się ironicznie. - Nawet gdyby to miało trwać całą noc i jutrzejszy dzień.

Zacisnęła zęby, zrozumiałwszy, że obrócił jej obraźliwe żądanie na swoją korzyść.

- Zatem jedna noc więcej. Nie dłużej.

Uznała go za nieprzydatnego rycerza, ale musi uważać, jeśli znów wda się z nim w słowne potyczki.

TLR



## Rozdział trzeci

Następnego ranka Neil żalił się, że przysłała mu nieznajomego, aby rządził się w jego sokolarni. Clare westchnęła i poszła stawić czoło Fitzjohnowi, obawiając się, że wymyślił jakąś sztuczkę, która pozwoli mu zostać na zamku dłużej. Kiedy otworzyła drzwi sokolarni, snop światła rozjaśnił wnętrze, a jej oczom ukazały się jego nagie plecy. Odwrócił się do niej i Clare westchnęła.

- Pani Clare - powiedział, osłaniając dłonią oczy przed oślepiającym światłem. - Mam nadzieję, że klatki sokołów są wystarczająco czyste.

- Sokolnik się uskarża.

- Dobrze zna swoje obowiązki, ale jest przywiązany do starych sposobów.

Mówił tak, jakby znał się na sokolnictwie. Ptaki siedziały przywiązane, więc zostawiła drzwi otwarte. Żwir chrzęścił pod jej nogami, gdy oceniała jego pracę. Nie miał trudnego zadania, żeby usunąć odchody z kamieni, pomyślała. Sokolnik codziennie je czyścił.

- Czy wszystko jest tak, jak byście sobie życzyli, pani?

Clare przyjrzała się dokładnie klatkom ptaków i zdumiało ją, że doczyścił nawet biały nalot z boku żerdki Drobnej.

- Dołożyliście starań.

Wzruszył ramionami.

- Niedużo macie ptaków, o pani.

To była uboga sokolarnia, doskonale o tym wiedziała. Większość sokołów nie należała do nich, przebywały tu tylko czasowo.

- Kiedyś było ich więcej, ale utrzymanie ptaków i wojna kosztują. Wojna wygrała.

Włożyła rękawicę i wystawiła nadgarstek. Drobna wskoczyła na rękę i zatrzepotała skrzydłami. Clare delikatnie pogłaskała pióra na jej piersi. Do jutra zgłodnieje na tyle, że będzie znów można ją wypuścić.

- To z tym ptakiem oblatywaliście wczoraj wzgórza.

- Mam ją od pisklęcia. Była gałęźnikiem. Ze wszystkich, jakie posiadaliśmy, tę lubię najbardziej. Ale nigdy nie miałam żadnego z tych niezwykłych ptaków z klifów.

- Najlepsze, jakie oblatywałem, pochodziły z północy, złapane w Niderlandach.

Po raz kolejny ją zaskoczył. Słyszała o takich ptakach, ale nigdy ich nie widziała, a nawet gdyby handlarz się z nimi zjawił, nie miałyby za co ich kupić. Jeśli z takimi polował, musiał być lepiej urodzony, niż myślała.

- To królewskie ptaki.

- Pochodzenie nic nie znaczy - stwierdził, znów wzruszając ramionami. - Widywałem białozory niechętnie lotom i krogulce łapiące trzykrotnie od nich większe króliki. Sama ją układaliście, pani?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Zna tylko mnie i nigdy mnie nie opuści.

- Nie możecie jej trzymać na dłuźcu, to wbrew sztuce. Każdy lot to ryzyko. Z każdym powrotem dokonuje wyboru.

Zacisnęła obleczone rękawicą palce na skórzanych pętach.

- Ona zawsze do mnie wraca.

Z tyłu doszedł ją odgłos trzepotania skrzydeł. Kiedy się odwróciła, z góry zleciał pikującym lotem ptak, szpony niemal zahaczyły o jej włosy. A potem poszybował w górę, do sufitu, i rozpoczął dokładnie nad żerdzią Drobnej ekstatyczny taniec złożony z pętli i nawrotów.

- Powstrzymajcie go! - krzyknęła.

Nierealne zadanie. Przyzwyczajony do szybowania pod wolnym niebem ptak, niebezpiecznie zbliżał się w locie do ścian. Kolizja mogła oznaczać złamane skrzydło.

- Robi to dla niej - odezwał się Fitzjohn, a w jego głosie dźwięczał podziw i zachwyt. Niezwykłe uczucia, jak na niego, pomyślała.

Drobna śledziła lot ptaka, a Clare zapatrzyła się w niego, wirującego w promieniach ostrego światła. Nie mogła go oczywiście poznać po nakrapianej podłużnie, jak u wszystkich sokołów, piersi ani ubarwieniu lotek, ale miała wrażenie, że to ten sam tercel, którego spotkali dwa dni temu.

Przyłożyła dłoń do piersi Drobnej, upewniając się, że sokolica nie chce zerwać się do lotu.

- Proszę... Chcę, żeby sobie odleciał.

Fitzjohn zaczął wymachiwać ramionami i krzyżeć, a tercel, zataczając coraz szersze kręgi, zrozumiał, że wpadł w pułpkę. Poleciał w kierunku światła padającego przez umieszczone wysoko w ścianach okna, ale powstrzymały go drewniane listwy mające uniemożliwić ptakom uciezkę.

- Otwórz szerzej drzwi - polecił Fitzjohn.

Zrobiła to, a potem usunęła się, żeby nie zagrażać tercelowi drogi do wolności. Wykonał ostatnie okrążenie, a potem znalazł się dostatecznie blisko drzwi, aby wylecieć. Wypuściła głośno powietrze, a cała drżała z emocji.

- Dziękuję. Bałam się, że zrobi sobie krzywdę. Jest dziki, musiał oszaleć ze strachu.

- Dobrze wiedział, co robi.

Zdziwiona spojrzała na niego, przygotowana na cyniczny uśmieszek.

- Słucham?

- Przyciągał jej uwagę.

- Po co?

- Z tego samego powodu, dla którego mężczyzna chce, żeby kobieta zwróciła na niego uwagę. Szukał partnerki.

Odwróciła wzrok, policzki spłonęły rumieńcem.

- Wątpię.

Mimowolnie wyobraziła sobie, że dotyka jego nagiej piersi. Wystarczyło wyciągnąć rękę...

- A jak myślicie, skąd się biorą małe sokoły?

- Większość z nich została dostarczona przez handlarza, ale tę akurat złapałam nie-daleko stąd na wschód.

Jego śmiech dźwięczał niepowstrzymanie.

- Miałem na myśli początek, żeby nie powiedzieć poczęcie.

- Z jajek, oczywiście. - Zaczerwieniła się. - Sokolarnia to nie wylęgarnia jaj!

- Dobierają się w pary na całe życie, wiesz o tym, prawda? - powiedział nieśmiało.

- Dopóki jedno z nich nie umrze... - Ale kiedy jej matka umarła, ojciec nie zawahał się wziąć sobie innej kobiety.

Odwróciła się i przymocowała pęta Drobnej do żerdzi.

- Jeśli jesteś zadowolona z efektu mojej pracy, mogłabyś mi okazać swoje zadowolenie, pani. - Czuła jego oddech na swoich plecach. - Jestem na wasze usługi.

- Ojciec wkrótce wróci do domu - powiedziała szybko, nie patrząc na niego. Jak dziki tercel, Fitzjohn wpadł przez przypadek do ich domu, a teraz wydawało się, że został tu uwięziony. - To on zadecyduje o waszym losie. - Czuła, że tak powinna mu odpowiedzieć, chociaż nie wiedziała dlaczego.

- Dziękuję, pani Clare.

Już w drzwiach sokołarni, odwróciła się.

- Mam dodatkowy koc, Fitzjohn. Wieczorem go dostaniecie.

Wykonał ukłon godny dworzanina.

- Jestem szczerze wdzięczny, o pani.

Po raz pierwszy, odkąd go zobaczyła, poczuła się jak prawdziwa dama.

Kilka dni później tercel wrócił. Zobaczyła go na podwórzu, gdzie zabierano w pogodne dni ptaki, bez kapturków na głowach, ale na dłużcach. Tym razem sokół sfrunął na dół i dołączył do Drobnej na żerdzi. Oba ptaki zaczęły się sobie kłaniać, pochylając i podnosząc na przemian głowy, niczym nadgorliwi dworzanie. Clare zaczęła się śmiać.

Fitzjohn wszedł na dziedziniec i podszedł do niej.

- Zabawnie wyglądają - zauważyła.

- Zalecają się do siebie wzajemnie.

- Co?

- Teraz ona spróbuje z nim polecieć. Popatrz!

Drobna wzniosła się w powietrze i dołączyła do obcego ptaka w podniebnym tańcu, targając dłużec, jakby chciała uciec. Clare zaklaskała w dłonie, żeby przepędzić tercela. Drobna nie zawróciła.

Clare pociągnęła dłużec, ściągając sokolicę z powrotem, aż znalazła się w zasięgu jej ręki. Nie może jej stracić. Już zbyt wiele straciła! - pomyślała.

- Pani Clare! - rozległo się z murów.

- O co chodzi? - spytała, unosząc głowę.

- Wasz ojciec się zbliża, pani.

Jest w domu. Bezpieczny! Opatrzność wysłuchała jej błagań.

Grzmiący głos ojca dobiegł jej uszu, zanim jeszcze go zobaczyła.

- Zepchnęliśmy Anglików poza granice. Gdzie moje kobiety?

Euphemia już do niego biegła, nieczuła na przenikliwe zimno, które powróciło po kilku dniach łaskawszej wiosennej pogody. Kiedy Clare dostrzegła Alaina także ruszyła na powitanie.

Zwolniła kroku, zanim ją zobaczył, pomna nauk, że dama powinna chodzić, a nie biegać jak kilkuletnie dziecko albo, co gorsza, jak gorliwa kochanka. Dama warta swego rycerza powinna inaczej się zachowywać.

Nie mogła jednak nakazać sercu, żeby biło wolniej. Jak dzielnie prezentował się na swoim rumaku - francuski *comte*! Wyprostowany, ciemnowłosy, silny. Uosobienie wszelkich cnót rycerza.

Poczuła radość, że udało jej się naciągnąć tapiserię i odzyskała kształt po tym, jak ją Fitzjohn potraktował. Alain nie powinien zauważyć zniszczeń.

Ojciec zakręcił Euphemią, jakby miała dziesięć, a nie szesnaście lat, ich oddechy uniosły się w powietrzu obłoczkiem pary. Potem spojrzął na Clare.

- Tato! - krzyknęła z czystą radością.

Objął ją, a Clare przytuliła się do niego jak dziecko. Następnie odchyliła się, żeby spojrzeć na Alaina.

- Nie złamałeś, ojcze, żadnych reguł? - spytała, używając szkockiego, jak zawsze gdy wracał do domu i było to rodzajem modlitwy dziękczynnej.

- Żadnych, o których bym ci chciał powiedzieć. - Zawsze, gdy wracał, tak jej odpowiadał.

Clare potrząsnęła głową. Kiedy go nie było, odsuwała od siebie myśli o zagrożeniach wojny, wmawiając sobie, że reguły rycerskiego życia ochronią go. Nawet teraz, gdy stał cały i zdrowy obok niej, wołała nie myśleć o tym, że ilekroć stawał naprzeciw wroga, groziła mu śmierć.

- Cieszę się, że jesteście w domu.

- Możesz nie być z tego taka zadowolona, kiedy zacznę cię znowu nękać. Mam jeden powód więcej, aby chcieć twojego zamążpójścia, córko. - Dołożył starań, aby „r” wibrowało jak u rdzennego Szkota, wiedząc, że ją to zdenerwuje.

- Wystarczająco dobrze poznałam te stare powody. - Pragnął wnuków.

Nadeszła pora na rozmowę z Alainem.

- Ach, *demoiselle* Clare.

Odwróciła się do niego rozpromieniona i wyciągnęła rękę, tak jak ją uczono. Ujął jej palce i ucałował dwornie, jego wąsy połaskotały kostki.

- Żałuję, że nie wiedziałam o waszym powrocie. Przygotowałam uroczysty posiłek i włożyła najlepszą suknię.

Upuścił jej dłoń, a ona wygładziła wełnianą suknię. Tanią, uszytą z miejscowej wełny, nie na tyle dobrej jakości, aby można ją było wysłać do Niderlandów.

- *Ridicule!* Jesteś pani jak kwiat na tym pustkowiu.

- Przygotuj do jedzenia to, co jest - rozbrzmiał gromko głos ojca. - Mógłbym zjeść konia z kopytami. - Znów obejmował Euphemię, jakby to ona była jego prawdziwą córką. - Gdzie Murine?

- Tutaj!

Kochanka ojca nadbiegła od strony wieży i padła mu w ramiona. Clare odwróciła głowę, nie chcąc być świadkiem ich czułego powitania. Ta kobieta weszła do łóża ojca po śmierci jej matki. Nie była damą, aby mogła zostać jego żoną, ale od tamtego czasu wciąż mu towarzyszyła.

Na początku próbowała jej matkować, ale teraz schodziły sobie wzajemnie z drogi.

Clare podeszła bliżej do Alaina, aby odwrócić jego uwagę od ich demonstracyjnych uścisków. Francuz znał kodeks rycerski. I stosował się do niego. Nie tak jak ten obcy, pomyślała.

- Ach, *demoiselle*, jesteście jak powiew świeżości w zatechłej Szkocji.

Podał jej ramię i wtedy zauważyła zakrzepłą krew na rękawie.

- Jesteście ranni! - Strach znów ścisnął ją za gardło.

- To ledwie draśnięcie. Wasz dotyk, pani, sprawia, że czuję się *comme neuf*\*.

\* *Comme neuf* - jak nowy.

- Pozwól mi. - Podciągnęła rękaw i delikatnie przesunęła palcami po skórze ramienia. Niechciany obraz gołej piersi Fitzjohna sprawił, że palce jej zadrżały. Ale miał rację, rana nie wyglądała groźnie. - Oczyszczę ją i zabandażuję. - Podobały jej się słowa, które wypowiedziała. Tak właśnie mogłaby się zwrócić do niego żona.

Delikatnie zdjął jej dłoń ze swojego ramienia i nie przytrzymał dłużej, niż wzgląd przyzwoitości by na to pozwalał.

- Jesteś zbyt łaskawa, pani.

Kątem oka zobaczyła, że Murine ciągnie ojca w stronę wieży.

- Jedzenie najpierw - powiedziała ze śmiechem, zdejmując jego dłoń ze swojej piersi.

Clare wiedziała, co teraz nastąpi. Po posiłku nikt ich nie zobaczy przez wiele godzin. Zażenowana, zwróciła się do Alaina:

- Cieszę się, że jesteście już bezpieczni. Opowiedzcie mi o stoczonych przez was bitwach.

- Bitwach? Jakże żałuję, że ich nie było! Edward to potwór, ale Douglas jest tchórzem.

- Tchórzem? - Żaden Szkot nie odważyłby się go tak nazwać. Chyba że chciał stracić życie.

- Zamiast wydać otwartą walkę, trzymał nas z dala od Anglików. A potem, Bóg łaskaw, okręty Edwarda zostały zniszczone przez sztorm. - Przeżegnał się i wymamrotał krótką modlitwę dziękczynną do Najświętszej Marii Panny. - Pozbawiony dostaw, musiał się wycofać. Ale lord Douglas wciąż nie chciał wydać mu bitwy. Uganialiśmy się za nim jak psy za jeleniem, zamiast stanąć do otwartej walki w polu. A mogliśmy mu zadać *coup de grâce*\*.

\* *Coup de grâce* - ostateczny cios.

Nieartykułowanym dźwiękiem wyraziła, że go rozumie. Douglas mógł stanąć do walki z najsroźszymi wojownikami, ale był Szkotem. Myślał przede wszystkim o szybkim zakończeniu wojny, a nie o tym, by ją prowadzić zgodnie z rycerskim etosem.

- Więc Anglicy odeszli? - spytała, a Alain skinął głową.

- I zostawili po sobie spustoszoną ziemię, jak we Francji. Wzniecając pożary i grabiąc, nawet w święty dzień Matki Boskiej Gromnicznej. Najgorszy był bratanek Edwarda, bastard. Podpalił kościół klasztorny w Haddington, pełen niewinnych ludzi, którzy schronili się w środku.

Przeżegnała się, przerażona i zaszokowana.

- Nie myślałam, że Anglicy są aż tak okrutni i pozbawieni honoru. - Mord i świętokradztwo. Żaden rycerz nie popełniłby takiej zbrodni.

Alain podał jej ramię i poszli do stołu.

- Tak się, niestety, stało. Słyszałem, że ten, który dzierzył pochodnię, to syn Jana z Eltham, tego samego, który dokonał podobnego czynu dwadzieścia lat temu. Podobno Edwarda wówczas to tak rozwścieczyło, że go zabił. Własnego brata! - Alain potrząsnął głową. - Urodzeni mordercy z tych Anglików. Edward musi mordować dla samej przyjemności, skoro zabił brata, a potem zachęcał jego syna do podobnych zbrodni.

Spojrzała na Fitzjohna, stojącego na dziedzińcu i obserwującego ich. Niewiele rycerskości widuje się podczas wojny, to jego słowa. Jakby był świadkiem takich zbrodni. A może on także je popełniał? - zastanowiła się.

Po posiłku ojciec spędził popołudnie w chacie Murine. Clare woląла nie myśleć o tym, co tam się działo. Dopiero wieczorem pojawił się w zamkowej sieni i zasiadł wraz z nią przy kominku, z trzecią kwartą wina grzanego z miodem i przyprawami i zapytał, co się wydarzyło podczas jego nieobecności.

Nie powiedział jej wiele o kampanii. Edward wycofał się, zostawiając po sobie zgliszczą. Obie strony straciły na tej wojnie.

- Widziałem nieznaną mi twarz na murach - powiedział w końcu. - Kto to jest?

- Rycerz, który odłączył się od swoich towarzyszy. - Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał obojętnie. - Dałam mu pracę do wykonania. Chce zostać, ale powiedziałam mu, że ty o tym zdecydujesz.



Ojciec spojrział na nią zwężonymi oczami.

- Straciliśmy ostatnio Jamesa w potyczce, przydałby mi się nowy człowiek.

- Niewiele o sobie mówił. Nie wiem nawet, czy jest szlachcicem.

- To nie jest coś, czym Szkot zawracałby sobie głowę.

- I nie ma poczucia rycerskości, tak jak *comte* Alain.

- Niewielu ma. - Kąciki ust ojca drgnęły. Sama nie wiedziała, czy w grymasie pogardy, czy zainteresowania. - Sam go ocenię, córko. Jak się nazywa?

- Fitzjohn - odpowiedziała takim tonem, jakby nie była tego pewna.

Ojciec wyprostował się gwałtownie, kubek omal nie wypadł mu z ręki.

- Jak?

- Fitzjohn. - Zastanowiła ją jego reakcja. - Gavin, zdaje się.

- Co ty zrobiłaś, dziewczyno?!

Ojciec wstał na równe nogi i patrzył na nią z góry. Dlaczego zignorowała swoje złe przeczucia co do tego mężczyzny?! Jej matka nigdy nie popełniłaby takiego błędu.

- Powiedz mi, co takiego oprócz porządku w sokołarni i czyszczenia zabrudzonej tapiserii mu kazałaś zrobić? Sprowadziłaś pod nasz dach złoczyńcę, który spalił połowę Lothianu. - Gniew opadł, pozostawiając w oczach ojca ten sam znękany wyraz, który widziała u Fitzjohna.

- Mówiliśmy, że w święto Matki Boskiej Gromnicznej to on trzymał pochodnię.

W myślach obrzuciła się słowami, których dama nie powinna znać. Gdyby obudzili się w płomieniach, byłaby to jej wina.

- Wybacz, ojcze, nie wiedziałam.

Sięgnął do głowni miecza.

- Rozprawię się z nim.

- Ojcze, poczekaj. - Wstała i położyła dłoń na jego ramieniu, delikatnie naciskając na nie, aby z powrotem usiadł na krześle. - To ja go tutaj sprowadziłam. Ja pójdę.

- Czy miała nadzieję, że zaprzeczy temu, co przecież od początku podejrzewała? - Pozwól, że się upewnię, czy to rzeczywiście ten człowiek.

- Nie idź sama, córko.

- Nie będę sama. - Poklepała pochwę skrywającą sztylet. Od tamtego dnia na wzgórzach zawsze go przy sobie nosiła. Jeszcze jedno odstępstwo od zasad, którego wymagał ten kraj bezprawia. - Nie, dopóki mam to przy sobie.

- Córko... szkoda, że nie starasz się tak bardzo o wnuki, jak o swobodę!

Potrząsnęła głową. To nie chodziło o swobodę, tylko właściwe postępowanie.

- Daj mi, ojcze, trochę czasu. Potem przyjdź i postąp z nim wedle woli.

Wyszła energicznym krokiem z sieni, spódnica szeleściła wokół jej nóg. Wchodziła po schodach, niepewna, czy kierują ją złość, strach czy wstyd.

Fitzjohn tymczasem chodził po parapecie murów, z wzrokiem utkwionym w ośnieżonych szczytach, rysujących się na tle oblanego promieniami zachodzącego słońca.

- Fitzjohn! - krzyknęła, trzymając sztylet w pogotowiu.

Odwrócił się powoli, zachodzące słońce rzuciło cienie na jego twarz.

- Tak mnie nazywają. Po co to ostrze?

- Nazywają was też okrutnikami.

W jego wzroku pojawiły się gniew i ból. Czy jej się zdaje, że również błaganie? Niemożliwe. Ten człowiek nie jest do tego zdolny, więc i ona nie okaże mu litości.

- Nazywają mnie rozmaicie.

Wypowiadał słowa powoli.

- To nie jest wyjaśnienie.

- Jakiego wyjaśnienia oczekujesz, o pani?

- Prawdy.

- A co to znaczy?! Czasem trudno rozróżnić ją od kłamstwa!

Znowu odpowiedział wymijająco.

- O was mówią, że podpaliliście kościół pełen niewinnych ludzi.

Odwrócił głowę szybkim, gwałtownym ruchem, niczym sokół pikujący na ofiarę.

- A więc to takie teraz krążą bajdy...

Linie wokół jego ust pogłębiły się, powoli, jakby nie dbał o to, co o nim mówią.

- Czy to prawda?

- A jak myślicie?

Był świadkiem czynów, jakich żaden mężczyzna nie powinien widzieć, a żaden ry-  
cerz popełnić. Czy je popełniał? Nie chciała w to wierzyć. Opuściła sztylet i zwiesiła  
głowę.

- Dziękuję. Mogę więc zostać?

- To do barona należy decyzja.

- Rozumiem.

Próbowała jakoś połączyć to, co usłyszała od ojca i Alaina.

- Czy wasz ojciec był synem króla? - A kiedy skinął głową, dodała: - I jesteście  
bratankiem króla?

Uśmiechnął się smutno, a mimo to poczuła, jak kolana pod nią się uginają.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - W jego żyłach płynęła krew królewskiego rodu,  
a ona uznała go za chłopca. Musi ją mieć za prostytutkę.

- Pozwoliłabyś mi wejść do zamku, gdybyś wiedziała?

- Nie. Skłamałeś, mówiąc, że jesteście Szkotem.

- Moja matka była z rodu MacGuffinów. Mam w sobie tyle krwi szkockiej, co an-  
gielskiej. Powiedz mi więc, jak mam wyznaczyć granicę w moim ciele? - Chwycił jej  
dłoń, w której trzymała sztylet, i przeciągnął ostrzem po swoim brzuchu. - Tutaj? Szkot  
do połowy, Anglik od połowy? Czy odwrotnie? Serce szkockie, lędźwie angielskie?

Próbowała bezskutecznie się oswobodzić.

- Nie wiem.

- A może w ten sposób? - Z palcami wciąż zaciśniętymi wokół jej nadgarstka,  
zmusił ją, aby przesunęła ostrzem od jego czoła, przez nos, szyję i pierś. - Prawą czy le-  
wą? Którą połowę przerzucimy przez granicę do Northumberlandu, a którą uznacie za  
godną, aby tu pozostała?

Wykręcił jej nadgarstek, sztylet upadł na kamienny parapet. Przyciągnął ją tak bli-  
sko, że czuła, jak wznosi się i opada jego pierś. Nieznane uczucie gorąca pulsowało w jej  
ciele. Przełknęła ślinę.

- Zamierzałeś spalić nas śpiących w łóżkach, Fitzjohn?

Z początku zamierzał puścić to mimo uszu, ale przestał się uśmiechać i zwolnił  
uścisk.

- Chciałabyś, pani, żeby ogarnął was pożar w łóżku?

Zrobiła krok do tyłu. Chciała w nim wzbudzić obawę, tymczasem przestraszyła samą siebie.

- Jeśli tego zapragnę, Fitzjohn, nie was o to poproszę.

Zrobił sceptyczną minę i przechylił głowę. Jego palce wciąż obejmowały jej nadgarstek, ale teraz przypominało to pieszczotę.

- Nie sędzę, żeby ten Francuzik wam to zapewnił.

Zobaczyła ojca z wyciągniętym mieczem, którym dotknął pleców Fitzjohna.

- Puść moją córkę, bastardzie, zanim przeszyję cię mieczem.

T L R

## Rozdział czwarty

Gavin puścił jej nadgarstek i zdusił uczucie zawodu. Zastanowił się, ile baron zobaczył i usłyszał.

- Śmierć bywa czasem wybawieniem.
- Unieś ręce i odwróć się.

Gavin, nie spiesząc się, wykonał jego polecenie. Mógł przyjrzeć się przeciwnikowi z bliska. Szczupły i barczysty. Jego twarz i sylwetka były naznaczone latami znoju i wojny.

- Rozmawiam z kimś z rodziny Carrów?
- Z baronem - warknął.

Nie pozwolił sobie na uśmiezek, ale spojrzał na nią i z satysfakcją zobaczył, że się zaczerwieniła.

- Myślałem, że to pani Clare.
- Ja ją pocałem.

W głosie starego człowieka zabrzmiała duma.

- Cóż, to właśnie pani Clare pozwoliła mi tu wejść.
- A dlaczego miałbym pozwolić wam zostać?
- Słowo waszej córki to nie dość?
- Niczego nie obiecywałam. Powiedziałam...
- Cicho, córko. - Miecz spoczywał pewnie w jego dłoni. - Zgodziła się, bo nie powiedzieliście jej całej prawdy o sobie.

Ostrze dotknęło jego gardła i Gavin przełknął ślinę, poczuwszy nacisk chłodnego metalu na skórę.

- Powiedziałem, że w moich żyłach płynie szkocka krew. Jeśli znacie historię mojego życia, wiecie, że to prawda.

- Mógłbyś przysiąc, że to nie wy zabiliście tych ludzi? - spytała Clare.

Gavin zawahał się. Nie dbał o opinię innych mężczyzn, ale nie chciał, aby ta kobieta wierzyła w to, co o nim mówiono najgorszego.

- Mogę.

Chciał opuścić ręce, ale ostrzegła go:

- Trzymaj ręce w górze. Przysięgasz, że nas nie skrzywdzisz?

Naprawdę myślała, że jest zdolny zabić bezbronnych ludzi? - zastanowił się z oburzeniem.

- Przysięgam.

- I że nie wpuścisz potajemnie Anglików? - dodał baron.

- Przysięgam.

- Na honor rycerza? - naciskała, wciąż mu nie dowierzając.

- Na mój rycerski honor - wypowiedział słowa, które nic dla niego nie znaczyły.

Carr cofnął miecz, ale oczy wciąż patrzyły podejrzliwie. Gavin powoli opuścił ręce.

- Więc mogę zostać?

- Jeszcze nie zdecydowałem - padła ostra odpowiedź. - Czego chcecie i po co tu jesteście?

Żeby znaleźć spokój. Próżna nadzieja! Nie było ucieczki od wojny.

- Jestem tylko rycerzem. Między jedną wojną a drugą. Szukającym schronienia i pana, któremu mógłbym służyć.

- Kilka tygodni temu służyliście królowi Anglików.

Dlaczego miałbym wierzyć, że będziecie walczyć po stronie Szkotów?

- Płynie we mnie w połowie szkocka krew.

- I w połowie angielska, jak Edwarda.

Z tyłu doszedł Gavina jej głos:

- I co jest silniejsze?

Sam chciałby to wiedzieć, pomyślał. Czasami miał wrażenie, że z powodu pochodzenia toczy się w nim wewnętrzna wojna, rozpalana przez wspomnienie grzechów ojca.

- Dopóki będę wam służyć, będzie się liczyć tylko moja szkocka krew.

- Trzymajcie się tego.

Baron podszedł bliżej i Gavin poczuł woń płonącego drewna i grzanego piwa. Coś, czego nie zaznał od długiego czasu.

- Macie moje słowo.

- A dlaczego mielibyśmy zawierzyć waszemu słowu? - spytała.

Nic na to nie odpowiedział. Kwestia zaufania pozostawała otwarta, mógł sobie na nie tylko zasłużyć.

Baron spojrział na niego z ukosa i pokazał Clare gestem schody.

- Zostaw nas samych, córko.

- Ależ, ojcze...

- Prosiłaś mnie, żebym ci dał trochę czasu. Więc daj go i mnie.

Kiedy podnosiła sztylet i szła w kierunku schodów, Gavin zastanawiał się, czego oczekiwała po tym czasie, kiedy rozmawiała z nim sam na sam. I czy to uzyskała...

Carr oparł się o kamienną ścianę i przesunął wzrokiem po ciemnych wierzchołkach wzgórz.

- Czego tu szukasz, Fitzjohn? Mów prawdę.

- Urodziłem się tutaj. Wróciłem do domu. - Żeby znaleźć dom, dopowiedział w myślach. - Anglia... - Słowo zawisło w próżni, wzruszył ramionami i dokończył: - Nie była tym.

Sowa zahuczała i zamilkła, nie zdradzając się więcej przed zdobyczą.

- Jeśli pozwolę ci zostać, Fitzjohn, a wydarzy się cokolwiek podejrzanego, nie będę zadawał więcej pytań. Zabiję.

- Czy aż tak was przerażam?

- Wcale nie przerażasz.

- Nie? Mam złą sławę!

Carr prychnął pogardliwie.

- Ja też. I pracowałem na nią dłużej.

Uśmiechnęli się obydwoj, a Gavin poczuł dziwną więź z tym człowiekiem, coś, czego dotąd nie zaznał. Pomyślał, jak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby miał takiego ojca.

- Jeżeli jesteście równie bystrzy jak niebezpieczni, wyznaczcie mi jakieś cięższe zadanie niż czyszczenie sokolarni albo pohukiwanie na sowy. - Obserwował twarz barona, ale nic z niej nie wyczytał. - Na pewno możecie wykorzystać zaprawionego w boju człowieka.

- Tak?

Carr sprawiał wrażenie, jakby nie trafiło do niego to, co Gavin powiedział.

- W każdym razie możecie wykorzystać człowieka, który rozumie, dlaczego nie wydaje się bitwy armii, kiedy można ją pokonać, nie wychodząc z lasu. - Francuz przez całe popołudnie krytykował taktykę zastosowaną przez Douglasa, tak jakby sposób walki był ważniejszy od tego, czy się ją wygra czy przegra.

- Nadęty, pompatyczny idiota, ten *comte*. - Uśmiech wydobył zmarszczki na twarzy Carra. - Przemyślę to, co powiedzieliście.

- Niebezpieczni mężczyźni nie tracą czasu na rozmyślania.

- Skąd ten pośpiech?

Nie ucieknie przed wojną, ale może znajdzie tu od niej wytchnienie na tak długo, żeby zabił się niewidoczne dla oka rany.

- Nie było mnie dziesięć lat. Czas odzyskać moje szkockie dziedzictwo. - Opuszczając tę ziemię, stracił jakąś część siebie. Teraz, kiedy tu jest, może uda mu się ją odzyskać.

- Jesteś jego godny?

- Muszę kogoś zabić, żeby to udowodnić?

Carr przyglądał się Gavinowi dłuższą chwilę w milczeniu. Kiedy się odezwał, wyraz jego oczu był równie stanowczy jak u córki. Gavin miał tylko nadzieję, że doszedł do innych wniosków niż ona.

- Nie... Ale za wzgórzem, na ziemiach należących do Robsona, jest sześć krów, które kiedyś stały w naszej zagrodzie. Jeśli wrócą, porozmawiamy.

Zamiast uścisku ręki, wymienili uśmiechy.

W kącie sieni mężczyźni grali w kości, a Clare próbowała z ostatniego kawałka skóry wykroić kapturek i pęta dla Drobnej. Kiedy usłyszała kroki ojca, porzuciła swoje zajęcie.

- Czyżbyś go odesłał?

- Nie - odparł, spoglądając na nią.

- Dlaczego nie? - spytała, starając się nie okazać ulgi.



- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, dziewczyno. - Potrząsnął głową, kiedy grający w kości pomachali, żeby do nich dołączył. - Nalej mi wina i chodźmy na górę. Mam z tobą do pogadania.

Stanowczy ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma mowy o dyskusji, więc wstała i poszła za nim na trzecie, prywatne piętro wieży. W jego komnacie przysiadła na niewielkim stołku, zostawiając krzesło dla ojca. Usadowił się na nim i westchnął z zadowoleniem.

- O czym chcesz rozmawiać, ojcze? - spytała, chociaż dobrze znała odpowiedź.

- Ile masz lat, córko?

- To nawet tego nie pamiętasz?

- Unikasz odpowiedzi?

- Wiesz, że osiemnaście. - Jeszcze siedem lat i będzie żyła dłużej niż matka.

- Twoja matka miała szesnaście, kiedy ją poślubiłem. Czas wyjść za mąż, córko.

- Wiem, tato. - Nie było dnia, żeby nie marzyła o Alainie, dzieciach i Francji.

- Bez twojej matki... - westchnął i pociągnął łyk piwa. - Nie bardzo jestem na taką rozmowę przygotowany. Kiedy wróciłaś, cieszyłem się, że mam cię z powrotem w domu. - Położył sękatą dłoń na jej ręce.

Nie odwzajemniła uścisku. Kiedy matka umarła, wysłano ją na wychowanie do Francji do rodziny, którą wybrał lord Douglas. Podczas jej nieobecności wziął sobie do łóżka wdowę Murine, a jej córka, Euphemia, zajęła jej miejsce na jego kolanach. I nie interesował się nią, dopóki nie dorosła do urodzenia mu wnuków. Do tego czasu stał się jej obcy, podobnie jak Szkocja.

Teraz rozglądała się po zimnym pomieszczeniu, nadaremnie próbując odnaleźć jakiś ślad świadczący o tym, że matka tu przebywała.

- Alain wrócił - powiedziała. - Będziemy mogli coś postanowić. - Wojna przeszkodziła mu w zaręczynach, była tego pewna.

Ojciec pociągnął ostatni łyk piwa.

- Jeśli rzeczywiście pragniesz tego podszytego tchórzem Francuzika, nie powstrzymam cię.

- Alain jako jedyny chciał walczyć z Anglikami honorowo, stosując reguły kodeksu rycerskiego, według których powinno się prowadzić wojnę.

- Cóрко, zepchnęliśmy wojska Edwarda za granicę i nieważne jest, czy Alainowi podoba się sposób, w jaki tego dokonaliśmy czy nie. Kraj został oswobodzony. Powinnaś jednak o czymś wiedzieć. Zawarłem pakt z lordem Douglasem.

- Jakiego rodzaju? - spytała niepewnie, bo zarys zaciśniętych stanowczo ust nie wróżył niczego dobrego.

- Gwarantujący, że zamek Carrów dostanie się moim wnukom.

- Jak to? - Nic jej nie obchodził zamek ani te ziemie.

Była jedynym dzieckiem ojca i dziedziczyła to wszystko po jego śmierci, ale zakładała, że kiedy wyjedzie do Francji, lord Douglas sceduje prawo własności na któregoś z dalekich kuzynów należących do klanu.

- To się stało tej nocy, gdy o mały włos nie schwytaliśmy Edwarda pod Melrose. - Usadowił się wygodniej do opowieści. - Wpadłby w pułapkę, którą na niego zastawiliśmy, gdyby William Douglas mnie posłuchał. Mówiłem, żeby nie czekać na lepszą pogodę, ale nie słuchał niczyich rad i...

- Ojczy, co się stało?

- Siedzieliśmy, nieźle spoilem Williama i przypomniałem mu o obietnicy, jaką złożył twojej matce, zanim wyzionęła ducha.

- Jakiej obietnicy? - Ojciec wyraźnie i teraz był bliski stanu upojenia. - Nigdy dotąd o tym nie wspominałeś.

- Obiecał, że jej maleństwo, jedyne dziecko, jakie moja biedna żona urodziła, zatrzyma zamek, kiedy wyjdzie za mąż, i że to ja wybiorę jej męża. - Odchylił się na oparciu krzesła i uśmiechnął z satysfakcją. - Mam na to świadków.

Zamrugła, nie wiedząc, co powiedzieć. Trudno było sobie wyobrazić, że jej matka, z pochodzenia Francuzka, wymogła na Douglasie taką obietnicę.

- Jestem pewna, że Alain będzie z tego zadowolony. Będziemy, oczywiście, przyjeżdżać każdego roku z wizytą.

- Nie! Nie sposób bronić granicy, żyjąc we Francji. Jeśli ty chcesz Alaina, a on ciebie, musicie zostać tutaj, inaczej nie zgodzę się na to małżeństwo.

- Ale on ma swoje własne ziemie, odpowiada za nie.
- Tak jak ty. Twój mąż musi być na miejscu i zarządzać nimi sam.

Zamknęła oczy, przerażona. Z pewnością jej matka nie przewidziała tego. Przecież nie lubiła Szkocji.

- Jestem pewna, że matka nie chciała mnie tutaj uwięzić.

- Nie jesteś wszechwiedząca, córko. Twoja matka ufała mi. Wiedziała, że zrobię to, co najlepsze dla ciebie i majątku Carrów.

Clare przygryzła język. Protest na nic się nie zda. Skoro lord Douglas uczynił taką obietnicę, a ojciec z właściwym sobie uporem będzie chciał dopiąć swego, musi obrać inną strategię. Trzeba rozwiązać problem, koncentrując się na jednostkowych celach. Najpierw Alain musi poprosić o jej rękę. Dopiero wtedy powie mu, jaki warunek stawia ojciec, i spróbują znaleźć jakieś rozwiązanie.

Tylko że jedyna rzecz, jaką chciała uzyskać przez ten mariaż, stawała się nieosiągalna. Chciała raz na zawsze zostawić to miejsce za sobą, tymczasem groziło jej, że zostanie tu uwięziona. Wyobraziła sobie, że siedzi z Alainem przed paleniskiem w zamkowej wieży zamiast w jego zamku we Francji. Nagle życie z nim wydało się jej zupełnie inne, niż o nim marzyła. Wcale nie tak pociągające.

Wieści o jego pochodzeniu rozeszły się. Mężczyźni, z którymi jeszcze wczoraj jadł ze wspólnej misy, teraz unikali go. Jadał samotnie, dni mijały mu w milczeniu.

Po kilku dniach podszedł po kolacji do dwóch dawnych kompanów i wyciągnął kości.

- Zagracie?

Odpowiedziały mu ponure spojrzenia. Anglik, okrutnik - wyczytał w ich spojrzeniach.

- Nie macie niczego, co warto by od was wygrać.

- Jeśli przegram, przejmę wasze obowiązki.

- A jeśli wygracie?

- Pojedziecie ze mną na wyprawę za wzgórze. Jest tam trochę bydła, któremu trzeba pokazać drogę powrotną do domu.

Wyraz podejrzliwości na ich twarzach złagodniał i usiedli do gry, której Gavin nie zamierzał przegrać.

Clare leżała w ciepłym łóżku, nie mogąc zasnąć. Alain wciąż nie porozmawiał z nią o ich wspólnej przyszłości. Próbowwała zgadnąć, kiedy to nastąpi. Wyobrazić sobie, co wtedy powie. I jak dama może postawić takie pytanie, jeśli on nie zapyta.

Obraz Fitzjohna jednak znowu pojawił się w jej myślach. Coś nieuchwytnie mrocznego było w jego spojrzeniu. Oblała ją fala gorąca.

Chciałabyś, pani, spłonąć w łóżku? - przypomniała sobie jego słowa. Przewróciła się niespokojnie z boku na bok. To Alain powinien zajmować jej myśli.

Odrzuciła ciepły koc i podeszła do wąskiej szczeliny w murze. Powiew zimnego, wilgotnego powietrza ochłodził jej twarz. Mrok przesiąkniętej wilgocią nocy spowił wzgórze w oddali.

Usłyszała z oddali dochodzący hałas.

Człowiek na koniu.

Wstrzymała oddech ze strachu i wpatrzyła się w ciemność. To nie był odpowiedni czas na zajazd, ale Robsonowie nie zważaliby na to.

Zamknęła oczy, aby uważniej się wsłuchać. Hałas z wolna ucichł.

Wyteńczyła oczy i rozpoznała niewyraźny zarys mężczyzny jadącego wierzchem. Był zakapturzony, jechał na niedużym czarnym koniu, kopyta najpewniej zostały owinięte, by jeździec mógł poruszać się bezgłośnie.

Rozpoznała go. Po wzroście, sylwetce i sposobie dosiadanania konia.

Fitzjohn.

Przysiągł na honor rycerza, że nie wystąpi przeciwko nim, a jednak wykradał się potajemnie nocą. Czy na spotkanie z Anglikami?

Odwróciła się od okna. Musi iść do ojca, zaalarmować ludzi, niech go powstrzymają. Cichy odgłos stąpania drugiego konia powstrzymał ją.

Spostrzegła dwóch kolejnych mężczyzn.

W milczeniu patrzyła, jak kierują się w stronę wzgórz i znikają w ciemności.

Uśmiechnęła się do siebie. Może Fitzjohn rzeczywiście był Szkotem.

Baron rzucał się na łóżku, chrapiąc jak potępieniec.

Murine usiadła.

- Obudź się, ty stary koniu. Coś usłyszałam.

Zachrapał głośniejsze. Murine westchnęła. Był, jaki był, ale kochała go, niezależnie od wszystkiego.

- Ralph! Obudź się i wyteż słuch!

Poderwał się i nakrył dłonią usta, nasłuchując.

- Koń. - Nie czekała na jego ocenę sytuacji, wstała z łóżka i podeszła do okna swojej niewielkiej chaty. - Nie. Jest ich trzech. Wyjeżdżają.

- Wracaj do łóżka, Murine. - Nawet nie zadał sobie trudu, żeby usiąść. - To ten chłopak.

- Ten chłopak? Masz na myśli Fitzjohna? Skąd ta pewność?

Przekręcił się na bok i poklepał materac, pokazując, żeby wracała.

- Sam go wysłałem. Pomyślałem, że uda mi się go podejść. Trzy konie, powiadasz?

- Pokiwał głową z uśmiechem. - Nieźle sobie radzi.

Wzięła się pod boki, biodra miała szersze niż wtedy, gdy pierwszy raz spędzili razem noc.

- Złodziejskie z ciebie nasienie. Posłałeś go po bydło Robsona?

Zamknął oczy i uśmiechnął się.

- Nawet gdyby, tobym ci tego nie powiedział, przecież wiesz. A teraz wracaj, kobieto, do łóżka, ogrzej mnie.

Roześmiała się i zrobiła, co jej powiedział.

Przez następny tydzień ojciec uśmiechał się, jak ktoś, kto skrywa sekret. Nie zapytała go, dokąd pojechał Fitzjohn i jego kompani, bo jeszcze pomyślałby sobie, że ją to obchodzi. Alain nie omieszkał zauważyć, że wreszcie pozbyli się tego człowieka, ale ojciec puścił to mimo uszu. Coś ją utwierdziło w przekonaniu, że wiedział więcej, niż chciał powiedzieć.

No i tym lepiej, pomyślała, przynajmniej Fitzjohn nie będzie jej rozpraszał i skoncentruje się na Alainie, tak jak powinna. Muszą spędzać więcej czasu razem. Postanowiła zaproponować polowanie.

- Wspaniale! - zgodził się od razu. - Możecie wziąć mojego drzemlika.

- Woląabym Drobna.

- Dlaczego tak się upieracie przy polowaniu z tym ptakiem? - spytał. - Przecież was zadrapała.

Clare ukryła dłoń w fałdach sukni, a Alain poszedł w kierunku sokolarni, nie czekając na jej odpowiedź. Z westchnieniem poszła za nim.

Alain po naradzie z sokolnikiem wybrał ptaki dla reszty. Neil, zadowolony, że powrócił do dawnych obowiązków, miał jechać z nimi. Pomocnik sokolnika wiozł zakapturowane ptaki, balansujące na przewieszanej przez jego bark drewnianej obręczy. Orszaku dopełniali trzej rycerze Alaina i dwa psy.

Poprosiła w myślach Drobna o wybaczenie i trzymając język na wodzy, wsiadła na konia. Ona i Alain rzadko polowali z sokołami razem. Zapomniała już, że wypad z nim zupełnie nie przypominał jej dzikich eskapad. To polowanie było prowadzone tak, jakby konwersacja była równie ważna jak tropienie. Alain i jego ludzie przypominali sobie historię każdego ptaka po kolei, potem debatowali, który powinien polecieć najpierw, a który potem. Sokół, którego wybrał dla siebie Alain, był duży, sprawiał wrażenie, że może zapolować nawet na czapkę, ale nigdy to się nie zdarzyło. Mimo tych wszystkich dyskusji odnosiła wrażenie, że jego ptaki służą bardziej do ozdoby niż polowania, a ich wygląd jest ważniejszy niż waleczność.

Słońce stało coraz wyżej, a torba pozostawała pusta. W końcu jeden z jastrzębi upolował królika, a sokół Alaina rzucił się w pościg za gołębiem, ale nie zakończyło się to sukcesem. Drzemlik, mniejszy jeszcze od Drobnej, ścigał dwa skowronki, nie złapał żadnego, skończyło się na owadzie.

- Nie wiem, dlaczego jest dzisiaj taki opieszaly - powiedział Alain. - Może dlatego, że nie jest do was przyzwyczajony.

Clare przygryzła język. Każdy doświadczony sokolnik wiedział, że drzemlik jest dobry na jeden sezon. Trzymanie ptaka przez zimę było marnowaniem pokarmu. Nie mogła jednak krytykować Alaina w obecności jego ludzi, a nie było szansy na wymianę kilku słów na osobności. Mieli tyle prywatności, jak gdyby jechali w królewskim orszaku.

Na zadanie pytania, o które jej chodziło, zdobyła się dopiero pod koniec dnia, gdy pomógł jej zsiąść z konia.

- Kiedy wracacie do Francji? - Chciała powiedzieć „kiedy wracamy”, ale uznała, że byłoby to przedwczesne.

- Lord Douglas planuje pielgrzymkę w podzięcie za zwycięstwo. Pojadę z nim.

- Do Ziemi Świętej? - Poczwała, że ma zimne dłonie.

Nie wspominał o tym przedtem. Taka podróż zajmie co najmniej rok.

- Nie aż tak daleko. Do Amiens.

Francuska katedra z relikwią świętego Jana Chrzciciela. To naturalne, że Alain chce podróżować razem z innymi do Francji.

- Kiedy?

Wzruszył ramionami.

- To wymaga przygotowań. Pewnie latem. Modłę się, żeby wcześniej. Nie mogę się doczekać, aż opuszczę to zimne, przesiąknięte wilgocią miejsce.

To wymaga przygotowań. Oczywiście! Musi posłać z wiadomością do domu. Czekać na formalną zgodę rodziców, zanim zwróci się do niej z tym pytaniem. Dadzą mu ją, tego była pewna. Matka Alaina wychowywała ją od dziecka i nauczyła wszystkiego, co trzeba wiedzieć, aby prowadzić dom. Douglas zaaprobuje to małżeństwo, bo dobrze zna jego rodzinę.

Pozostawało tylko przekonać ojca i Alaina. Jednego, żeby udzielił błogosławieństwa, drugiego, żeby chciał zostać w Szkocji. Nie wiedziała, co będzie trudniejsze.

W kilka dni później usłyszała ciche porykiwanie bydła, ale nie przerwała siekania rzepy. Dopiero gdy porykiwanie przybrało na sile, podeszła do okna.

Fitzjohn wjeżdżał na podwórze. Za nim, zaganiane z dwóch stron przez ludzi jej ojca, stapało siedem sztuk dorodnego bydła o czerwonej, kudłatej sierści.

Roześmiała się i zabrzmiało to jak śmiech szczęścia.

- Zadowolona, że go widzisz, córko?

Zamilkła.

- Skądże. Ale ojciec z pewnością tak. Wysłał go ojciec po to bydło, prawda?

Wzruszył ramionami, ale zdradził go uśmiech.

- Szkotowi, który chce ukraść bydło, niepotrzebne niczyje przyzwolenie.

Spojrzała ponownie na Fitzjohna. Zsiadł właśnie z konia i Angus podbiegł wziąć wodze. Kilku mężczyzn trzymało się na uboczu, patrząc podejrzliwie, ale większość klasła i poklepywała Fitzjohna po plecach.

Zasłużył sobie. Przekroczył wzgórza, wciąż pokryte śniegiem, wjechał na ziemie Anglików, ukradł im połowę stada i włos mu z głowy nie spadł.

Może i miał w sobie sporo szkockiej krwi.

Gavin zaganiał bydło do zagrody, nie zwracając uwagi na barona, który go obserwował. Zadanie było prawie niewykonalne i stary wyga wiedział o tym. Mimo znużenia Gavina upajało poczucie triumfu, jakiego nigdy nie zaznał w bitewnym zgiełku.

I nie musiał nawet nikogo zabić.

- Sześć, tak jak chcieliście - zwrócił się do Carra bez zbędnych wstępów - i jedna sztuka dodatkowo dla lepszego rachunku. Nabrałem jednak podejrzeń, że to wy pierwsi skradliście je Robsonowi.

Baron uniósł brwi, usiłując przybrać zdziwiony wyraz twarzy.

- Możesz się okazać całkiem niezłym Szkotem, chłopaku.

Gavin roześmiał się. Udowodnił samemu sobie, że jest niezłym złodziejem bydła, ale ojciec Clare bez wątplenia był w tym mistrzem. Wyciągnął rękę.

- Gdzie moja nagroda? - Pojmanie rycerza w bitwie gwarantowało hojny okup, bydło, które przyprowadził, warte było co najmniej szkockiego szylinga.

- Mam coś na podorędziu.

Wyciągnięta dłoń pozostawała pusta.

- Obietnice? - spytał.

Porzucił dwóch królów z tego powodu i odszedł, nie mając nic prócz tego, co na grzbiecie.

- Usiądź dzisiejszego wieczoru przy wysokim stole. Będziesz jadł razem z moją córką. Porozmawiamy później.

Gavin potrząsnął głową, patrząc za odchodzącym mężczyzną. Kiedy podniósł wzrok, idąc w kierunku stajni, zobaczył Clare, na której twarzy gościł nieznaczny uśmiech.



W tym momencie ze stajni wyszedł Francuz, oczy zwięzły mu się na widok Gavina i ostentacyjnie ominął go szerokim łukiem.

- Nie macie dla mnie rycerskiego powitania?

Hrabia przystanął, ale wydał tylko wargi, jakby siłą powstrzymywał cisnące mu się na usta słowa.

Gavin odczekał chwilę.

- Mocno się staracie, żeby nie wypowiedzieć ani słowa. - Uśmiechnął się zjadliwie.

- Rozmowa z wami mnie obraża.

- A to dlaczego?

- *Lichieres pautonnier*\* - cisnął mu obelgę w twarz. - Jesteście zakałą stanu rycerskiego, do którego staracie się należeć.

\* *Lichieres pautonnier* - nikczemny złoczyńco.

- Baron nie podziela waszej opinii. Kazał mi dzisiaj usiąść przy wysokim stole.

- Jest równie niegodziwy jak wy. - Za jego plecami zaryczała krowa i hrabia obejrzał się zde gustowany. Omiótł pełnym niesmaku spojrzeniem stajnie, zamkową wieżę, wzgórze ciągnące się po obu stronach granicy. - Anglicy, Szkoci, nieważne. Wszyscy jesteście barbarzyńcami.

Gavin słyszał już gorsze obelgi.

- Francja nie jest strażnikiem rycerskości.

- Nie mogę się doczekać opuszczenia tej wyspy - powiedział Alain bardziej do siebie niż do Gavina. - Nie ma tu niczego godnego uwagi.

- Niczego? - przeniósł wzrok ponad ramieniem Francuza i zobaczył Clare wychodzącą z wieży, wciąż lekko uśmiechniętą. - A myślałem, że pani Clare jest wyjątkowo godna uwagi.

Przystanąła i spojrzała w ich kierunku. Słońce zamieniło jej włosy w płynne złoto. Alain poszedł za jego wzrokiem. Clare uśmiechnęła się do nich obydwu, zanim odwróciła się, by pójść do ogrodu.

- Moja matka dobrze ją wychowała - stwierdził Alain i westchnął. - Zasluguje na coś lepszego niż to tutaj.

W jego oczach Gavin nie wyczytał ani pożądanego, ani zdecydowania, tylko coś w rodzaju współczucia.

- Może ja jej to zapewnię.

- Wy? - Krótki wyraz zabrzmiał jak zawołanie do walki. - Nie ważcie się jej zbrukać. - Splunął na ziemię.

- Więc ma należeć do was?

- *La mienne?* - spytał Alain ze zdziwieniem.

- *Non?* - Tym razem uśmiech Gavina był spontaniczny.

Alain nie zamierzał prosić o rękę Clare, niezależnie od tego, że ona w to wierzyła.

- Miałem na myśli tylko to, że zasługuje na kogoś lepszego niż mężczyzna tak spodlony, że ścigają go nawet *Les Anglais*. - Odwrócił się do Gavina plecami i poszedł do wieży.

Ścigany przez Anglików? Edward musiał ogłosić go zdrajcą. Mógł się tego spodziewać. Człowiek, który zabił własnego brata, nie cofnie się przed wyklęciem bratanka.

Słaba nadzieja zdążyła się narodzić.

Może jednak uda mu się zdobyć Clare.

## Rozdział piąty

Gavin zasiadł tego wieczoru do posiłku razem z rodziną Carrów przy wysokim stole, porzucając swoje zwykłe miejsce wśród zbrojnych. Zajął miejsce obok barona, po którego drugiej ręce Francuz rzucał na niego pełne pogardy spojrzenia, unikając jak ognia zwracania się do niego bezpośrednio.

Niejednokrotnie spotykał mężczyzn jego pokroju, dla których pozory były wszystkim. Nie rozumiał, dlaczego Clare była tak w niego wpatrzona.

Ryczenie bydlę dochodziło nawet do sieni.

- Cieszę się, że mamy je z powrotem - powiedział baron z uśmiechem.
- Dopóki wasi *maudit*\* sąsiedzi znów ich nie ukradną.
- Nie lubisz nas zbyt, Alainie - zwrócił się do niego Carr.

\* *Maudit* - przekleci.

Uśmiechnął się krzywo, a Gavin pomyślał, że niechęć jest wzajemna.

- Tato, proszę. Alain jest gościem w naszym domu.
- Gościem? - nie wytrzymał Gavin. - Nie nazwałbym tak kogoś, kto przyjeżdża prowadzić wojnę.

Zmuszony mu odpowiedzieć, hrabia spojrzał na niego z odrazą.

- Francja pospieszyła Szkocji z odsieczą. To wy najechaliście szkocką ziemię i paliliście jej kościoły. Wszyscy wiedzą, kim jesteście.

Baron i Clare patrzyli na niego, czekając na zaprzeczenie. Nie odezwał się. Niech Francuz myśli sobie, co chce, pomyślał.

- To, co powtarzają wszyscy, nie zawsze jest prawdą - powiedział w końcu.
- To nie jest żadna odpowiedź.

Baron sprawiał wrażenie, jakby żałował okazanej mu niedawno wielkoduszności.

- Nie zadał pytania. Sformułował oskarżenie.

- Sami widzicie - odezwał się Alain. - Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zaprzeczyć. Ale wy, Szkoci, nie jesteście bardziej od Anglików cywilizowani. Podpalacie domy i pola ze zbożem, byle tylko nie wpadły w ich ręce.

Carr przestał się uśmiechać.

- Może się wam nie podobać, w jaki sposób Szkoci prowadzą wojnę, ale trzymamy Anglików na dystans - warknął.

- Trudno nazwać wojną to, co robicie. Albo brutalnie siejecie zniszczenie, albo bierzecie nogi za pas. Przyjechałem tu toczyć bój, a nie kryć się po lasach.

Właśnie dlatego Clare myślała o wojnie jak o pięknym widowisku, czymś w rodzaju dużego turnieju rycerskiego, a nie znojnym boju na życie i śmierć. Jej ojciec parsknął lekceważąco.

- Francuzi przez miesiące rwali się do bitwy. Wydaje się, że tylko taką znają strategię. Tymczasem Bruce doradził nam zniszczyć albo usunąć wszystko, co mogłoby ułatwić życie wrogowi. Obraliśmy lepszy sposób niż bezmyślne wystawianie się w karnym szeregu na uderzenia wroga.

- Tato! Alain jest walecznym i odważnym rycerzem!

- Nie potrzebuje twojej pomocy, żeby bronić swojego honoru - odpowiedział jej ojciec.

Gavin ugryzł kawałek owsianego placka, żeby skryć uśmiech. Podobał mu się widok Clare z rozognionymi oczami i płonącymi policzkami.

- Jediną osobą bez honoru jest tutaj monsieur Fitzjohn - kontynuował hrabia. - A jedyne, co potrafi, to atakować bezbronnych ludzi pod osłoną nocy.

- Napatrzyłem się na to, jak walczą Francuzi. - Gavin starał się trzymać na wodzy język i nerwy. - Wyzywacie na potyczkę, a potem nie można ustalić żadnej daty.

Policzki Garencieresa poczerwieniały i wybuchnął stekiem francuskich przekleństw. Clare położyła mu dłoń na ramieniu, bezskutecznie próbując go uspokoić, i posłała wściekłe spojrzenie Gavinowi. Baron wstał i wyciągnął nóż.

- Każdy Szkot jest wart dwóch Francuzów!

Hrabia wstał również i też sięgnął po broń.

- Każdy Francuz starczy za pięciu Anglików!

- Fitzjohn? - Clare skierowała na niego błagalne spojrzenie.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Pół Szkot, pół Anglik. W Szkocji pogardzano jego ojcem, na angielskim dworze uważano go za dzikusa. Która krew okaże się silniejsza? Matki czy ojca? Znowu nie wiedział, kim jest... Za kogo się uważać.

- Z czego wynika - powiedział, uśmiechając się - że ja jestem wart trzech Francuzów.

- Nie jesteś człowiekiem - oświadczył hrabia ponuro - tylko potworem, który sięga po pochodnię, żeby...

- Nie. - Wstał również i położył dłoń na rękojeści sztyletu. Postanowił wyjawić prawdę, dla Clare. - Nigdy tego nie zrobiłem.

- Co innego słyszałem. - Alain zrobił zdziwioną minę.

- Nie możecie wierzyć we wszystko, co słyszycie. - Przez lata doznawał zniewag po obu stronach granicy. Chciał się od tego uwolnić, ale nawet tutaj nie było to możliwe.

- Szkot, Anglik, Francuz. Człowiek wart jest tyle, ile jego czyny.

Zapadła niezręczna cisza i Clare, kładąc każdemu z nich dłoń na ramieniu, delikatnym naciskiem zmuszała, by schowali broń i z powrotem usiedli. W końcu baron uśmiechnął się.

- Dowiodłeś Fitzjohn, że czujesz się na naszych wzgórzach jak u siebie. Zobaczmy, co jeszcze potrafisz. Pójdiesz do zbrojowni i naprawisz szkody powstałe podczas walki.

- Ojcie! Nic ojciec nie wie o tym człowieku!

- Ani ty, córko, nic o nim nie wiedziałaś, sprowadzając go tutaj. Teraz każdy ogłasza, że wie o nim wszystko. - Spojrzał na Gavina. - Niech nam udowodni, kim jest.

Zrozumiał, że to rozejm. Spokój i schronienie, choćby chwilowe. Na tym mu zależało. Skinął głową.

- Dziękuję.

- Czas na wino - powiedział Carr.

Alain milczał, a Clare napełniła ich kubki. Gavin pociągnął łyk i zaprawiony miodem trunek spłynął mu do gardła. Napitek pani Clare był łagodny i niebezpieczny zarazem...

- Przynajmniej to w Szkocji podoba się nawet Francuzom, co? - Baron uniósł kubek.

- Lubię wiele rzeczy w Szkocji - powiedział Alain z oczami utkwionymi w Clare.

Gavin zacisnął palce na kubku. Pociągnął kolejny łyk. Kobiety nic dla niego nie znaczyły. Ona też.

Odwrócił wzrok.

A jednak... Co takiego było w Clare, że tak go pociągała? Silna, ale jednocześnie czujna jak jej sokolica. Zachowywała się tak, jakby nigdy nie odczuwała żadnych pokus, a co dopiero im ulegała. Zapraǳnął zobaczyć, kiedy ogarnia ją namiętność.

Wyobrażenie opanowało jego umysł. Clare. Naga. Rozpuszczone włosy, opadające w nieładzie na ramiona. Oczy zamglone, usta nabrzmiałe.

Wychylił resztę trunku. Gdyby wiedziała, o czym on myśli, potwierdziłoby to tylko wszystkie okropności, które na jego temat słyszała.

Może nie myliłaby się tak bardzo.

## Rozdział szósty

Nalewała im kolejną porcję trunku, świadoma wzroku Fitzjohna i Alaina. Ojciec nie bez przyjemności podjudził jednego przeciw drugiemu i wyglądało na to, że woli bastarda od hrabiego.

Euphemia przyszła z kuchni pomóc uprzątnąć stół. Kiedy przechodziła obok zbrojnych, któryś poklepał ją po pupie i roześmiał się. Clare nachmurzyła się.

- Nie powinni traktować jej w ten sposób. - Trochę zapiekło ją sumienie na myśl, że sama nie traktuje dziewczyny dobrze. - Powinieneś to powstrzymać, ojcze.

- Nie mogę powstrzymać młodych mężczyzn od patrzenia. Kiedyś też byłem młody. I też poklepywałem twoją matkę.

Skrzywiła się. Matka była delikatna i starannie wychowana. Nie pozwoliłaby się tak traktować.

- Nawet jej tu nie było. Była we Francji.

- I ja też. Pojechałem, aby mieć pewność, że król podpisze traktat. - Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczoną minę. - Nie wiedziałaś o tym, córko?

Alain uśmiechnął się sztucznie. Clare omal nie jęknęła. Fitzjohn, niech go wszyscy diabli, wymienił z ojcem porozumiewawcze spojrzenie.

- Czym ją zdobyłeś? Odpowiedz, ojcze!

Zareagowała natychmiast, nie czekając, aż ojciec znów powie coś nieprzyzwoitego.

- Oczywiście, że nie. Moja matka nigdy nie odpowiedziałaby na tak wulgarną zaczepkę. Znowu się ze mną droczysz. - Modliła się w duchu, żeby tak było.

- Nie wiesz wszystkiego, Clare. - Baron roześmiał się. - I twojej matce kilka razy zdarzyło się wyjść na nocną schadzkę.

Zacisnęła dłoń na dzbanie, aż kostki palców jej pobieleły. Od dzieciństwa pielęgnowała wspomnienie matki jako uosobienie doskonałości. Uśmiezek ojca rodził wątpliwości. Łatwo było go sobie wyobrazić stojącego pod zamkiem i wykrzykującego zalotne słowa. Jeśli jej matka była zdolna odwzajemnić się podobną lubieżnością, jak to świadczyło o Clare?

Miewała takie niepokojące myśli i próbowała to ukryć. Zwłaszcza przed Alainem. Myśli o spojrzeniach, dotknięciach, pocałunkach... O, nie. Jej matka nie była taką kobietą. Ona też nie jest. Alain nigdy nie ożeniłby się z kimś takim.

- Czy chciałabyś, aby ktoś do was śpiewał w świetle księżyca, pani Clare? - spytał Gavin.

Jego uśmiech mówił, że odczytał jej wątpliwości i chciał je rozbudzić.

- *Demoiselle* Clare jest zbyt wytworna na coś takiego - powiedział Alain.

- Sugerujesz, że moja żona nie była wytworna?

Clare położyła dłoń na ramieniu Alaina, zanim zdążył znów sięgnąć po sztylet.

- Dosyć sprzeczek jak na dzisiejszy wieczór - orzekła. - Z pewnością Alain miał na myśli tylko to, że żadna dama, a więc i moja matka, nie odpowiedziałaby na takie zaloty.

- Naprawdę tak sądzicie, *comte*?

Fitzjohn wciąż się uśmiechał, jakby cieszył się z tych słownych potyczek, a jej ojciec poparł go złośliwie:

- Posłuchaj, dziewczyno. Ja i twoja matka korzystaliśmy z uciech małżeńskiego łóżka. Jak myślisz, skąd się wzięłaś?

Twarz Alaina przybrała kamienny wyraz. Z końca stołu ktoś gwizdnął aprobująco za Euphemią. Gniew rósł w Clare.

- Przestańcie! - walnęła dzbanem w stół. - Natychmiast! Wy obaj! Nic dziwnego, że Alain uważa nas za barbarzyńców.

Mężczyźni siedzący na końcu stołu zaniechali żartów z Euphemii i zagapili się na nią. Clare zawstydzona własnym wybuchem, uciekła z wielkiej sieni i zbiegła po schodach, omal nie zaplątawszy się we własną spódnicę.

Stała na zewnątrz. Drżała, łapczywie chwyając w płuca nocne powietrze. Gwizdy i pokrzykiwania ucichły albo stłumiły je grube mury. Spokojne, powolne stąpienia Alaina odbijały się echem na schodach. Podszedł do niej, a ona wpatrywała się w ziemię, zawstydzona, połykając łzy.

- Nie wiem, dlaczego ojciec ich nie powstrzymał. Myśli, że to zabawne, co ich tylko rozzuchwała.

- Ta dziewczyna nie należy do twojej rodziny. Nie musisz się jej wstydzić.



- Dziękuję - powiedziała, czując ulgę, że tak sądził. Ale nawet jeśli w ich żyłach nie płynęła wspólna krew, Euphemia była córką kochanki ojca. - Czasami mój ojciec... Cóż, zastanawiam się... - dlaczego jest taki odrażający, dokończyła w myślach.

Spojrzenie jego oczu było łagodne, współczujące.

- Nie jesteś do niego podobna.

I cieszę się z tego, pomyślała, ale po chwili poczuła ukłucie winy. Był w końcu jej ojcem i zawsze o nią dbał.

- Nie prowadził takiego życia jak ty. Jesteśmy z innego świata...

- Ale nie jesteś kobietą, na którą się gwizdże i którą poufale poklepuje.

- Czy to znaczy, że nigdy nikt mnie nie pocałuje? - Wymknęło się jej i odwróciła oczy, zażenowana, że zadała takie pytanie.

Dzisiejszej nocy jednak chciała być całowana.

- *Mais non\**. - Dotknął jej policzka i odwrócił jej głowę, tak by patrzyła mu w twarz.

\* *Mais non* - ależ nie.

Teraz, chociaż posunęła się za daleko, on wreszcie weźmie ją w ramiona, pomyślała z nadzieją.

Przyłożył dłoń do jej policzka, pochyliła się ku niemu, jej pierś otarła się o niego, a ręka opadła do boku.

- Wszystko wydarzy się we właściwym czasie, *chérie*. Wejdźmy do środka schronić się przed zimnem.

Przygryzła wargę, żeby powstrzymać łzy. Alain nie może zobaczyć, że ona płacze!

- Idź! Ja zaraz przyjdę.

Kiedy ten właściwy czas nastąpi, Alainie?! - pomyślała, ale nie wypowiedziała tego głośno. Przypomniała sobie kilka zasad z *Miroir des preudes femmes*\*\*, aby przeprowadzić się do porządku. Matka Alaina nalegała, aby Clare wyuczyła się ich na pamięć. Cnotliwa kobieta czeka, aż jej wybrany przemówi pierwszy. Musi stać się całkowicie uległa. Nigdy nie powinna się spierać. Nigdy nie powinna okazywać złości. Przestrzeganie tych zasad ochroni jej cnotę i reputację. Zapewni jej bezpieczeństwo... powtarzano jej.

\*\* *Miroir des preudes femmes* - Z zwierciadło cnotliwej kobiety.

Poszła przez podwórze do ciemnej sokołarni, żałując, że nie może sobie pozwolić na utrzymywanie w niej światła, jak czynili to królowie. Zatrzymała się z dłonią przyłożoną do drzwi. Za późno, żeby wejść. Zaniepokoiłaby śpiące ptaki.

- Długo byliście sami, panno Clare. Gdzie Francuz?

Serce jej podskoczyło na dźwięk głosu Fitzjohna. Nikłe światło przesączało się przez okiennice w kwaterach służby, wydobywając z mroku jego twarz.

- Alain wrócił do środka. - Wiedziała, że niepotrzebnie pytał, przecież musieli minąć się na schodach. Zaczęła iść w kierunku wieży. - Właśnie szłam się położyć.

Dotrzymał jej kroku.

- Sama? - Zacmokał z dezaprobatą.

- Nie podoba mi się wasza sugestia.

- Że kobieta może chcieć spędzić noc ze swoim mężczyzną? To nie jest nic złego.

- W waszych ustach jest. - Wydało się jej, że widział rozczarowanie nieudanym pocałunkiem. - Jestem cnotliwą kobietą.

- Nie wiem, czy jesteś wystarczająco doświadczona, aby to ocenić. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pomóc to zmienić.

- Wolałabym umrzeć. - Pożałowała tych słów, ledwie przebrzmiały. Nie powinna tak lekko mówić o śmierci.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

- Ale jesteś żywa i możesz wieść takie życie, jakie sobie wybierzesz.

- Znowu mnie obrażasz, Fitzjohn.

- Czy to obraźliwe mówić, co się myśli?

- obraźliwe jest sugerowanie, że będę na tyle lekkomyślna, żeby słuchać waszych lubieżnych napomknień.

- Nigdy nie bywasz lekkomyślna, o pani?

- Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie w kwestii moich ptaków, wina ani reputacji.

Zachnął się i zrozumiała, że celnie go trafiła. Mógł sobie pozwolić na lekkomyślność w sprawach reputacji, bo nie miał nic do stracenia.

- Spróbuj, o pani, czegoś nowego. Dosiądź waszego wielkiego rumaka i galopuj po wzgórzach tak szybko, że aż wiatr zaprze ci dech w piersiach. - Przysunął się bliżej. - A kiedy odzyskasz oddech, zacznij krzyczeć.

Skąd wiedział, że właśnie tak robiła? Jakim cudem wyczuł, że ona pragnie... Pragnie czegoś, czego nie powinna przed ślubem.

- Dlaczego miałabym robić coś takiego? - Usiłowała mówić spokojnie, mimo urywanego oddechu: - Przestraszyłabym tylko konia i sokoła.

- W takim razie spróbuj innych przyjemności. - Złapał ją za rękę. Jego dłoń była przyjemnie ciepła. Pochylił się, szepcząc jej do ucha: - Poszukajmy czterolistnej koniczynki pośród wysokich traw...

Odsunęła się od niego i skrzyżowała ramiona na piersi, obawiając się pokusy.

- Mylisz mnie z Euphemią, Fitzjohn. To nie leży w mojej naturze - odparła stanowczo, choć wiedziała, że to nieprawda.

- Nigdy tego nie spróbowałaś, a więc skąd to możesz wiedzieć?

- Znam siebie. - A w każdym razie wiem, jaka powinnam być, dodała w myślach. -

Nie uda ci się zwieść mnie tak jak mojego ojca.

- Nie zwodziłem twojego ojca. Sądzę, że dokładnie wie, z kim ma do czynienia.

- Bo jesteście do siebie podobni. Bezczelni łajdacy. Obaj!

- W przeciwieństwie do tego Francuzika?

Zesztywniała. Trafił w sedno. To prawda, że ani Alain, ani ona nie pasowali tutaj.

A przynajmniej tak jej się wydawało.

- Nie pozwolę go zniesławiać.

- Nie czynię tego. Powiedziałem tylko, że w niczym nie jest do mnie podobny. Poza tym, rycerz potrafi sam bronić swojego honoru.

- Ale nie ma go tutaj, żeby mógł się bronić! - Zadarła głowę.

- Nie ma takiej potrzeby. Szanuję ciebie. I nawet jego. Ma nienaganne maniery i potrafi pięknie przemawiać, co z pewnością docenia Jan Dobry, jego francuski król. Nawet mu zazdroszczę, że jego zamek jest od pięciu pokoleń w rękach jego rodziny. Ale jeśli czekasz, żeby jemu ofiarować siebie... możesz się nie doczekać.

Powiedział to takim tonem, jakby maniery, zaszczyty i rodzina nic dla niego nie znaczyły. Silnie ją to poruszyło. Czyżby wiedział coś, czego ona się tylko obawiała? Nie, niemożliwe. Poprosi o jej rękę. Musi to zrobić!

- Nie masz prawa na ten temat mówić. Nasza przyszłość to sprawa między Alaniem i mną.

Ujął ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Gdybym to miał być ja, nie odszedłbym aż do świtu.

Grubiańskie słowa przykuły jej uwagę bardziej niż jego bliskość.

- Gdyby to o ciebie chodziło, spędziłbyś noc na zimnie w samotności.

Pochylił głowę, niebezpiecznie zbliżając usta do jej ust.

- Naprawdę?

Jeszcze trochę i wreszcie go pocałuje... Marzyła o tym!

Nagle wszystko jakby się zatrzymało. Oddech, serce, myśli. Fala uczuć, porywających jak wiatr, oderwała ją od rzeczywistości. Zaczęła walczyć, aby do niej powrócić. Broniąc się przed poddaniem, mówiła sobie, że broni się przed nim.

Ale tak nie było. Broniła się sama przed sobą. Zesztywniała z obawy, że się podda, że pożądliwość, którą w sobie tłumiała tak długo, weźmie górę i wyda ją na jego łaskę.

Głośny śmiech spłoszył ich. Rozdzielili się. Murine i ojciec, ciasno objęci, wyszli z wieży. Clare usiłowała skryć się w cieniu. Niepotrzebnie, bo nie rozglądając się na boki, poszli prosto do chaty wdowy. Ojciec miał kolejną noc spędzić w jej łóżku, zamiast w swoim.

- Naprawdę - powiedziała, biorąc z trudem oddech. - Samotnie. Tak jak ja.

- Nie warto czekać zbyt długo. - On też z trudem oddychał, nieodłączny uśmiezek znikł z jego warg. - Życie jest krótkie.

Nikt od niej nie wiedział tego lepiej. Czy jej matka doznawała nieposkromionych pragnień albo pędziła galopem przez pustkowia? Czy było w jej matce coś, czego jako dziecko nie mogła zauważyć?

- Rzeczywiście. Zbyt krótkie, żeby marnować wieczór z tobą, Fitzjohn. Dobranoc.

Uśmiech wrócił na jego twarz tak szybko, jakby powiew wiatru rozwiał powagę.

- Nie martwcie się swoimi snami, pani Clare.

Pobiegła do wieży owładnięta nagłym pragnieniem wolności. Jechać konno w ciemnościach, szybko i niebezpiecznie. Latać jak sokoły... Kochać się...

Żadne zasady nie stłumią tych pragnień, uśpionych aż do dzisiaj.

Za późno odkryła, że szydercze uwagi Fitzjohna oddziałują na nią tak samo jak na Angusa i Euphemię.

Gdy wchodziła po schodach, usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się, bojąc się i pragnąc jednocześnie znów zobaczyć Fitzjohna.

To był jednak jej ojciec.

- Myślałam, że poszedłeś do chaty.

- Muszę z tobą porozmawiać, córko. Czy to Fitzjohn był z tobą?

Dziwne byłoby, gdyby nie zauważył.

- Po prostu życzyliśmy sobie dobrej nocy.

- Gdzie Francuz?

Odruchowo spojrzała w górę schodów, na piętro przeznaczone dla rodziny, gdzie gościł Alain.

- Śpi dobrze, jak sądzę.

- Sam?

Oczywiście, że sam, taka była jej pierwsza myśl. Ale powiedziała szczerze:

- Dlaczego miałabym to wiedzieć?

- A dlaczego nie? Czy już cię miał?

- Tato!

- Nie, to jasne. Jakbym nie wiedział. Zostawiłem was samych wystarczająco długo. Najwyższy czas, żeby się zdeklarował.

- Czy to jest jedyna rzecz, o której potrafisz ze mną rozmawiać?

Ściszyła głos, gdy mijali pogrążoną w ciemnościach kuchnię, wchodząc na następny poziom wieży, gdzie spali w zamkowej sieni zbrojni.

- Nigdy nie chciał się niczego o mnie dowiedzieć? Czego chcę, jaka jestem? A ja doskonale poluję z sokołami, nawet Neil to przyznaje. Pijesz, ojcze, warzone przeze mnie piwo, śpisz pod kocem, który utkałam, i nigdy nie zadałeś mi pytania, skąd to umiem. Czy moją matkę traktowałeś w ten sam sposób?

Twarz mu się wyciągnęła, posmutniał, a ona pożałowała swojej popędliwości.

- Nie o niej mamy rozmawiać - powiedział, wchodząc na podest schodów. - Rozmawiamy o tobie. I moich wnukach.

Zerknęła na drzwi komnaty Alaina, z ulgą stwierdzając, że dochodzi zza nich chrapanie.

- O niczym innym nigdy nie mówimy.

- I o niczym innym nie będę z tobą mówił, dopóki czegoś z tym nie zrobisz! - oparł się o kamienną ścianę, jakby zmęczyło go wspinanie się po schodach albo gniew.

- Dobrze się czujesz, tato? Proszę, oprzyj się o mnie.

Odsunął ją, gdy chciała wziąć go pod ramię.

- Jestem tylko zmęczony! - ofuknął ją, ale pozwolił jej wziąć się pod ramię i zaprowadzić do krzesła. - Któregoś dnia mnie zabraknie, wiesz o tym.

Tak, wiedziała to. Także i to, że mówiąc tak, chciał wzbudzić w niej poczucie winy.

- Nic podobnego. Jesteś zbyt uparty, żeby umrzeć. - Całe życie brał udział w wojnach, mimo to jak dziecko wierzyła, że skoro Bóg zabrał jej matkę, nie pozbawi jej ojca.

- Chciałbym widzieć was obie zamężne, zanim odejdę z tego świata. Euphemia poślubi pierwszego mężczyznę, który ją o to poprosi, i pójdzie za nim Bóg jeden wie dokąd, urodzi mu gromadkę dzieci i utyje.

- Nie obchodzi mnie, co robi Euphemia - powiedziała nadąsana - i nie rozumiem, dlaczego ciebie, ojcze, to obchodzi.

Teraz powinien się zjadliwie uśmiechnąć albo wybuchnąć, jak miał w zwyczaju, tymczasem zobaczyła poważną, wręcz posępną twarz.

- Córko, córko... Któregoś dnia nauczysz się wybaczać sobie i innym.

Zdumiona, przyjrzała mu się uważniej. Czy zdawał sobie sprawę z tego, co działo się w jej głowie? Że obarcza go winą za swoją samotność. I za Murine. Że łąją samą siebie za każde wykroczenie przeciwko zasadom, które wpajała jej matka Alaina?

Jej mina musiała mu wiele powiedzieć, bo twarz mu złagodniała.

- Chciałbym widzieć cię bezpieczną. Ciebie i ziemie, które ci się należą.

- Wiem, tato.

- Wiesz, ale nic z tym nie robisz. Sam porozmawiam z tym człowiekiem, jeśli nic innego mi nie pozostanie.

- Nie! - zaprotestowała, myśląc o zażenowaniu, w jakie to ich obu wprawi. - On o mnie poprosi, we właściwym czasie.

- Ten czas ma nadejść wkrótce, córko. Do lata Francuz ma się związać z tobą i ze Szkocją. Muszę mieć dziedzica, w przeciwnym razie moje ziemie wrócą z powrotem w ręce Anglików. Ani Douglas, ani ja nie chcielibyśmy na to patrzeć. Rozumiesz? Te ziemie mają należeć do tych, w których żyłach będzie płynęła moja krew! Za mojego życia lub po nim. - Zabrakło mu tchu i zamilkł.

Clare zrozumiała, że ma przed sobą trudne zadanie.

- Rozumiem, tato - powiedziała łagodnie, chociaż w głębi serca nie do końca zaakceptowała to, co jej powiedział.

- Do obchodów święta Beltane, kiedy rozpalimy ogień na powitanie lata, ma się rozwikłać sprawa twojej przyszłości.

- Alain wkrótce się zdeklaruje. Jestem tego pewna. - Przeczuwała jednak, że nawet jeśli Alain ją poprosi o rękę, nigdy nie zgodzi się żyć przy szkockiej granicy. Ona też tego nie chciała.

Murine stanęła w drzwiach, jakby wyczuła, że rozmowa skończona. Clare przeszła obok niej w milczeniu, a ona podeszła do ojca, pomogła mu wstać i zaprowadziła do łóżka.

Ledwie zamknęła drzwi swojej komnaty, Clare udzieliła sobie milczącej reprimendy. Owszem, czas było wyjść za mąż, ale niech to się odbędzie jak należy. Niemniej nie miała już czasu na cierpliwe oczekiwanie. Beltane i lato miały nadejść za kilka tygodni. Może uda jej się obrócić obelżywe uwagi Fitzjohna na swoją korzyść? Alain, tak jak ona, nie darzył go sympatią. Może odrobina zazdrości zmusi hrabiego do szybszego działania. Musi być jednak bardzo ostrożna. Podsycanie zainteresowania Fitzjohna to niebezpieczna gra. Przede wszystkim dla niej samej.

TLR



## Rozdział siódmy

Następnego ranka Gavin z niedowierzaniem patrzył, jak Clare podchodzi do niego, uśmiechając się i kołysząc biodrami.

- Witaj, Fitzjohn.

- Pani Clare.

Skinęła mu głową i nic nie mówiąc, wciąż uśmiechnięta, popatrzyła mu w oczy. W niczym nie przypominała kontrolującej się kobiety o ciętym języku, do czego zdążył już się przyzwyczaić. Nie spał dobrze w nocy, wspomnienie ich pocałunku mu przeszkadzało. Była namiętą kobietą, teraz nie miał co do tego wątpliwości, niezależnie od tego, jak usilnie pilnowała się, aby nie dać ujścia namiętności.

- Czegoś sobie życzysz, pani Clare? - odezwał się w końcu.

Z żadnej innej przyczyny by do niego nie podeszła. Szkoda.

- Czego sobie życzę? Niczego. - Spojrzała na czubki swoich butów, a potem podniosła wzrok, zatrzepotała rzęsami i spytała go: - Dobrze się miewacie?

- Ja? - Fitzjohn znał to uwodzicielskie spojrzenie.

Zupełnie jak Euphemia, pomyślał, ale Clare je dopiero ćwiczyła. Fitzjohn zauważył, że nieopatrznie spojrzała w stronę Alaina.

- Nie patrzy na was, pani. Żeby pobudzić jego zainteresowanie, musicie posłużyć się czymś więcej niż rzucaniem na mnie spojrzeń.

- Słucham? - Zachęcający wyraz twarzy zniknął. - O co wam chodzi... - Zdała sobie sprawę z tego, że odwróciła głowę w kierunku Alaina, i umilkła.

- Jeśli chcecie wzbudzić w nim zazdrość, musicie sprawić, żeby miał o co być zazdrosny. - Dobrze wiedział, poznawszy już trochę Francuza, że okaże zazdrość, ponieważ uwielbiał rywalizację... Bardziej niż Clare.

Odsunęła się od niego, ale został z nim jej zapach, przypominający słodycz białych kwiatów i cierpką nutę górskich żurawin.

- Coś sobie wyobrażacie - bąknęła, unikając jego wzroku.

- Nie sędzę - zaprzeczył, choć wolałby, aby było to prawdą. - Chętnie pomogę, pani Clare. - Przyniósł się bliżej i spojrzał ponad jej ramieniem. - Teraz na nas patrzy. Nie

dotknąłem was jeszcze, ale przecież mogę. - Przyłożył dłoń do jej talii. - Przyciągnęliśmy jego uwagę.

- Dość - powiedziała ostro.

Miała przyspieszony oddech, a kiedy dotknął jej pleców, aby usunąć ją z pola widzenia hrabiego, poszła za nim. Poprowadził ją kręconymi schodami do wieży obserwacyjnej, z dala od oczu strażników.

Na zewnątrz odetchnął zimnym powietrzem, przenikniętym zapachem ziemi i zaczynającej wschodzić trawy. Przez wąski otwór w wieżyczce popatrzył na rozciągające się wzgórza. Przeniósł wzrok na Clare, ale ona nie patrzyła ani na wzgórza, ani na niego, tylko na puste schody. Dotknął jej policzka, żeby przeniosła spojrzenie na niego.

- Sądzisz, że przyjdzie? - Jego głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzał, jakby to jego nękała zazdrość.

- Tak. Powinnością rycerza jest mnie chronić.

Zrazu poczuł gniew, a potem troskę o nią, skoro była przekonana, że reszta świata kieruje się szczytnymi ideami.

- Pewnie przyjdzie, ale jeśli sądzicie, że każdy mężczyzna zrobiłby to samo, skończy pani marnie, pani Clare. Ten świat należy do zbrojnych, a ci nie dbają o cudzą krzywdę, jeśli znajdą cel. To jedyna reguła, która obowiązuje na pograniczu.

Wreszcie skupiła na nim wzrok. Zielone oczy zapłonęły ogniem.

- Właśnie dlatego stąd wyjadę. Te wzgórza zaludniają mężczyźni bez skrupułów i wrażliwości. Tobie podobni albo jeszcze gorsi.

- To niegrzeczne słowa, *demoiselle*. - Obawiał się, że jednak prawdziwe. Zamrugła oczami, słysząc jego francuski. Uśmiechnął się, wiedząc, że jego wymowy nie powstydziliby się Alain. - Ale może tak jest rzeczywiście...

Krew szumiała mu w żyłach, pochylił się ku jej ustom tak blisko, że mógłby spijać z nich słowa.

- Są lepsze sposoby na spędzanie czasu w towarzystwie pięknej damy.

Zachwiała się lekko. Jeszcze kilka centymetrów i on ją znów pocałuje, pomyślała. Zaczną w tym miejscu, gdzie skończyli ostatniego wieczoru, tylko teraz Clare mu się podda.

Dotknęła wargami jego ust, lżej niż muśnięcie ptasich piór. Coś więcej niż pożądanie obudziło się w nim tym razem. Objął ją delikatnie, poczuł ciepło jej ciała. Powoli, subtelnie pieścił jej usta językiem, kusząc ją.

Poddawała się mu.

Nagle go odepchnęła.

- Nie! - Oboje na moment stracili równowagę. - Nie potrzebuję cię! Nie chcę ciebie!

Czekał, aż serce zacznie mu bić wolniej.

- *Pardon, demoiselle.* - Szydził z niej swoją francuszczyzną? Czy raczej z siebie? - Myślałem, że potrzebujecie mnie, żeby *le comte* poczuł się *jaloux*\*.

- Nie ma go tu. Nie można być zazdrosnym o to, czego się nie widzi.

- *Au contraire*\*\* - uśmiechnął się. - To, czego się nie widzi, można sobie wyobrazić. Wielu ludzi szczegółowo opisuje wydarzenia, których nie byli świadkami. - Oparł się plecami o zimną kamienną ścianę i skrzyżował ramiona na piersi, żeby nie mieć pokusy jej objąć. - Wystarczy, że napomknę słówko lub dwa i nie będzie miało znaczenia, że nas nie widział. Uwierzy we wszystko, co powiem.

\* *Jaloux* - zazdrosny.

\*\* *Au contraire* - przeciwnie.

- Nie masz w sobie litości, Fitzjohn.

- Dlatego że usiłowałem, jak rycerz bez skazy, wypełnić prośbę damy? Do jakiego stopnia on ma być zazdrosny? - Przysunął się znowu do niej bliżej, niezdolny zachować dystans. - Potrafię opisać wasze oczy. Zielone, ale złamane szarością, zimne jak stal, dopóki nie patrzą w moje oczy.

Wpatrzył się w nią, jakby sprawdzał to, co powiedział. Nie odwróciła wzroku.

- On już patrzył w moje oczy.

- Więc włosy. Potrafię wypowiedzieć kilka poetycko brzmiących fraz, żeby mu opisać, jak opadają jedwabistą falą na ramiona.

- Nie uwierzy. Wie, że nigdy nie noszę rozpuszczonych włosów.

- To opowiem mu o skórze. - W jego głosie zabrzmiały niskie tony, gdy pomyślał o tym, czego pragnął, a czego nigdy nie zazna. Wyobraźnia podsuwała obraz tego, czego nie widział. Przyciągnął ją do siebie. - Tak jasnej, delikatnej i miękkiej... kiedy dotykałem twoich piersi...

- Nie wolno wam! - Odchyliła się, ale nie puścił jej. - Sugerujecie, że ja... że my...

Szybkie, zdecydowane kroki hrabiego dochodziły ze schodów.

- Proszę, nie! - Wpatrywała się w niego dzikim wzrokiem. - Uzna, że nie nadaję się na jego żonę!

Poczuł pokusę, aby rzeczywiście powiedzieć Francuzowi o jej oczach, włosach, skórze. Mężczyzna, który jej nie pożądał, nie był jej wart.

- Cóż, na to nie możemy pozwolić. Nie byli już dłużej sami.

- Puść ją!

Gavin podniósł głowę, oszołomiony jej spojrzeniem.

- Ach, hrabia Garencieres. Właśnie o was mówiliśmy.

Clare odsunęła się od niego i stanęła obok Alaina, a Gavin opuścił ręce i został sam ze swoją zazdrością.

- Nic podobnego.

- Nie? - spojrzał na nią, nie dbając o obecność Alaina. Bez trudu przyjdzie mu odgrywać rolę łajdaka, skoro sama się o to prosi. Obawiał się tylko, że trudniej będzie mu wyjść z tej roli. - W takim razie o czym dyskutowaliśmy? Prawda, o kolorze waszych oczu.

Francuz zasłonił ją sobą.

- Nawet gdybym był nieświadomy, kim jesteście, to i tak miałbym was za haniebnego zdrajcę, jak nie jednej strony, to drugiej, a najpewniej obu. Dama nie życzy sobie waszego towarzystwa.

Clare unikała wzroku Gavina.

- Zwrócił na was uwagę, pani Clare - powiedział. - Róbcie z tym, co chcecie. - Odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie, bo bał się, że zobaczy, jak dotyka jej inny mężczyzna.

O dziwo, poczuł autentyczną zazdrość. Dorastał jako jeniec na dworze Dawida, a potem trafił na pełen przepychu dwór Edwarda, gdzie zawsze jakaś kobieta była skłonna go pocieszyć. Nie wiedział, czy zawdzięcza to swojemu wyglądowi, pochodzeniu czy opinii niebezpiecznego człowieka, i nie starał się tego rozstrzygnąć. Nigdy nie udawał, że nie jest tym, kim jest - pozbawionym własnych ziem bastardem, w którego żyłach płynęła zła krew. Niczego od niego nie oczekiwały.

Clare Carr była jednak inna. Miała duże wymagania i zasługiwała na wiele. Na wszystko to, co mógłby jej ofiarować.

Uzbroił swoje serce przeciwko jej czarowi. Odrzuciła go z pogardą, a potem popełniła tę nieostrożność, aby go użyć jako przynęty dla mężczyzny, który jak ślepiec nie potrafił docenić tego, co ma na wyciągnięcie ręki.

Cóż, mógł jej wyświadczyć tę przysługę i wzbudzić w nim zazdrość. To jednak oznaczało ryzyko wzbudzenia namiętności, której nie będzie umiał stłumić.

Lepiej trzymać się od niej z daleka.

Clare odkryła, że Alaina motywowała do działania zazdrość. Przyjemne było to, że znów zaczął jej okazywać względy. Przystał nawet na to, żeby zabrała Drobna na polowanie. Neil oczywiście utyskiwał, że za późno na to, bo ptaki zaczynały się pierzyć i powinny o tej porze siedzieć w sokołarni.

Zorganizowanie całodniowego polowania dla domowników wymagało skomplikowanych przygotowań. Każdy musiał znać swoje miejsce w szyku, w zależności od statusu. Clare na to szczególnie zwracała uwagę.

Któregoś dnia poprowadzi z *château*\* nawet liczniejszy orszak.

\* *Château* - zamek.

Jej ojciec któregoś dnia wreszcie zrozumie, gdzie jest jej miejsce.

Konie tłoczyły się na podwórzu i Fitzjohn wykorzystał moment, by do niej podjechać.

- Jak widzę, hrabiemu spodobała się rywalizacja. Nie odstępuję was od kilku dni.

Wstydziła się wprost mu przytaknąć. W jakiś sposób było to upokarzające, że zareagował nie tyle na jej obecność, co na umizgi Fitzjohna, jakby ona sama nie była dość interesująca.

- Może macie takie wrażenie dlatego, że nie widzieliście dotąd, jak prawdziwy rycerz asystuje damie.

Potrząsnął głową.

- Jestem zadowolony, że znalazłem wreszcie możliwość, aby wam służyć, pani Clare.

Roześmiała się głośno, czego dama nigdy nie powinna czynić.

- Nawet mnie nie lubicie - powiedziała i zobaczyła, jak przez jego twarz przebiega dziwny wyraz rozbawienia.

Jego oczy wyrażały jednak smutek.

- O nie, pani Clare, lubię. Myślę tylko, że szykujecie się do lotu nie z tym sokołem, z którym trzeba. Powinniście wybrać kogoś, kto lubi polować w taki sam sposób jak wy.

Skręciła luźno wiszący kosmyk włosów i spróbowała wsunąć go z powrotem na miejsce.

- Damom wolno polować, to dozwolone.

- A jeśli któregoś dnia Alain zadecyduje, że nie?

W pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć. Musiała jednak przyznać, że to możliwe.

Alain zawołał na nią, więc odjechała, a gdy znalazła się za bramą, odetchnęła swobodnie i głęboko. Wiosenne powietrze sprawiło, że poczuła się, jakby znów była dzieckiem. Jak ona mogła o tym zapomnieć? Kochała te wzgórza, zanim matka umarła, to na nich zaznała radości dzieciństwa.

Jastrzębie wypuszczono pierwsze, żeby dosięgły zdobycz na ziemi. Zawsze wydawało się jej, że ptak nie powinien kołować tak nisko nad ziemią, jakby miał zawadzić skrzydłem o trawę. Sokół atakował zdobycz w powietrzu, wzbijając się wysoko, jak najwyżej... I najbliżej Boga.

Alain jechał obok niej, ale jej wzrok zatrzymał się na Fitzjohnie. Trzymał się na koniu jak wojownik i wyglądał nie na miejscu, zażywając tak pokojowej rozrywki jak polowanie z ptakami. Wojna, której nienawidził, wrosła w niego. Nie mógł od niej uciec.

Jastrząb rzucił się w pościg za królikiem, jeźdźcy z tętentem kopyt ruszyli za nim. Znużona polowaniem przy ziemi, podjechała do pomocnika sokolnika i naciągnęła na dłoń rękawicę.

- Biorę Drobna - powiedziała, podnosząc zakapturzonego ptaka, zanim mężczyzna zdążył zaprotestować. - Wrócę niedługo.

Drobna nastroszyła pióra i natychmiast usadowiła się na jej zaciśniętej pięści, jakby była zadowolona, że znów się tam znalazła. Clare ponagliła konia do biegu i popędziła na wzgórze. Wiatr świstał jej w uszach, omal nie roześmiała się głośno z radości, że inni zniknęli jej z oczu.

Wjechała tak wysoko, że śnieg pokrywał miękki grunt. Zwolniła, choć niechętnie. Zdradliwe grząskie zagłębienia znaczyły wzgórze i postanowiła nie narażać konia.

Dopiero wtedy, gdy wiatr przestał świszczec jej koło uszu, usłyszała tętent końskich kopyt. Obejrzała się przez ramię.

To Fitzjohn! Spod kopyt czarnego ogiera pryskały grudy torfu. Znalazł się przy niej i schwycił wodze jej konia.

- Wszystko, dobrze?

Pomyślał, że koń ją poniósł, odgadła. Nie powinna zaprzeczać. Damie nie wolno galopować w ten sposób, dziko i samotnie. Ale uśmiech, wywołany wiatrem i prędkością, rozjaśnił jej twarz.

- Czy to nie ty radziłeś mi, żebym jeździła po wzgórzach, krzycząc?

- Za następna granią ciągną się już ziemie Robsona - powiedział w końcu. - Może jednak nie powinniście przekraczać granicy.

Westchnęła. Chciałaby dalej pędzić konno, tak jakby potrafiła latać, ale tej pokusie musiała się oprzeć. Przywołała na pomoc ostrzegawcze spojrzenie i cofnęła konia.

- To samo dotyczy ciebie, Fitzjohn. Alainowi nie są potrzebne nowe powody do zazdrości.

Uśmiechnął się łobuzersko.

- Czy oznacza to, że mamy zacząć polować?

Clare skinęła głową. Drobna w kapturze na głowie czekała cierpliwie. Ptak był głodny, a poza tym Clare musiała wrócić ze zdobyczą, aby usprawiedliwić swoją nieobecność.

- W takim razie lepiej zjechać na dół. Ani sokół, ani jego ofiara nie dbają o granice.

Zawrócili konie i pojechali obok siebie, aż osiągnęli z powrotem linię traw i drzew. Gavin w milczeniu pokazał, że spróbuje spłoszyć zdobycz. Zsunął się z konia, który stał jak wrośnięty w ziemię, i zaczął skradać się w kierunku poszycia.

Clare zdjęła Drobnej kaptur i uniosła rękę. Sokolica wiedziała, co ma robić. Wzbiła się w powietrze, wiatr porwał dźwięk dzwoneczków. Potem zaczęła krążyć wysoko pod niebem, czekając na łup.

Fitzjohn podkraść się do krzaków, w których szeleściła liśćmi kuropatwa. Klasnął w dłonie i ptak zerwał się ze swojej kryjówki, żeby umknąć bezpiecznie w powietrze przed człowiekiem.

Łopotała skrzydłami głośniejsz niż sokół i uciekała tak szybko, że Clare ledwo mogła za nią nadążyć. Drobna rzuciła się w dół wprost na ofiarę.

I chybiła.

Kuropatwa uszła z życiem i dziko bijąc skrzydłami, poleciała w stronę doliny. Sokolica za nią. Fitzjohn wsiadł z powrotem na konia. Clare ściągnęła wodze, gotowa do pościgu. Wtedy zobaczyli, że jakiś inny sokół dołączył do pościgu. Czyżby znajomy tercel?

Clare gwizdnęła, dając Drobnej sygnał do powrotu. Zawsze to skutkowało, ale nie tym razem. Sokolica znikła. Razem z tercelem, który wcześniej zalecał się do niej.

- Potężny gwizd - zauważył Gavin - ale odleciała zbyt daleko, żeby usłyszeć.

Sama to wiedziała. A jeśli upoluje kuropatwę i odkryje, że może się pożywić bez pomocy człowieka, samiec łatwo ją skusi do porzucenia sokolarni i wybrania wolności, pomyślała zmartwiona.

- Wjedźmy na górę. - Gavin machnął ręką w kierunku wzgórz. Mówił spokojnie, w jego głosie nie było cienia drwiny, co ją zdumiało. - W ten sposób nic nie umknie naszej uwagi.



Zawahała się, ale skinęła głową i ruszyła za nim. Jeździli w tę i we w tę po wzgórzach, słońce wschodziło coraz wyżej, a w jej sercu gasła nadzieja. Czy Drobna znajdzie sama drogę do domu? Czy będzie w ogóle próbowała?

Co jakiś czas przystawali i Clare gwizdała, aż w końcu odrętwiałymi wargami mogła wydać tylko dźwięk, którego sokolica z pewnością nie usłyszy.

Wreszcie zobaczyli kołujący wysoko na niebie punkcik. Zatrzymali konie, Clare zdobyła się na jeszcze jeden gwizd. Ptak zniżył lot i rozpoznali Drobna. Wracała posłusznie.

Serce przestało jej łomotać w piersi dopiero, kiedy sokolica przysiadła na pięści i została zakapturzona, a palce Clare zacisnęły się na pętach.

Podjechali do kilku dębów, zsiadli z koni i rozłożyli koc na namięklej ziemi. Clare przymocowała pęta Drobnej do dłuźca, nie chcąc ryzykować, że ją znów straci. Ptak zatrzepotał skrzydłami, powoli się uspokajał.

- Nie złapała kuropatwy - powiedział Gavin. - Nie przyleciałaby, gdyby była najedzona.

To też wiedziała. Ptak zostawał z człowiekiem tylko dlatego, że dostawał jeść. Chciała wierzyć jednak, że Drobnej chodziło o coś więcej.

- Sokolnik ostrzegał mnie tysiąc razy, żebym nie polowała samotnie. Mogłam ją stracić.

- Wciąż to możliwe.

Zrobiło jej się zimno.

- Nie, jeśli będę się trzymać grupy i słuchać sokolnika.

- Myślisz, że to pomoże?

- Tak - odpowiedziała szorstko, chociaż odpowiedź nawet jej wydała się naiwna.

Ujął jej ręce w swoje ciepłe dłonie. Ogarnęło ją przyjemne poczucie bezpieczeństwa.

- Clare - zaczął, w jego oczach po raz pierwszy widziała szczerłość i powagę - nie ma znaczenia, co zrobisz... Los czasem nas zaskakuje.

Wyrwała mu swoje ręce.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Myślisz, że niczego nie straciłem w życiu?

- Niby co? - Bezmyślne słowa!

Pożałowała ich, zanim przebrzmiały. W jego oczach zobaczyła zaskoczenie i ból.

- Ojca, dzieciństwo, rodzinny kraj.

Poczuła niechciane współczucie. Nie chodziło jej o to, żeby zrozumieć tego mężczyznę, miała go nienawidzić.

- Straciłeś rodzinny kraj? Ty go porzuciłeś.

- Zostałem z niego wywieziony.

- Ale potem zdradziłeś króla, złamałeś rycerską przysięgę wierności.

- I uważasz, że zasłużyłem sobie na swój los?

- Tak! - Bo jeśli Bóg nie karze niegodziwych i nie chroni dobrych, to jak ktokolwiek może czuć się bezpieczny?

Zacisnął ponuro wargi.

- Jakiż to niegodziwy akt mogło popełnić trzyletnie dziecko, żeby karać je za to śmiercią ojca?

Clare przełknęła ślinę. Przez dziesięć lat nękało ją podobne pytanie. Jaka regułę złamała, że przez to umarła jej matka? Jego ojciec jednak był potworem.

- Twojego ojca zabiły jego niegodziwe czyny, nie ty.

Na jego twarz powrócił zwykły wyraz rozbawienia.

- Czy był bardziej niegodziwy od swojego dziada, Edwarda Pierwszego, który obrócił Szkocję w perzynę, stracił Williama Wallace'a, a mimo to przeżył ponad sześćdziesiąt wiosen?

Otworzyła usta, ale natychmiast zamknęła je z powrotem. Nie było na to odpowiedzi. Zdarzało się, że niegodziwcy dożywali późnego wieku, a dobrzy ludzie umierali młodo. Niezbadane są boskie wyroki.

- Przykro mi - powiedziała w końcu.

- Z powodu tego, co utraciłem, czy tego, co ty utraciłaś, czy dlatego, że znów złamałaś jakieś swoje postanowienia? - spytał z namysłem.

- Że dorastałeś bez ojca. - Jej dzieciństwo także skończyło się zbyt wcześnie, wraz ze śmiercią matki.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, spoglądając na napływające na niebo chmury.

- To było dawno temu.

- Opowiedz mi o twojej matce. To musiało być trudne.

Cień uśmiechu zagościł na jego ustach.

- Jej bracia, moi wujowie, byliby szczęśliwi, gdybym umarł. Odmawiali nawet uczenia mnie walki. Jednak ona chroniła mnie, jakbyśmy żyli tylko we własnym świecie.

- Oddała cię jednak w ręce wrogów. - Jak matka może zrobić coś takiego?

- Zostaliśmy pokonani, a król Dawid pojmany.

W jego oczach dostrzegła szczerą i błagającą o zrozumienie.

- Miałaś dopiero dwanaście lat! - Ją wysłano do Francji nawet wcześniej. Tak szlachetnie urodzeni wychowywali dzieci.

- Wystarczająco dorosły, żeby zostać giermkim króla. Uśmiechnął się. - Myślała, że jeśli pojedę z Dawidem, nauczę się czegoś na dworze ojca. Wujowie zgodzili się, bo myśleli, że nigdy nie wrócę...

Wyobraziła sobie chłopca stojącego przed swoim królewskim wujem, którego dotąd nigdy nie widział.

- Jakie były słowa króla Edwarda, kiedy powiedziano mu, kto przed nim stoi?

- Więc to ty - odparł, oczy miał nieobecne, jakby pogrążył się we wspomnieniach.

- Ale zaakceptował cię?

- Przydzielił mnie jako giermka jednemu ze swoich rycerzy i zaczął mnie szkolić, próbując nadrobić stracony czas. Myślał, że jestem zadowolony, bo znalazłem się wśród swoich.

- Byłeś zadowolony?

- Nie wyraziłem się dotąd jasno? Jestem na połę Szkotem, na połę Anglikiem, a wciąż próbujesz ustawić mnie po jednej albo drugiej stronie. - Pokazał ręką na wierzchołki wzgórz pokryte resztkami śniegu, skrywającymi niewidzialną linię podziału.

- To ty przekroczyłeś granicę. Ty sam wybrałeś.

Skinął głową ze smutkiem, wciąż zapatrzony w dal.

- Nie mogę sam jeden żyć na granicy.

Nie oczekiwał od niej odpowiedzi. Przyglądała mu się w milczeniu. Cierpienie w jego oczach gościło dłużej. Fitzjohn, który siedział obok niej, był inny, niż dotąd myślała.

- Żałujesz, że nie zostałeś w Anglii?

Odwrócił się do niej, ale milczał. Wpatrywał się w nią, jakby w jej twarzy szukał odpowiedzi.

- Nie - powiedział w końcu. - Nic nie poradzę na to, jak się urodziłem ani jakie miałem dzieciństwo. Ale wróciłem do domu na własne ryzyko. Mój wybór, dobry czy zły.

Wiatr wypełnił ciszę, która zapadła, gdy oboje zamyślili się.

Drobna zatrzepotała skrzydłami, chętna, by znów latać.

- Jak długo ją macie? - spytał, zadowolony, że może oderwać się od myśli o przeszłości.

- Trzy lata. - Za długo, wiedziała to. Regułą było złapać ptaka, ułożyć go, polować z nim jeden sezon i wypuścić go. Takie były przyjęte zasady. - Sporo wiesz o polowaniach z drapieżnymi ptakami.

- Król zabrał ze sobą ptaki, kiedy poprowadził armię do Francji. W ten sposób, kiedy sami nie zabijaliśmy, mogliśmy patrzeć, jak zabijają one.

Skrzywiła się.

- Kiedy mówicie król, którego macie na myśli, Fitzjohn?

Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

Z ulgą poczuła, że rodzi się w niej gniew, na nowo budując między nimi mur. Zachowywał się dzisiaj jak rycerz, a ona zbliżyła się do niego za bardzo. Musiał pozostać w jej oczach łajdakiem. Jeśli Clare uzna, że mroczne strony jego duszy są przemieszane z jasnymi, to samo dotknie i ją.

- Mówisz o angielskim Edwardzie czy szkockim Dawidzie?

- Obaj są miłośnikami polowań.

- Ale nie mieliście na myśli Dawida. Nie poprowadziłby armii przeciw Francuzom, naszym sojusznikom.

- Nie. Miałem na myśli Edwarda.

Nie było żalu ani wstydu w jego głosie.

- Wątpię, Fitzjohn, byście byli prawdziwym Szkotem, skoro mówiąc król, myślisz o królu Edwardzie.

## Rozdział ósmy

Tego samego dnia wieczorem ojciec był niezwykle jak na niego milczący, a w końcu wezwał ją do swojej komnaty.

- Ty i Fitzjohn byliście przez część polowania sami. Mieliście coś ze sobą do czynienia?

- Nie! Pojechałam za sokołem, a Fitzjohn mylnie sądził, że potrzebuję pomocy. Po-tem Drobna znikła nam z oczu i musieliśmy jej poszukać.

Kiedy wrócili, dostrzegła rzucane w jej stronę badawcze spojrzenia, a zazdrość Alaina objawiła się niemą furią. Ojciec uniósł sceptycznie brew, czekając na dalsze wyjaśnienia. Trudno było ubrać w słowa niejednoznaczne emocje, jakie budził w niej ten mężczyzna - pokusę, obawę, nieufność - zwłaszcza teraz, gdy doszło do tego zrozumienie, równie niebezpieczne jak jego pocałunek.

- Alain nie rozmawiał z tobą jeszcze.

Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie, mimo to potrząsnęła przecząco głową.

- Nie jest mężczyzną, którego można do tego zmusić. - Wyraźnie to dzisiaj zrozumiała ku swojemu żalowi.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle jest mężczyzną, ale skoro właśnie takiego pragniesz, będę tańczyć na twoim weselu. Jeśli jednak nie jest chętny, twoim mężem zostanie ktoś inny.

- Jaki inny?

- Ten kawał pełnokrwistego byka, Fitzjohn.

- Nie mówisz tego poważnie, ojcze! - Czyżby zwariował?

- Dlaczego? Jest pełen energii, nie brak mu męstwa.

- Ale jest pół-Anglikiem.

- Jak większość żyjących na pograniczu. Nie pałam miłością do Anglików. Całe moje życie byłem człowiekiem Bruce'a, tak jak mój ojciec i dziad. - Wzjął głęboki oddech. - Walczymy o te ziemie, odkąd sięga ludzka pamięć. Któregoś dnia to się musi skończyć. Nie wiem jak ani czy tego dożyję. Ale zanim to nastąpi, potrzebujesz mieć obok siebie silnego, bystrego mężczyznę, który zapewni ci bezpieczeństwo. Takiego, który wie, skąd wiatr wieje, i umie to wykorzystać, jak te twoje ptaki, które tak lubisz. On właśnie taki jest.

- Upokorzysz mnie, ojcze, aby chronić majątek? - Głos jej drżał tak, że ledwie mówiła.

- To ciebie usiłuję chronić!

- Nie dbając o to, kim jestem i co czuję?

- Doskonale się poczujesz, kiedy do tego wreszcie dojdzie.

- Nigdy. Nie z nim. Nie z człowiekiem, który pali żywcem ludzi! - Przysiągł, że to nieprawda, ale nie chciała w to wierzyć. Bezpieczniej dla niej, jeśli w jej oczach pozostanie potworem!

- Zrobił to czy nie, sądzisz, że my nie robiliśmy podobnych, a może i gorszych rzeczy po tamtej stronie granicy? Wojna to piekło, córko, i tylko podobni sobie mężczyźni potrafią nienawidzić tak siebie nawzajem.

Clare wstrząsnęło. Mówił jak Gavin.

- Ale racja jest po naszej stronie, tato...

Pierś uniosła mu się w głębokim westchnieniu.

- Ach, córko. Bóg nie stworzył tego świata taki prostym. Żeby przeżyć, robiliśmy rzeczy, o które nigdy byśmy się nie podejrzewali. - Poklepał ją niezręcznie po ramieniu. - I żeby ochronić tych, których kochamy.

Strząsnęła jego dłoń z ramienia.

- Nie. - Pomodliła się w myślach, by przeprosić Boga za bluźnierstwo ojca. - Mam czas do święta Beltane. - Dni dla niej biegły coraz szybciej. - Dotrzymaj słowa, ojcze. Alain poprosi o mnie do tego czasu.

Inaczej spełnią się jej najgorsze koszmary.

Gavin wszedł tego wieczoru do zbrojowni, jakby wracał do świata, który znał. Wojna. Oręż. Zabijanie.

Utrzymuj je w pogotowiu, powiedział baron. Dobrze naostrzone. Pokój to stan tymczasowy, przynajmniej dla takich jak on. Skończy się wraz z cierpliwością lorda Douglasa albo króla Edwarda.

Albo Clare.

Na razie jednak broń spoczywała nieużywana. Ujął miecz i przesunął palcem po głowni, szukając wgłębień zbyt małych, by można je było zobaczyć w świetle pochodni. Od krwi ostrza rdzewiały szybciej niż od wody.

Czyjeś lekkie kroki na schodach ucichły w drzwiach.

Clare.

Ich oczy spotkały się. Uśmiechała się? Nie, złudzenie wywołane migotaniem świecy, którą trzymała. Nic więcej.

Przez kilka godzin rozmawiali ze sobą szczerze podczas polowania na wzgórzach, ale skończyło się. Nawet jej nie dotknął, mimo to zamknęła się przed nim. Znow miał wrócić do odgrywania roli, którą znał aż nadto dobrze. Diabolicznego syna zbrodniczego ojca.

Mogła go bez żadnych dla niej konsekwencji potępiać za to, a jednocześnie sekretnie sprawdzać, jak to na nią wpływa i czy mogłoby się jej spodobać. Akurat te wątpliwości był gotów pomóc jej rozstrzygnąć.

- Co was sprowadza tak późno, pani Clare?

- Byłam w sokołarni.

- Obudzić ptaki?

Uśmiechnęła się, ale nie podeszła bliżej.

- Tercel wrócił. Przepędziłam go.

Wsunął miecz z powrotem do pochwy.

- Będzie wracał. Już przy niej zostanie.

Podobnie jak on pozostanie przy Clare. Jeździł za nią cały dzień, zachowując się jak na szlachetnego rycerza przystało. Teraz słodko-cierpki zapach białych kwiatów i górskich żurawin sprawił, że zapragnął jej. Podeszedł szybko i wziął ją w ramiona.

W pełgającym świetle pochodni łatwiej będzie nie widzieć odrazy w jej oczach.

- Ciemno, twój Francuz od dawna śpi - wyszeptał. - Nikt nas nie zobaczy. Zamierzam cię całować. - Przesunął dłońmi po jej ramionach i zatrzymał je w jej talii. - Zobaczysz, jak nic nieznaczące wydają się granice, kiedy raz się je przekroczy.

Dotknął jej ust, a granice, tak jak mówił, znikły zupełnie.

Jej ciało odpowiedziało mu. Ożyło uczucie, które tak usilnie starała się zwalczyć.

Przywarła do niego, wmawiając sobie, że to dla zachowania równowagi. Pragnęła więcej! Jego pocałunek podsycał jej apetyt. Jakby dzięki temu mogła ulecieć, oderwać się od ziemi. Granice i reguły nikły stopniowo, bladły, aż rozplynęły się zupełnie.

Otarła się o ścianę i wróciła z powrotem na ziemię.

Uderzyła go w twarz.

Zaczęła nerwowo układać niesforny kosmyk włosów na miejsce.

- No, to udowodniliście... - powiedziała, z trudem łapiąc oddech, serce jej waliło, usta miała wciąż półotwarte. Musiała wyglądać, jakby go zachęcała! - To, że jesteście niezdolni udawać rycerza dłużej niż przez jedno popołudnie.

Potał policzek, ale ten jego denerwujący uśmiech nie pojawił się na twarzy.

- Wiem, co was zdenerwowało. Słyszysz te nawoływania Euphemii przez mężczyzn, patrzysz, jak wasz ojciec i jego Murine śmieją się bez przerwy, a ty wciąż czekasz i czekasz na swojego Francuza.

- Zachowuję się tak, jak na cnotliwą kobietę przystało. - Tylko że gdy jej dotknął, zapomniała o wszystkim, co cnotliwej kobiecie przystoi, i chciała się z nim złączyć jak dzikie zwierzę. On o tym wiedział i przez to wszystko wyglądało jeszcze gorzej.

- Rok mija za rokiem, pani Clare - powiedział, potrząsając głową. - Czas upływa bardzo szybko...

Nie zrobił kroku w jej kierunku, a tego właśnie chciała. Żaden mężczyzna nigdy dotąd na nią w ten sposób nie patrzył... jakby była kobietą, której pragnie się równie mocno jak życia. Musi go powstrzymać, inaczej nie będzie potrafiła powstrzymać samej siebie.

Wzięła głęboki oddech i wybuchła najpodlejszą obelgą, jaka przyszła jej do głowy:

- Okrutnik!



Słowo wywołało na jego twarzy jedynie uśmiech.

- Widzę, że aura rycerskości i wdzięku, które roztaczałem, wcale was nie zwiody. Kazaliście mi przysiąc na honor rycerza, że tego nie robiłem, i przysiągłem. Ale to jednak tobie nie wystarcza, tak?

Potrząsnęła głową. Nie chcę ci wierzyć, pomyślała.

- Ślubowałeś też służyć Edwardowi i zdradziłeś go. Dlaczego ja miałabym ci wierzyć?

Skinął głową, jakby to właśnie spodziewał się usłyszeć.

- Dlatego nie przejmuję się swoją reputacją. Ludzie wierzą w to, w co chcą uwierzyć. To łatwiejsze niż dochodzenie prawdy. - Nachylił się ku niej, ale nie tak uwodzicielsko jak przedtem. - Proszę wierzyć w to, co chcesz, pani Clare. W to, że jestem zagrożeniem dla całej okolicy... Że każdy Szkot, mężczyzna, kobieta czy dziecko, który krzywo na mnie spojrzy, zginie w płomieniach.

Skrzyżowała obronnym gestem ramiona na piersi. Twarz miał naznaczoną gniewem - to była twarz mężczyzny nieobliczalnego.

- Tak, powinniście się mieć na baczności, o pani. Śpimy pod tym samym dachem. Już samo to nie powinno dać wam zasnąć. - Urwał, jakby zrozumiał, że się zapędził. Gniew zniknął z oczu, wrócił uwodzicielski uśmiech. Wyciągnął rękę, pogłaskał płatek jej ucha, palce prześliznęły się po jej szyi i Clare poczuła, że za chwilę jęknie. - A może jest coś innego w mojej osobie, co nie pozwoli wam zasnąć... O pani?

- Nic, co was dotyczy, Fitzjohn, nie zakłóci mojego snu - powiedziała, strząsając jego rękę. - Chyba że modlitwa, abyście jak najszybciej stąd wyjechali.

Pędząc w kierunku schodów, wiedziała, że to nieprawda. Kradł jej sen każdej nocy. A po tym pocałunku wiedziała już dlaczego.

Walnął otwartą dłonią w drewniany stół, kiedy wyszła. Mimo jej cierpkich słów, pociągała go jak żadna inna kobieta.

- Dałem ci dach nad głową nie po to, żebyś rozbijał mi meble.

Gavin odwrócił się zaskoczony i zobaczył Carra stojącego w drzwiach.

- Tak, baronie? - spytał.

- Rozkoszuję się wieczornym wiosennym powietrzem.

- Kazaliście mi doprowadzić broń do porządku. Nie musicie mnie przy tym nadzorować, panie.

- Rozmawiałeś z moją córką.

- Tak - odpowiedział, zastanawiając się, ile baron słyszał z rozmowy.

- Nie przepada za tobą - padło stwierdzenie raczej niż pytanie.

- To obopólna niechęć.

- Tak? - spytał Carr z uśmiechem, który pozaczył zmarszczkami jego twarz. - To udało się ci wywieść mnie w pole.

Gavin miał nadzieję, że jest zbyt ciemno, aby stary lis zauważył, jak pałają mu policzki.

- Nie pasujemy do siebie. Jesteśmy zbyt różni.

- Nie zgadzam się. Widzę cię jako pretendenta do jej ręki.

- Do czego? - warknął niegrzecznie Gavin.

- Pozwoliłem ci zostać, mimo że wiedziałem, kim jesteś. Masz mnie za głupca?

W odpowiedzi Gavin roześmiał się szczerze.

- Nie, baronie.

- Robię wrażenie idioty o miękkim sercu?

Odczuł pokusę, żeby przytaknąć, tylko po to, aby go zdenerwować.

- Nie, panie, zupełnie nie.

Carr podszedł do ławki i usiadł na niej, opierając się plecami o stół.

- Wpuściłem cię do swojego domu, choć większość mężczyzn chwyciłaby za broń na sam twój widok. Jak myślisz, Fitzjohn, dlaczego?

- Nie wiem, baronie.

- Jest coś, co chciałbym, żebyś zrobił.

Mógł się tego spodziewać. Nikt nie pomógłby mu bezinteresownie.

- Mam ukraść więcej bydła?

- Nie tym razem. - Carr roześmiał się.

- Więc powiedzcie mi, o co chodzi, a ja powiem, czy to zrobię.

- Masz się ożenić i płodzić dzieci.

Poczuł chłód na karku, jak od kolczugi w deszczu. Patrzył na uśmiechającego się starego mężczyznę i nagle pojął, co baron miał na myśli.

- Niech mnie diabli...

- Kiedyś. Ale najpierw poślub moją Clare!

Gavin milczał, ale jego zszokowana twarz mówiła wszystko.

- Zdziwiony, co? - Carr zachichotał.

Ożenić się z kobietą, która śmiertelnie go nienawidzi. Baron chyba oszalał.

- A więc? - Carr pochylił się, uśmiech znikł, twarz miał niezwykle poważną, jakby rzeczywiście czekał, czy Gavin przystanie na jego propozycję.

Nie chciał rozczarować barona, ale to się nie mogło wydarzyć. Clare nie chce mieć z nim nic wspólnego. Poza tym nie mógł wiele dać kobiecie. Kiedy opuścił Edwarda, odszedł z niczym, prócz tego, co zyskał, wojując mieczem.

- To bardzo interesująca propozycja.

- Propozycja! - wybuchnął baron. - Mówię o kontynuacji rodu Carrów. O wnukach z mojej krwi, żeby te ziemie nie przeszły w ręce jakiegoś służalczego pochlebcy, dbającego o konia Douglasa!

A więc brał to wszystko na poważnie, stwierdził Gavin.

- I dlatego pozwolicie, aby wasza krew zmieszała się z moją? Krwią bezdusznego okrutnika, który spalił żywcem pół wioski?

Carr rzucił mu ukośne spojrzenie.

- Przeniesiesz się na piętro dla rodziny. Przekonasz się, czy przyjemnie spać na sienniku ze świeżą słomą. Przyjrzyj się Clare. Potem zadecydujesz.

Puls mu przyspieszył, i to nie na myśl o czystych prześcieradłach, tylko o niej.

- Czy Clare się na to zgodzi?

- Zgodzi, zgodzi - odparł baron, odwracając wzrok.

- Wątpię. - Pocałunek ją przestraszył, zamiast rozpalić. - Więc co zyskam, poza narzeczoną, która nie może znieść mojej obecności?

- Zamek, ziemie. Kosztowności, które zostawię po śmierci.

Pomyślał o domu i własnych włościach. Zawsze to samo niebo nad głową. Coś, czego nawet sobie nie wyobrażał. Zdusił płomyk nadziei, obawiając się, że rozпали się zbyt mocno.

- Obiecujecie mi to, co nie od was zależy, baronie. Nigdy nie słyszałem, aby Szkot mógł tak po prostu przekazać swoją własność.

- Kiedy mój syn zginął w bitwie pod Neville Cross - powiedział baron z chytrym uśmiechem - lord Douglas w chwili słabości, co nigdy przedtem się nie zdarzyło, obiecał mi, że jeśli Clare weźmie sobie męża, zanim Dawid Bruce powróci z niewoli, zaakceptuje każdego, którego wybiorę.

Clare nigdy nie wspomniała o bracie.

- Dawid jest w Anglii od dziesięciu lat.

- Widocznie lord Douglas nie spodziewał się, że pozostanie tam tak długo.

- Dlaczego ja?

- Bo mi się podobasz. - Carr roześmiał się. - Bo sądzę, że będziesz dobry dla niej. I dla tej ziemi.

Kuszące. Tak bardzo kuszące, że aż obawiał się uwierzyć w szczerłość barona.

- Przemyślę to.

- Niebezpieczni mężczyźni nie tracą czasu na rozmyślania.

Jego własne słowa, które rzucił baronowi przy pierwszym spotkaniu. Teraz to on naciskał jego.

- Teraz. Decyduj!

Mieć dom w kraju urodzenia... Warte było piekielnej narzeczonej, której będzie musiał stawić czoło.

- Może wybrać *le comte*. - Nie sądził, by tamten o nią poprosił. A jeśli się myli?

Carr prychnął pogardliwie.

- Naprawdę myślisz, że gdybyś zaczął się na serio do niej zalecać, wybrałaby tego podszytego tchórzem Francuzika?

- Nie. - Wiedział, że mógłby jej dać tyle, ile żaden inny mężczyzna... gdyby tylko chciała.

- Teraz wreszcie widzę, że wybrałem właściwie. - Baron wyciągnął rękę, spojrzeli sobie w oczy i uściskali dłonie. - A teraz posłuchaj mnie. Masz ją traktować właściwie. Jeśli się połączycie, nie waż się wziąć innej, bo cię zabiję.

Dziwaczne ostrzeżenie, pomyślał Gavin. Ciekawe, kiedy po raz pierwszy wziął Murine do łóżka. I czy skazałby sam siebie na życie w celibacie.

- Może sprawiać wrażenie kruchej - powiedział baron - ale jest ukuta z twardszego żelaza niż większość mężczyzn. - Odchrząknął ze wzruszeniem. - Tak jak jej matka.

I tyleż samo warta, pomyślał Gavin... że ani ja, ani jej ojciec jej nie dorównujemy.

- Kto powiedział, że małżeństwo to wieczna szczęśliwość? - spytał refleksyjnie.

Naprawdę miał wątpliwości, czy nie gotuje sobie czyścica jeszcze za życia.

TLR

## Rozdział dziewiąty

Następnego wieczoru przeniósł się na wyższe piętro wieży, do pokoju wychodzącego na południe. Angus taszczył jego sakwę, chociaż nie było to konieczne, bo cały swój majątek mógł zanieść sam.

- Gdzie śpią inni?

- Pani Clare po drugiej stronie, a *comte* - skrzywił się i pokazał na drzwi - tam.

- A baron?

Ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi po zachodniej stronie.

- Na końcu, ale podobno nie sypia tu zbyt często. Gavin skinął głową. Wszyscy wiedzieli, że Carr spędza tyle samo nocy we własnym łóżku, co u Murine.

- Dziękuję, Angus.

Odprawiwszy chłopca, podszedł do okna i spojrzał w kierunku granicy z Anglią. Była gdzieś tam, na jednym z tych wzgórz, ciągnących się jedno za drugim jak morskie fale. Po jednej stronie Szkocja, a po drugiej, pokrytej tym samym topniejącym śniegiem, Anglia.

Jak można było wiedzieć, kiedy przekraczało się granicę, skoro nie wyznaczał jej żaden mur ani nawet znak?

Odwrócił się gwałtownie od okna. Jeśli ma się o nią starać, najlepiej zacząć od razu.

Uchylone drzwi od jej komnaty kusiły, żeby zerknąć. Tapiseria w barwach czerwieni i złota, której omal nie zniszczył, okrywała skrzynię w nogach jej łóżka. Przy paleniku bulgotała w płaskim naczyniu woda z dodatkiem lawendy, napędzając zapachem pokój. Niemal zbyt intymny obrazek... Czuł się, jakby wejrzał w jej wewnętrzny świat, w jej marzenia.

Delikatnie popchnął drzwi. Siedziała na łóżku i szyła kapturek dla sokoła.

Wstrząsnął nim jej widok, choć więcej niż raz wyobrażał ją sobie nagą. Jasne włosy, zawsze splecione, tym razem opadały niesfornie na ramiona i piersi. Nie były złociste, jak u Plantagenetów, połyskiwały srebrzyście, jakby skradły światło księżyca.

Zza drzwi wychodzącej na zachodnią stronę komnaty dobiegł ich śmiech barona i Murine. Clare zmarszczyła brwi i podniosła głowę, a potem go zobaczyła.

Ich oczy spotkały się, ona rozchyliła wargi ze zdumienia. Wstrzymała oddech.

- Prawdziwie pięknie pani wygląda, Clare - powiedział z zachwytem.

Splonęła rumieńcem i pośpiesznie okryła się kocem.

- Wyjdźcie!

- Sypiam teraz tutaj. Nie wiedziałaś? Baron polecił mi się tu przenieść, bliżej was.

- Mówił mi - przyznała z ciężkim westchnieniem.

- Nie ma jednak powodu do niepokoju. Nie mam zamiaru bawić się pochodnią.

Zesztywniała, a on pożałował swoich słów. Wpatrzyła się w jego oczy badawczo i twarz jej lekko złagodniała.

- Nie - odezwała się w końcu. - Nie uczynicie tego, Gavinie.

Zdusił chęć sprawdzenia, czy ma dla niego więcej ciepłych uczuć. Jeśli miał ją poślubić, nie powinien przypominać jej, jak niewiele w nim ze szlachetnego rycerza z jej snów, ani wspominać wojnę. Będą rozmawiać o dworskich rozrywkach. Oparł się o framugę drzwi. Postanowił, że dalej nie wejdzie.

- Pięknie wyglądasz, siedząc tak tutaj. - Powiedział to niskim, pełnym emocji głosem, choć starał się je ukryć. - Jak mała dziewczynka gotowa odmówić modlitwę przed snem, wolna od wszelkich trosk... A może jednak ma pani jakieś zmartwienia?

- Żadne, którymi chciałabym się z wami dzielić, Fitzjohn.

Moment słabości minął, ale wciąż czuła się zagrożona. Wiedział to.

- Szczęśliwa i beztraska jak wtedy, gdy byłaś małą dziewczynką.

- Nigdy nie byłam taka, nawet jako dziecko. Matka umarła, gdy miałam osiem lat.

Zaskoczony, pomyślał, że oboje dźwigają podobne brzemie przeszłości.

- Może po prostu powinnaś zapomnieć o oczekiwaniach innych i żyć, jak serce dyktuje.

Zamknęła oczy i zacisnęła wargi, jakby niełatwo przyszło jej odrzucić tę wizję.

- Z trudem przychodzi wam roztaczać wokół siebie urok, Fitzjohn. Zaniechajcie starań...

Nie zgasiło to jego uśmiechu.

- Tak? Ojciec wam nie powiedział? Masz wyjść za mnie.

- Niezależnie od płonnych nadziei mojego ojca, nie łudź się. Jestem kimś więcej i zasługuję na coś więcej. Nie chcę być tylko narzędziem do utrzymania tych ziem i rodu wnuków!

Cokolwiek baron jej powiedział, nie ułatwił mu zadania.

- Cóż, chcecie mnie czy nie... Jestem twoim przyszłym mężem.

- Nie, dopóki żyję.

- Poprosił o was ktoś lepszy, bliższy sercu? - odparł atakująco.

Wyprostowała się i uniosła z godnością głowę.

- Znacie odpowiedź.

Uniósł kpiąco brwi.

- Więc dlaczego mną gardzisz? Dlaczego odrzucasz moje uczucia?

- Ty nie masz uczuć, Fitzjohn - odparła, potrząsając głową.

Wolałby, żeby to była prawda.

- Znowu mnie pani obraża, pani Clare - odpowiedział, wciąż się uśmiechając.

- Chcę mężczyzny, którego obchodzę ja, a nie tylko moje ciało i majątek.

Dziwne wyznanie, skoro marzyła o dworskiej miłości.

- Jeśli chcesz pozostać damą, zapewne niczego więcej byś nie mogła oczekiwać od męża. Ale jeśli mnie poślubisz, będą mówić: „oto Clare, oddana przez jej bezdusznego ojca bastardowi i podpalaczowi”. Zapewniam jednak, że nie będzie to miało najmniejszego znaczenia, bo każdy rano powitasz uśmiechem.

Na moment jej twarz zmieniła wyraz.

- Pochlebiacie sobie, fantazjując. Nie jestem panienczką, która potrzebuje silnego męskiego ramienia i nieustrudzonego w miłosnych bojach kutasa.

Zszokowany, przestał się uśmiechać, a ona powiedziała ze zjadliwym uśmiechem:

- Nie spodziewałeś się, że znam takie słowo, tak, Gavinie?

- Cóż, jesteś kobietą nieprzewidywalną. - Podobała mu się coraz bardziej.

- Jestem odpowiedzialna, niezawodna i rozsądna. - Zabrzmiało to tak, jakby próbowała przekonać siebie, nie jego.



- Tak, rzeczywiście, pani Clare. - Taka właśnie jesteś... I nie tylko. Także piękna, przenikliwa i bystra jak wasze sokoły. I tak jak one, złapana w pułapkę.

Zadarła dumnie głowę, policzki zaróżowiły się.

- Darujcie sobie ten uśmieszek. Nigdy mnie nie zdobędziecie.

- Nigdy to zdradliwe słowo.

- Nie szafuję nim. Oszukujesz samego siebie, jesteś ślepy jak zakapturzony ptak, zadowolony w swojej ignorancji. Cokolwiek mój ojciec obiecał, ja nie jestem częścią tej obietnicy.

Wciąż uśmiechnięty, sparodiował obrażoną minę.

- Czy francuski towarzysz jest lepszym kandydatem do twojej ręki, o pani? - zapytał, ironizując.

Jej spojrzenie jasno mówiło, że nie uważa za stosowne mu tego wyjaśniać.

- Wybrałam mężczyznę, z którym chcę dzielić życie i... - zawahała się.

Niewiele kobiet może decydować o sobie, pomyślał. Ona jednak chciała sama znaleźć to jedno, jedyne ramię, na którym mogłaby przysiąc, niczym jej sokolica...

- Więc opowiedz mi o tym wzorze cnót, którego szukasz, Clare.

- W niczym nie jesteś do niego podobny.

- Głęboko martwi mnie to, że tak mówisz, choć niewiele o mnie wiesz.

- Wystarczająco.

Jak wszyscy, stwierdził smutno. Ale oceniałaby go jeszcze gorzej, gdyby wiedziała wszystko.

- W takim razie opowiedzcie mi o cudownym *comte de Garencieres*. Dlaczego uważasz go za ideal?

Twarz jej złagodniała.

- Ma godne podziwu maniery, jest szlachetny i sprawdził się w bitwie. Jest godnym rycerzem, który ceni sztukę i literaturę. Obeznanym z życiem dworskim.

Zacisnął szczęki i z goryczą przypomniał sobie, że przez swoje urodzenie został pozbawiony takiego życia. A Francuz sprawiał wrażenie, jakby okropności wojny nie zostawiły w nim żadnego śladu. Już tylko za to można go było podziwiać.

Ponieważ milczał, mówiła dalej:

- Rozumie, czym jest wspólna radość i przyjemności.

- Jak wielu mężczyzn. - Szybko odkryłaby ku swojemu rozczarowaniu, że jej *comte* wcale do nich nie należy. Jeśli on był ślepy, to ona tym bardziej, ale tego nie mógł jej powiedzieć.

Odrzuciła koc, zsunęła nogi na podłogę i kontynuując swoją przemowę, zaczęła iść w kierunku drzwi.

- Mężczyzna, którego poślubię, doceni fakt, że robię najlepszy brogat po tej stronie Jed Water.

Serce zabiło mu szybciej, gdy zaczął się dopatrywać jej kształtów pod luźną koszulą. Uśmiechała się, podbródek zadarła wyzywająco, przechyliła głowę.

- I będzie tańczył ze mną w bezksiężycową noc, rozświetlaną tylko gwiazdami. - Uśmiechnęła się marzycielsko i mówiła dalej, bardziej do siebie niż do niego: - Będzie pędził ze mną za sokołami, tak szybko, jak ptak potrafi latać...

To ja ją namawiałem, żeby galopowała, upajając się wolnością, pomyślał. Ale trzymał język na wodzy, jakby jej sokolnik zacisnął na nim pęta. W zapadającym mroku wyglądała jak nieziemski zjaw. Jasna koszula, jasne włosy, jasna skóra. Księżycowy anioł... Był pewien, że otaczałaby ją ta aura nawet w kompletnym mroku. Ich oczy spotkały się i Clare wróciła do rzeczywistości.

- Dla takiego mężczyzny, tego jedyne, będę najlepszą żoną, jaką mógłby sobie wymarzyć.

Stała przy drzwiach z triumfalnym uśmiechem, jakby go pokonała. On natomiast pragnął tylko jednego: położyć ją na jej panińskim łóżku, aż zdradziłaby mu resztę swoich sekretów...

- Przy następnym nowiu zacznie się święto Beltane. Wtedy ze mną zatańcz. - Wydało mu się, że wyczytał w jej wzroku odpowiedź. Cień pożądania, który dał mu nadzieję. Położył delikatnie rękę na jej ramieniu, tak żeby jej nie spłoszyć. - Będziemy się kołysać pod gwiazdami i dziękować za powrót lata... Rozpalimy ognisko, aby mieć pewność, że wróciło na dobre. - Jej blada twarz pobladła jeszcze bardziej, a on zrozumiał, że mówiąc o ogniu, znów stał się dla niej złoczyńcą. - Och, nie bój się - powiedział, sarka-

styczny uśmiezek wrócił na jego twarz, jak obronna tarcza. - Nigdy nie spaliłbym nikogo, kto jest dla mnie miły. Będziesz dla mnie miła, prawda, Clare?

Odsunęła się.

- Tak miła, jak na to zasługujesz, Fitzjohn.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, a jego głośny śmiech rozległ się po zamku.

Tercel wrócił kilka dni później i upuścił kęs zdobyczy u stóp Drobnej. Clare patrzyła, jak pikuje nad żerdzią, a potem kłania się przed sokolicą.

- Karmi ją - powiedziała.

- Próbuje skłonić ją, żeby się połączyli - odparł.

Clare spojrzała na niego karcąco, mimo że mówił o sokołach.

Zawarli rozejm. Niechętnie, ale pozwoliła, aby pomagał sokolnikowi w codziennej pracy, zwłaszcza że było to konieczne. Alain nie interesował się swoimi ptakami, zabierał je tylko na polowanie. Odkryła, że Fitzjohn wie o ptakach więcej niż ona sama, a nawet Neil.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedział, i tym razem nie poczuła strachu.

- Czy to możliwe? Tutaj?

Potrząsnął przecząco głową.

- Jak młode miałyby nauczyć się latać i polować? Schwytyany dziki ptak to potrafi, pomyślała przekornie.

- W taki sam sposób, w jaki opierzone pisklę wyjęte z gniazda. Drobna gniazdowała na gałęzi.

- Ale przynajmniej rodzice uczyli ją latać. Czy tutaj byłoby to możliwe?

Rozejrzała się po sokolarni i nagle wydała się jej ciasna i mroczna.

- Ptaki rodzą się z umiejętnością latania.

- Widziałem pisklęta, które wypadły z gniazda i nie potrafiły wrócić. Świat był pełen niebezpieczeństw.

- Więc może byłoby dla nich lepiej, gdyby rosły tutaj, a potem rodzice mogliby je uczyć latać.

- Naprawdę myślisz o rozmnażaniu sokołów? - spytał z zaciekawieniem, uważnie się jej przyglądając.

Przynajmniej rozmawiał z nią o tym. Alain i sokolnik odrzuciliby ten pomysł natychmiast jako niedorzeczność.

- Zastanawiam się, czy to możliwe.

- Dlaczego? To wbrew ich naturze.

- Bardziej wbrew naturze niż zmuszanie ich, żeby polowały z nami?

- Polują instynktownie.

- Przekonywaliście mnie, że łączą się w pary także instynktownie - odparowała z uśmiechem.

Gavin roześmiał się, głośno, niewymuszenie. Napięcie między nimi znikło. Clare zmarszczyła czoło.

- Nigdy się tego nie robi, wiem. Właściwie dlaczego? Wzruszył ramionami, miał sceptyczną minę.

- Spróbujcie, a sami się przekonacie.

Było coś pocieszającego w myśli, że Drobna mogłaby mieć pisklęta. Ptaki zawsze wracają do gniazda, więc gdyby zaakceptowała tercela, tu byłby jej dom. Miejsce, którego nigdy by nie opuściła.

- Zastanawiasz się nad czymś, co się nie zdarzy - przerwał jej rozmyślania. - Nigdy nie słyszałem, żeby sokoły łączyły się w sokolarni.

Myśl jednak już zakiełkowała w jej głowie. Następnym razem, gdy zobaczy tercela, zamknie drzwi i uwięzi go w środku.

Zdaje się, że tak samo powinna postąpić z Alainem, żeby zmusić go do oświadczenia, zanim dany jej czas upłynie i ojciec znów postraszy ją Fitzjohnem.

W przeddzień święta Beltane odkryła jajko.

W ciągu ostatnich tygodni Drobna zajmowała w sokolarni wysoko umieszczoną, płaską półkę. Razem z tercelem naznosili na nią gałązek i trawy, ale tego ranka, zamiast stać jak zwykle na nodze, sokolica siedziała w głębi półki, jakby chciała coś ukryć.

- Co się dzieje, Drobna? - spytała Clare, jakby ptak mógł ją zrozumieć. - Co tam masz, skarbie?

Sokolica rozłożyła skrzydła, przestraszona, wyraźnie nie chcąc dopuścić Clare bliżej, ale pod piórami dało się dostrzec brązowe jajo. Łzy zakręciły się Clare w oczach. Dziki ptak, jej towarzyszka, znalazła sposób, żeby założyć rodzinę. Nawet w niewoli potrafiła tego dokonać.

Przypomniała sobie, co mówił Gavin. Trzeba tygodni, zanim ptak zniesie jajko. Więc podczas gdy ona zachęcała Drobna i tercela do gniazdowania, oni już dawno się połączyli w parę. Być może tego dnia, gdy myślała, że straciła sokolicę.

- Ach, tu jesteście, *demoiselle*. Znudziło mi się to szkockie ale i mam ochotę na clareta dzisiejszego wieczoru. Podaj go do kolacji, proszę.

Na dźwięk głosu Alaina Drobna zatrzepotała skrzydłami i zaskrzeczała ostrzegawczo.

- Spójrzcie - wyszeptała Clare, jakby sokolica mogła zrozumieć to, co usłyszy. - Wysiaduje jajko.

- Każ je zniszczyć - powiedział, nawet nie rzucając okiem. - Ptaków się nie hoduje. A nawet jeśli zdarzy się za wcześnie zabrać je z gniazda, to potem słabo latają.

Nie mogłaby tego zrobić.

- Nie! Wierzę, że Drobna wyszkoli pisklę na doskonałego łowcę.

- Co innego powiesz, gdy pisklę będzie całymi nocami skrzeczeć, a potem odmówi latania, wiedząc, że i tak zostanie nakarmione. Sokolnik wykazał się niedbalstwem, pozwalając, żeby tercel się do niej zbliżył. - Wzruszył lekceważąco ramionami. - *Ce n'est rien\**. Matka jest za mała, żeby dobrze polować.

Clare z gniewu jakby urosła i nabrała pewności siebie.

- Jajko należy do niej. Nie odbiorę go jej.

- *Bien sûr\*\**. - Uśmiechnął się do niej. - Zrobisz, jak chcesz. Jak inaczej miałabyś się przekonać, że mam rację? Ale przygotuj się na rozczarowanie, Clare.

Wyszli na zewnątrz i Alain, ucałowawszy końce jej palców i przypomniawszy raz jeszcze o winie, odszedł.

\* *Ce n'est rien* - to na nic.

\*\* *Bien sûr* - dobrze.

W piwnicy znalazła ostatnią beczkę wina, które skwaśniało. Alain będzie niezadowolony, pomyślała. Miał rację co do sokolicy, tym bardziej że Gavin mówił to samo. Czyżby intuicja myliła ją? - zastanowiła się.

Tego popołudnia, w przeddzień święta Beltane, czuła się niespokojna i nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Scedowała wszelkie przygotowania na Murine. Matka przybyła tutaj z Francji, nigdy nie przyswoiła sobie tutejszych świątecznych rytuałów i nie nauczyła Clare, jak obchodzić te uroczystości.

Jej matka, tak jak i Alain, była obca na tej ziemi. Jeśli nie zdoła przekonać ojca do zmiany zdania, czy potrafiłaby z czasem poczuć się tu jak w domu?

Odpędziła tę myśl od siebie. Francja będzie jej domem, pocieszyła się w duchu. Kiedy była dzieckiem, czepiała się spódnicy matki pod koniec dnia, gdy wygaszano ogień w paleniskach. A jeśli nie uda się na nowo go rozpalić? Jeśli zostawią ją samą w ciemnościach niekończącej się nocy?

Nie bała się już ciemności, ale wiedziała też, że rozpalenie ognia całkiem na nowo jest trudną sztuką. Co jeśli tym razem drewno się nie zajmie? Co, jeśli Alain o nią nie poprosi? Najwyżej ona z nim porozmawia, nawet jeśli zaprzeczy to wszystkiemu, co jej wpajano. Alain nie wie o ultimatum. Zrozumie, kiedy mu wyjaśni, dlaczego nie mogła czekać.

Pokrzepiona tą myślą, przeszła się po wieży i wśród chat, upewniając się, że wygaszono ogień. Twarz jej pojaśniała na widok kwitnących jarzębin. Jako dziecko uwielbiała widok białych kwiatów, którymi obsypywano wygaszone paleniska i przejścia między zabudowaniami, żeby zapewnić sobie pomyślność. Wciąż je uwielbiała. Białe, czyste, nieskazitelne.

Zmierzch zmienia kolor nieba i Clare zostawiła za sobą zamek, podążając wraz z innymi na wzgórze, gdzie miał zapłonąć ogień. Serce w niej drgnęło, gdy popatrzyła na ciągnące się wzgórze. Wkrótce owce zostaną wyprowadzone na pastwiska i nadejdzie lato. Ona już tego nie zobaczy. Będzie wtedy w drodze do Francji.

Wczoraj mężczyźni przygotowali wgłębienia pod dwa ogniska. Te same, jak co roku, ale trzeba je było oczyścić z trawy i naniesionej wiatrem ziemi. Dopiero niedawno

wypełniono je suchym drewnem, nie zostawiano go jednak na noc w obawie, że zawilgotnieje od rosy i nie zajmie się.

Z dzieciństwa pamiętała, że konstruowano wielkie koło i wielu mężczyzn biegło razem, popychając je, aż pod wpływem tarcia rodził się ogień. Teraz był to rodzaj współzawodnictwa, a nie zbiorowe zadanie. Mężczyźni ustawiali się w jednej linii i ścigali się. Ojciec zawsze wygrywał, zawsze był pierwszy, ale musiał w końcu zaakceptować fakt, że jego dłonie nie są już tak sprawne jak kiedyś.

Alain, wybrany jako pierwszy, potrząsnął odmownie głową.

- Turniej, pozwalający udoskonalić umiejętność walki, byłby lepszy niż ta świętokradcza zabawa w miesiącu poświęconym Marii Dziewicy.

- Ale zwycięzca będzie miał prawo wybrać kobietę, która ma mu towarzyszyć przez cały wieczór - powiedziała Clare z wyrzutem. - Myślałam, że... - Ugryzła się w język i dokończyła w myślach: że znajdę się z tobą sam na sam...

- Będę tobie oczywiście dotrzymywać towarzystwa. - Poklepał ją po ręce. - Żaden z tych mężczyzn nie jest cię wart.

Wobec tego, gdy tylko zapłonie ogień, będzie go musiała odciągnąć od innych.

Wybierano kolejnych rywali. Czterech zbrojnych i czterech chłopów. Dziewiąte miejsce pozostawało wolne, dopóki nie zajął go Fitzjohn.

Poczuła ucisk w żołądku. Czego się bała?

- Wygląda na to - odezwał się Alain tak głośno, aby wszyscy usłyszeli - że zobaczymy ogień *très vite*\*.

\* *Très vite* - bardzo szybko.

Pomruk rozszedł się po zgromadzonych. Przesąd mówił, że jeśli mężczyzna nie zdoła rozniecić ognia, daje świadectwo własnej nieprawości i ciąży na nim grzech. Wszyscy wiedzieli już, kim jest Fitzjohn. I choć wypad na ziemi Robsona zjednał mu część załogi zamku, dalej traktowano go z podejrzliwością. Stał na przegranej pozycji. Ogień przypominał o jego przewinach.

Gavin spojrział na Clare i uśmiechnął się pewnie. Baron Carr wyłożył reguły. Z chwilą, gdy słońce zniknie za horyzontem, da sygnał do startu. Ten, który pierwszy roznieci płomień, wybierze towarzyszkę na resztę wieczoru.

I to była kolejna rzecz, która przejmowała Clare obawą. Mimo że wszyscy obecni byli chrześcijanami, obchodzili jednak to święto, które często traktowane było jako czas bez zasad i reguł obowiązujących na co dzień. Ponoć baron właśnie podczas Beltane złączył się z Murine.

Tak jak wszyscy inni, Clare patrzyła na zachód, czekając, aż słońce zniknie za górskim grzbietem.

- Zaczynajcie! - padła komenda.

Nikt nie krzyczał, nie zagrzewał w rywalizacji. W panującej ciszy zdawało się, że słyszeć, jak ludzie oddychają. Tak było zawsze. Stara tradycja mówiła, że jeśli płomień się nie zatli, lato będzie zimne i nieurodzajne.

Clare spojrzała znów na Fitzjohna i zatrzymała na nim wzrok.

Każdy z mężczyzn miał cienki drewniany patyki deskę z niewielkim zagłębieniem. Energicznie pocierali dwoma drewnienkami, aby zatlić ogień i szybko przenieść go na przygotowane drewno.

Clare wstrzymała oddech. Cienka smużka dymu uniosła się znad deski Gavina, ale szybko rozwiała się w powietrzu. Fitzjohn, skoncentrowany, zmarszczył czoło, ale w przeciwieństwie do pozostałych mężczyzn nie miał posępnej twarzy. Uśmiechał się.

Smużki dymu znów uniosły się znad jego deski. Podczas gdy pozostali wciąż szaleńczo poruszali dłońmi, on podniósł zwitek z podpałką i zaczął na nią lekko dmuchać. Jego sąsiad zrobił to samo, ale był tak podekscytowany wyobrażeniem zwycięstwa, że dmuchnął zbyt mocno i żarząca się podpałka zgasła.

Gavin trzymał żar lewą ręką, prawą podniósł stare mysie gniazdo z wyschniętej trawy i umieścił w nim podpałkę. Dmuchał na trawę delikatnie i teraz już wszyscy patrzyli tylko na niego, wiedząc, że to on pierwszy rozpali ogień.

Płomienie zatańczyły w jego ręku, Gavin podszedł do drewna i traw przygotowanych na ognisko i ostrożnie podkładał ogień.



Wtedy Angus podbiegł do niego i podał mu pochodnię pokrytą żywicą, która miała mu pomóc.

Gavin spojrział na niego w milczeniu, a potem ostrożnie uniósł płonące gniazdo. Pochodnia rozpałała się i Angus podszedł z nią do drugiego ogniska. Gavin stał jakiś czas wpatrzony w płomienie, zanim wreszcie się odwrócił.

- A zatem - odezwał się baron głośno - kogo wybierzesz na towarzyszkę wieczoru?

Gavin mrugnął oczami, jakby wracał do rzeczywistości, i podniósł głowę.

- Panią Clare. Jeśli uczyni mi ten honor.

Rozdział dziesiąty

Alain gniewnie spojrział na Fitzjohna, który podszedł, ujął dłoń Clare i ucałował koniuszki jej palców.

- *Demoiselle* - powiedział dwornie.

- Nie zasługujecie na nią - zaprotestował Alain z twarzą wykrzywioną gniewem.

- *Au contraire, mon ami\**. - Gavin wciąż zachowywał dworskie maniery. - Skoro uchyliście się od współzawodnictwa, nie żądajcie dla siebie nagrody.

- Porozmawiamy później - szepnęła Alainowi, zanim odeszła.

\* *Au contraire, mon ami* - Przeciwnie, przyjacielu.

Ręka Fitzjohna objęła ją w talii. Ojciec uśmiechnął się. Clare, spostrzegłszy to, ostentacyjnie odsunęła się od towarzysza.

- Obaj z Alainem mówicie o mnie, jakbym była rzeczą, a nie człowiekiem.

- Chciałabyś być damą i mieć swojego rycerza, a dla rycerza zdobycie damy jest dowodem jego sprawności. Szczyci się przed swoimi kompanami umiejętnością prowadzenia gry miłosnej, tak samo jak umiejętnością walki na wojnie.

- Podobno nie wierzysz w to, że wojna to rycerska gra.

- Ja o tym wiem... - Spojrział na nią. - Miłość to także coś więcej.

Blask płomieni z ognisk rzucał cienie na jego twarz. Zobaczyła w jego oczach, że toczy wewnętrzną walkę - chciałby wierzyć w istnienie dobra, ale nie pozwala mu na to świadomość mrocznych zakamarków własnej duszy.

Chciała odwrócić się i umknąć przed jego nazbyt przenikliwym spojrzeniem, ale objął ją mocniej.

- Jeśli chcesz prowadzić grę miłosną - powiedziała - to nie rozumiem, czemu wybraliście mnie.

- Nie rozumiesz, Clare? - Zapytał, patrząc na nią znacząco.

Clare zapragnęła nagle dowiedzieć się o nim więcej, ponad to, co mówią o nim ludzie. Chciała dowiedzieć się, co kryje jego serce.

Nie. Nie może go o to pytać, upomniała się. Wtedy zażąda, aby i ona się przed nim odsłoniła.

- Jestem damą, Fitzjohn. A ty zwykłym łotrem.

- Nic nie poradzę na to, kim się urodziłem.

- Nie mówię o twoich rodzicach. Jesteś intrygantem, który zawsze chce postawić na swoim.

- Nie znasz mnie. Nie wiesz, kim jestem...

- Wiem wystarczająco dużo. Jesteś podobny do mojego ojca!

- Dziękuję, pani Clare. To mi pochlebia.

- To nie miał być komplement.

- Nie przepadasz za nim...

- Tak, odkąd skończyłam osiem lat.

Wtedy ją opuścił. Nie pocieszał wystraszonego, samotnego po śmierci matki dziecka. Zamiast tego wysłał ją daleko za morze, do obcej rodziny, i przygarnął sobie kochanicę.

- Cóż, byłaś chyba zbyt młoda, aby zrozumieć jego decyzję.

- Teraz jestem dorosła i oceniam go tak samo. Podobnie jak ciebie, Fitzjohn. Wiem, kim jesteś, odkąd spojrzałam po raz pierwszy w twoje zimne i bezduszne niebieskie oczy.

- Przynajmniej kolor oceniłaś właściwie.

- Sam powiedziałaś, że wprawnie oceniam charaktery. - Odsunęła się od niego, zwalczając pokusę. - Uważam cię za bezlitosnego, niebezpiecznego człowieka i nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.

Kłamała i on o tym wiedział. Zbliży się do niej o krok, a zacznie łaknąć jego pocałunków, pomyślał z zadowoleniem.

- Chcesz tego małżeństwa dla majątku i łoża, Fitzjohn. Mnie chodzi o coś więcej. - Głos jej zadrżał, bo przypomniawszy sobie poniewczasie, że romantyczne uniesienia przypisywano kochankom, nie małżonkom. - Poza tym nie chcę żyć na tym pustkowiu. - Obawiała się swojej nieposkromionej, dzikiej strony natury, która budziła się na rozległych okolicznych polanach. - Ani ty, ani tym bardziej ten podziwiany przez ciebie baron Carr, nie zrozumiecie tego nigdy.

- Wiele mówisz o tym, jakiego mężczyzny i jakiego życia pragniesz. A co ofiarujesz ty swojemu wymarzonemu mężowi?

- Wszystko, czego zapragnie. - W każdym razie wszystko, czego mężczyzna powinien spodziewać się po żonie.

Z pewnością pozostawi jakąś część siebie ukrytą. Nigdy nie przyzna się do tajemnych pragnień nękających jej ciało późną nocą. O tym nawet mąż nie powinien wiedzieć.

- Och, pani... Czy wiesz, czego może pragnąć mężczyzna?

Jego usta poruszały się blisko jej ust, wzbudzając pragnienie, do którego nawet przed sobą nie chciała się przyznać.

Gavin uwodzicielsko patrzył w jej oczy. Było święto Beltane, noc modłów do bóstwa o obfitość i płodność, a jej ciało było gotowe odpowiedzieć na starodawny, grzeszny rytuał. Jeśli zamknie oczy, czy będzie jak zakapturzony ptak, nieobawiający się tego, czego nie widzi? - zastanowiła się.

Opuściła powieki i przysunęła się do niego bliżej.

- *Demoiselle Clare?*

Potknęła się, odsuwając gwałtownie na dźwięk głosu Alaina. Czy zobaczył jej słabość? Wygladziła spódnicę, jakby doprowadzając się do porządku po chwili zapomnienia.

- *Demoiselle Clare*, sądzę, że już dość czasu zmarnowałaś na tego człowieka. Przyszedłem po ciebie.

- Tak. Dziękuję. - Wzięła pierwszy od dłuższego czasu głęboki oddech i poszła z Alainem, nie spojrzawszy nawet na Gavina, w obawie, że każe jej wrócić.

Zastanowiła się, czy była gotowa ofiarować siebie Alainowi. Dama nigdy nie powinna naciskać na mężczyznę, nie do niej należało zadanie najważniejszego pytania, ale Clare jest w wyjątkowo trudnej sytuacji.

- Alainie, przyszedł czas... - Urwała i oparła się o głaz. Wysoko na wzgórzu wciąż płonęły bliźniacze ogniska. - To znaczy... ja... - Nie wiedziała, jakich słów ma użyć.

- *Chèrie*, co się stało? Czy ten nikczemnik sprawił ci przykrość?

- Nie, nie! - zaprzeczyła gwałtownie.

Nie może dać Alainowi powodów, aby w nią zwątpił.

- Więc o co chodzi? Czy mogę pomóc?

Dotknął delikatnie jej policzka i ich spojrzenia się spotkały. Nie zobaczyła w jego oczach pragnienia. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem w oczach.

- Muszę ci coś powiedzieć i nie wiem, jak zacząć.

- Dlaczego to takie trudne, przecież rozmawialiśmy o wielu rzeczach?

To prawda. Rozmawiali o nim. O jego domu. O ulubionych potrawach. O polowaniu z sokołami. Ale czy kiedykolwiek rozmawiali o niej?

- Tak, o wielu rzeczach, ale nigdy o przyszłości. Jego twarz nie zmieniła się.

- O przyszłości?

- *L'avenir\** - powiedziała z uśmiechem. - Planach, nadziejach, marzeniach. - Pochyliła głowę. - To bardzo trudne.

\* *L'avenir* - przyszłość.

Wsunął palce pod jej podbródek i uniósł jej głowę.

- Mówmy o *l'avenir, chère*.

Spojrzała mu uważnie w oczy. Uprzejme, współczujące, spokojne. Nie czaił się w nich ból ani dzikość. Ani pasja.

- Ja... chciałabym, abyś to ty zaczął. Jesteś tu ponad rok. Rozmawiamy, jeździmy konno, spędzamy razem czas. Mogłam się spodziewać, to jest, odnieść wrażenie, że żywicie do mnie jakieś uczucia. Czy tak jest?

Cofnął rękę i odstąpił o krok.

- *Bien sûr*. Naturalnie.

Źle. Niewłaściwie i źle. Rycerz powinien klęczeć przed nią na kolanach, błagając ją o miłość.

- Jakiej natury są to uczucia?

Spojrzał na nią, jakby była psem, obsikującym mu buty. Ulubionym, może nawet ukochanym, ale popełniającym właśnie rzecz zawstydzającą i pozbawioną wdzięku.

- Szacunek. Podziw. - Wzruszył ramionami. Złotoustemu zabrakło słów?

- Tylko tyle?

- Tylko?

- Czy to już wszystkie uczucia, jakie żywisz wobec mnie?

- Uczucia. Trudne słowo.

- *Tendresse*\*.

- Moje uczucia wobec ciebie, Clare, były właściwe.

- Na tyle, aby poprosić mnie, żebym została twoją żoną?

\* *Tendresse* - czułość.

Zamrugał oczami jak jeleń, który dostrzegł strzałę myśliwego, lecz zastygł, niezdolny się poruszyć.

Wiedziała, jakiej udzieli odpowiedzi. Powinna to wiedzieć od chwili, gdy spojrzała mu w oczy. Uprzejme, ale chłodne i nieobecne.

Dopóki Gavin Fitzjohn nie zagarnął jej samym spojrzeniem, nie rozumiała, jaką czyni to różnicę.

Odkasznął.

- *Ma femme*?

Co za pytanie! Jakby nigdy przedtem nie rozważał takiej możliwości. Nie mogła doznać większego upokorzenia. Nie ma już nic więcej do stracenia, postanowiła, więc sprawi, że teraz on będzie się męczył i wykręcał.

- Tak. Żoną. Wiesz, że mój mąż będzie władał tym zamkiem i ziemiami, dopóki utrzyma je w swoich rękach?

- Przecież wiesz, że muszę wrócić do Francji.

- Ach, Francja. To mój drugi dom, przecież wiesz.

- Ale jest coś więcej, sojusze... zobowiązania, rodzina... - Dukał, jakby wypowiadał niezwykle słowa. - Z pewnością to rozumiesz...

- *Une alliance...*\* - zniżyła głos niemal do szeptu. - Tak, wiem. - Wyprostowała się, niezdolna dłużej znosić wstydu. - Nie chciałam, żeby w tej kwestii doszło do nieporozumienia, że my... - Umknęła wzrokiem i zapatrzyła się w niebo, żałując, że nie potrafi odlecieć tak szybko i wysoko jak jej sokolica.

A potem spadłaby na niego lotem błyskawicy i wydrapała mu oczy szponami. Ta myśl dziwnie ją pokrzepiła.

- Żadnego nieporozumienia co do naszej... przyszłości, bo mój ojciec postanowił...

- Ach, *votre pere*. - Westchnął z ulgą. - *Qui, je comprends*\*. Zawsze sprawiający kłopoty. *Gauche, n'est pas*\*!

\* *Une alliance* - sojusze.

\* *Qui, je comprends* - Tak, rozumiem.

\* *Gauche, n'est pas?* - Nieokrzesany, nieprawdaż?

Może czasem brakowało mu manier, ale kierował się przecież jej dobrem. Tymczasem Alain podsumował go jednym obraźliwym słowem.

- Wiem, że to było trudne, tak noc w noc.

- Nie miałem zamiaru nikogo wprowadzać w błąd - powiedział Alain. - Jesteś taka inteligentna i urocza, o nieskazitelnym manierach... Nigdy nie sugerowałaś...

Choć tyle razy chciałam! - powiedziała w myślach. Chciała potrząsnąć nim i krzyknąć: całuj mnie, kochaj mnie, poślub mnie! Nie zrobiłam niczego niegodnego damy, a i tak go straciłam.

- Jestem zadowolona z tej rozmowy i z tego, że nie widzisz dla nas wspólnej przyszłości. Byłoby to rzeczywiście potwornie niezręczne prosić mnie o rękę. - Nareszcie nie musi dłużej ukrywać swoich uczuć. Nie musi zwracać uwagi na każde słowo. - Jestem jak sokół wędrowny i potrzebuję zręcznego sokolnika. Wy co najwyżej jesteście jak jego pomocnik...

Odeszła z wysoko uniesioną głową. Oczy miała szeroko otwarte i miała nadzieję, że wiatr ostudzi emocje i zatrzyma łzy.

Ostatnie miesiące wydały się jej bezpowrotnie stracone. Popęłniła błąd. Nie było przy niej matki, żeby dyskretnie jej doradzić, uświadomić, jakie są prawdziwe uczucia tego mężczyzny wobec niej. Przez cały ten czas wykazała się nieskończoną głupotą. Ani razu nie pomyślała, że go nie interesuje. Jak może sobie na nowo zaufać w ocenie mężczyzn? - zapytała się w duchu.

Ciemność zapadła. Wokół ogniska tańczyły bezkształtne cienie. Clare nie miała siły stawić im czoło. Ojciec przyglądał się tancerzom, wybijając rytm stopami, Murine stała, przytulona do niego.

Clare odwróciła wzrok. Za późno.

- Córko! Widziałem cię z Alainem. Ustaliliście coś?

Spojrzała w bezksiężycowe niebo, wiedząc, że się rozplacze, jeśli napotka jego pełen nadziei wzrok.

- A tak, ustaliliśmy.

- Naprawdę? - spytał ze zdziwieniem i niedowierzaniem zarazem. - Zdumiewasz mnie, córko. Nie myślałem... Właściwie miałem nadzieję... - nie dokończył.

Odwróciła się do niego, czując, jak narasta w niej wściekłość. Zrozumienie i współczucie znikło. Gdyby jej nie naciskał, nigdy pierwsza by nie zapytała, nie zostałaby upokorzona.

- Nadzieję na co? Że przedłożę bastarda i podpalacza nad jednego z najbardziej rycerskich mężczyzn na świecie? Nie. Ale odkryłam, że mój rycerz mnie nie chce. - Poczuliła złość, ale nie wiedziała, czy na ojca, Alaina czy na siebie samą. - Byłam głupią gęsią, czepiającą się mężczyzny, który tylko ze mną flirtował, żeby choć na chwilę przerwać nudę. A ja, idiotka, nie widziałam tego.

- Cóż takiego mówisz, moje dziecko?

Wzięła głęboki oddech.

- To, że Alain nigdy mnie nie zamierzał poślubić.

Złość wykrzywiła mu twarz.

- Zabiję go...

- Nie. - Złapała ojca za rękaw. - Nie pozwolę tak haniebnie tego zakończyć.

Objął ją, poczuła muśnięcie szorstkiej wełnianej tkaniny na policzku.

- Żałuję, córko.

Przygryzła wargi, żeby powstrzymać łzy. Nigdy przedtem nie okazał jej tyle łagodności.

- Nie. Proszę. Nie zniosę tego!

Odsunął się od niej gwałtownie i wyprostował.

- W takim razie mężem zostanie ktoś inny.

- Nie mówisz, ojcze, poważnie! - Modliła się w duchu, żeby Fitzjohn okazał się tylko straszakiem, aby przymusić Alaina do działania. Pokazała ręką na bawiących się hałaśliwie wokół ognia ludzi. - Nigdy go nie zaakceptują jako władcy.

- Przekonają się do niego.

- Ja nigdy się do niego nie przekonam!

- Zmienisz zdanie. Przez wzgląd na ojca. Wiesz, córko, powinnaś liczyć się ze zdaniem ojca?

- Wierzę. Tak samo jak ty, ojcze, liczysz się ze mną. - Jak mogła komukolwiek zaufać? Alain, ojciec, Fitzjohn... Była dla nich tylko dodatkiem, bo nawet nie ozdobą. - Porozmawiajmy, czego ja pragnę.

- Dość. To rozkaz. Przygotuj się na to. Idę mu powiedzieć.

- Nie. - Ją samą zdziwiło, jak spokojnie i stanowczo zabrzmiało to słowo. - Poczekał, ojcze.

Ogłuszona ciosem, który na nią spadł, nie w pełni zrozumiała, co oznacza odmowa Alaina. Zostanie tu uwięziona, na tym pagórkowatym pustkowiu. Odmówi ojcu i co przez to osiągnie? Będzie musiała znów wybierać. Kolejna próba, kolejny mężczyzna,



nieznajomy, być może nawet nie rycerz. Ktoś o silnych ramionach i złych manierach, kto nigdy nie wychylił nosa poza te wzgórza.

Fitzjohn przynajmniej znał się na sokołach.

- To ja będę jego żoną. - Odetchnęła swobodnie, pierwszy raz od momentu, gdy Alain ją zawiódł. - Ja mu powiem.

Chciała patrzeć mu w oczy, gdy przekaże mu decyzję ojca. Miała nadzieję, że właściwie zinterpretuje to, co w nich zobaczy.

- Pospiesz się, córko.

Teraz, kiedy ogień już płonął, pozwolono chłopcom próbować sił we wzniecaniu ognia. Gavin przykucnął przy Angusie i dał mu kilka wskazówek. Kiedy podniósł wzrok, napotkał spojrzenie Clare.

- Musimy porozmawiać, Fitzjohnie. - Odwróciła się i odeszła, pewna, że za nią pójdzie.

TTLR

# Rozdział jedenasty

Clare zapaliła niewielką pochodnię i w milczeniu zeszła ze wzgórza. Przystanąła dopiero przy murze otaczającym zamkową wieżę. Za ich plecami bliźniacze ogniska wciąż odcinały się na tle czarnego nieba, ale nikt ze świętujących nie mógł ich widzieć.

- Chciała pani ze mną mówić, pani Clare? Uniosła pochodnię pod takim kątem, by spadające krople smoły nie poparzyły jej palców.

- Możesz zwracać się do mnie Clare, Gavinie. - Nigdy dotąd nie wypowiedziała jego imienia.

- Tak? - Zrobił zdziwioną minę. - Czemu zawdzięczam ten przywilej?

- Zyskałeś go jako narzeczony. Zresztą uważam, że mąż może nazywać żonę, jak mu się podoba.

- Mąż?

Uśmiech znikł z jego twarzy, wpatrzył się w nią intensywnie niczym sokół w swoją ofiarę.

- Tak. Patrzysz na swoje trofeum. - Roześmiała się, próbując w ten sposób obronić się przed cisnącymi się jej do oczu łzami.

Ujął jej rękę, skłonił się głęboko i ucałował koniuszki jej palców.

- Zyskałem to, co stracił *comte*.

- To jasne, że zyskałeś coś więcej niż moją rękę.

Zamek i przynależne ziemie, jeśli potrafisz je ochronić - powiedziała, żeby trzymać go na odległość i opanować myśli o nim. - Wybrałeś, po której stronie granicy chcesz żyć. Teraz twoim zadaniem jest ochrona przygranicznych ziem. Żebyś nie miał złudzeń, Anglicy będą cię nękać tak długo, aż cię nie zniszczą. I nieważne, czy Szkocją rządzić będzie Dawid, Edward, Robert, William, James czy Matylda Norweska, wszyscy będą na ciebie nastawać. Więc lepiej przygotuj się na to, bo utrzymanie tej granicy jest o wiele ważniejsze niż utrzymanie przy sobie mnie.

Pochylający się w ukłonie dworzanin wyprostował się, a przed sobą zobaczyła mrocznego, groźnego rycerza, tego samego, którego niegdyś spotkała na wzgórzach.

- Ochronię te ziemie - odparł, a jego głos zawibrował złowrogo.

Odwróciła się. Światło pochodni rzucało chwiejne cienie na kamienną ścianę. A jednak zależało mu tylko na szkockiej ziemi i zemście.

- Świetnie. Bo taki jest właściwy powód tego małżeństwa. Zdobyłeś moją rękę i tylko to ode mnie dostaniesz.

Gavin przełknął ślinę, niezdolny odpowiedzieć. Myślał o niej, o domu... O tym wszystkim, o czym nie śmiał nawet marzyć, bo uważał, że jest poza jego zasięgiem.

- Chciałbym, aby w naszym małżeństwie było coś więcej...

- W naszym małżeństwie nie będzie nic więcej. Mój ojciec i lord Douglas mają prawo rozporządzać moim życiem, jak im się podoba. Spodobało się im wybrać dla mnie ciebie i teraz zostanę uwięziona w tym przeklętym miejscu do końca życia! - Zgarbiła się i spojrzała na pograżony w ciemności wierzchołek wzgórza i odcinające się na tle nieba bliźniacze ogniska. Czuła się jak ptak z podciętymi lotkami.

Nagle zrozumiała, że wcale nie chodziło jej o Alaina i o Francję.

- Chcesz stąd wyjechać równie mocno, jak ja odnaleźć dom.

- Uważasz, że tu jest twój dom?

- Chciałbym, żeby był.

- No to masz, czego chcesz.

- Nie będzie nim bez ciebie.

Potrząsnęła uparcie głową.

- Chodzi o to, że nie możesz tego mieć beze mnie, a nie o to, że nie chcesz mieć tego wszystkiego beze mnie. - Chciał zaprotestować, ale uniosła dłoń, powstrzymując go. - Żadnych gładkich kłamstw, Gavinie. Nie wychodzi ci to dobrze. Przez ciebie mój ojciec wymyślił ten rozkoszny plan. Ale ja nie wezmę w nim udziału! Jeśli tak bardzo chce utrzymać ten zamek, w porządku, niech ci go odda. Weź go sobie, zachowaj, uczyni swoim.

- Nie tylko tego chciał...

- Wiem. Chce wnuków, w których żyłach będzie płynęła jego krew, którzy będą bronić tych ziem. Chce, żeby o nim pamiętano. Potraktował cię jak byka rozplodowego! Jak się z tym czujesz?

Jej bezpośredniość wprawiła go w osłupienie. Gdzie się podziała dama, nigdy nie-przekraczająca pewnych granic? Alain poprzez swoją odmowę stworzył całkiem nową Clare, gwałtowniejszą w reakcjach niż wtedy, gdy zatrzęsnęła mu przed nosem drzwi swojej komnaty.

Gavin uśmiechnął się ironicznie.

- Jak się czuję? Jestem zaszczycony, że uznał moją krew za wystarczająco dobrą, aby zmieszała się z jego krwią. Wielu nie uznałoby mnie za wartego nawet splunięcia.

Wyraz poczucia winy przemknął przez jej twarz.

- Przepraszam. Nie powinnam była tak mówić.

- Powiedziałaś to, co myślisz.

- Próbuję... - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. - Próbuję być damą zasługującą na rycerza.

- A ja - zniżył głos - próbuję być rycerzem, zasługującym na damę. Więc obojgu nam się nie udało.

Wiedział jednak, że zwyciężył, więc zachował się jak zwycięzca. Wyjął pochodnię z jej dłoni i przyciągnął ją do siebie wolną ręką.

- Zatańcz ze mną, Clare - powiedział upojony jej bliskością. - Nikt nas nie zobaczy, tylko gwiazdy. - Oparła twarz o jego pierś, a on przytulił ją mocniej i zaczęli kołysać się w ciemnościach. - Widzisz? Mogę być tym mężczyzną, który będzie z tobą galopował po wzgórzach podczas pełni. - Miał nadzieję, że uniesie głowę i roześmieje się albo chociaż uśmiechnie. Tymczasem poczuł, że na jego tunikę spływają jej łzy. - Teraz pocałunek - powiedział, przytulając ją jeszcze mocniej, bo czuł, że chce się wysliznąć z jego objęć. - Aby przypieczętować zaręczyny i uczcić Beltane.

Zesztywniała, jakby jedyne, co mogła uczynić, to tolerować jego uścisk, nie poddając się mu naprawdę. Nie tego chciał. Pragnął, aby odsłoniła się przed nim tak nieskrępowanie, jak przed chwilą mówiła. Pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Pomyśl o tym, Clare. Tylko ty i ja... w ciemnościach.

Jej oddech przyspieszył.

- Mąż ma pewne prawa i ty także możesz z nich skorzystać.

- Chcę czegoś więcej niż egzekwowania moich praw. - Chciał dotrzeć do tej kobiety, poznać ją. Zaznać tego przyjaznego, radosnego partnerstwa, o którym mówiła.

Czegoś, czego nigdy nie przeżył.

- Daj spokój, Clare, oboje wiemy, że odpowiesz na pocałunek.

Dotknął ustami jej warg. Nie wyczuł przyzwolenia i potraktował to jak wyzwanie. Posmakował jej usta, pieścił je językiem, a wbrew jej wysiłkom, żeby mu się oprzeć, w jej ciele zaczęło rodzić się pragnienie. Poczuł, że się rozluźnia i z chęcią rozchyła usta.

Zapomniał o tańcu, rzucił pochodnię na ziemię, aby mieć obie ręce wolne. Ujął w dłoń jej policzek, ścierając łzy. Palce prześliznęły się po szyi, na ramię. Nie przerywając pocałunku, przesunął dłoń niżej, szukając pod szorstką wełną sukni jej piersi.

Zesztywniała, znów stawiając mu opór, ale Gavin porzucił wszelkie pozory rycerskości. Nakrył dłonią jej pierś, a potem przesunął rękę niżej, aż został nagrodzony mimowolnym cichym westchnieniem.

Jej palce zacisnęły się na jego ramionach, ale nie po to, by go odepchnąć. Sfrustrowany pancerzem z szorstkiej wełny, który ją chronił, przesunął dłoń jeszcze niżej. Westchnęła z ulgą, nie zdając sobie sprawy, co on zamierza. Gavin potarł grzbietem dłoni jej spódnicę, szukając wzgórek między udami, i wsunął palec między jej nogi.

Westchnęła, kolana się pod nią ugięły, oparła się o niego i wykrzyknęła coś. Ujął jej rękę i przycisnął do swojego ciała, tak by mogła wyczuć, jak jej pożąda.

- Clare? Jesteś tutaj?

Na dźwięk głosu Euphemii odepchnęła go tak silnie, że aż się zatoczył.

- Tak - odpowiedziała ledwie zrozumiale.

Kroki dziewczyny słychać było coraz bliżej.

- Czy coś się stało?

- Nie, nic.

Gavin pochylił się, żeby podnieść przygasającą pochodnię, zadowolony, że stoją w ciemnościach. I jemu, i Clare brakowało tchu. Euphemia stanęła przy nich.

- Czas zanieść placki.

Clare skinęła głową.

- Już idę.

- Nie skończyliśmy jeszcze, Clare - powiedział Gavin cicho, ale wiedział, że nie zdobędzie jej serca tak łatwo, jak poddało się mu jej ciało.

Obawiał się, że ich małżeństwo może się skończyć, zanim się zaczęło.

## Rozdział dwunasty

Clare, wciąż jeszcze drżąc, wzięła jedną torbę od Euphemii, a ona uśmiechnęła się.

- Już go bardziej lubisz, prawda?

- Pilnuj swoich spraw, Euphemio.

„Tylko ja i ty w ciemnościach”, przypomniała sobie jego słowa. Gdyby mu dała to, czego pragnął, czy wciąż by tego pragnął? A może dopasowaliby się do siebie?

Zaczęli wspinać się na wzgórze.

Clare potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć. Brakowało jej matki. Zapytałaby się, czy kobieta może czuć pożądanie wobec mężczyzny, którego ma poślubić i co myśli o Fitzjohnie... czy go aprobuje.

Skarciła się w myślach. Matka byłaby zatrwożona, wiedząc, że jej córka omal nie zgrzeszyła lubieżnością dzisiejszej nocy.

Zastanowiła się, czy jej matce naprawdę zdarzały się schadzki? Obraz matki, jaki podsuwały dziecięce wspomnienia, zmieniał się całkowicie, gdy myślała teraz o tym jako dorosła kobieta.

Na szczycie wzgórza obiegli je mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy sięgali po placki z mąki owsianej, masła, jajek i mleka, upieczone jeszcze przed wygaszeniem ognisk. Na jednym z nich został nakreślony węglem krzyż.

Matka nienawidziła tej części uroczystości, Clare też.

Uosabiała wszystko, co pogańskie i złe na tych ziemiach. Poczucie wspólnoty zastępowała skłonność do awantur. Tego lata świętowali nie tylko nadejście lata, ale wyparcie Anglików i koniec wojny. Ulga i rozprężenie uwalniały demony. Bójka wisiała w powietrzu.

Euphemia, ożywiona, promieniejąca i szczęśliwa, zbierała uśmiechy, nie tylko z powodu rozdawania słodkich placków. Może to właśnie jej pogodne usposobienie pocią-

gało mężczyzn najbardziej? Tak jak Murine, wydawała się pogodzona ze sobą, zadowolona z tego, kim jest i czym ją obdarzył los.

Zazdrość ukąsiła Clare w serce. Ona przez całe swoje życie chciała być kimś innym niż jest i znajdować się gdzie indziej. Fitzjohn stał u jej boku, ale uparcie nie patrzyła na niego, niepewna, co ma robić. Jak można zachowywać się jak dzikie zwierzę w ramionach mężczyzny, a potem rozmawiać z nim spokojnie na oczach innych ludzi?

- Czy wiesz, o co tu chodzi? - spytała, wyciągając ku niemu torbę i starając się odychać miarowo. - Każdy bierze ciastko. Ten, który trafi oznaczone krzyżem, zostaje Zielonym Człowiekiem.

Zabrzmiało, jakby było to wyróżnieniem, pomyślał. Ale nie było.

W dawnych czasach na tych wzgórzach składano tego, kto trafił na oznaczone węglem ciastko, w ofierze bogom. Ginał w płomieniach, czemu towarzyszyła modlitwa o płodność. Teraz ofiarę obrzucano skorupkami od jajek, spychając w stronę ogniska i szydząc z niego.

Wsadził rękę do torby i wyciągnął placek.

- W czasach mojej matki obchodzili to inaczej, ale pamiętam to święto.

Clare opuściła wzrok i zachnęła się, a w tym czasie Fitzjohn wyjął oznaczone ciastko.

Wyciągnęła rękę, żeby mu je odebrać i wrzucić z powrotem do torby, ale stojący obok mężczyzna już je zauważył i wykrzyknął:

- To on! To on!

Wokół nich zapanowała cisza, mężczyźni i kobiety patrzyli na jego dłoń. Przeniósł spojrzenie z twarzy Clare na własną rękę, a gdy zobaczył, co w niej trzyma, westchnął.

- Więc dzisiaj przypomnę sobie, jak być nikim.

Wpatrzył się w placek, żałując, że go nie upuścił albo nie wrzucił w ogień.

Ledwie obudzoną nadzieję stłumił wzrastający pomruk tłumu. Więc tu także nie znajdzie domu. Nawet jego przyszła narzeczona go odrzuciła. Cóż, może ogień jest jego przeznaczeniem? Może rytuał wreszcie wymaże jego grzechy?

Ktoś cisnął mu w twarz pierwszą skorupkę.

Rozkruszył w dłoni placek i stał, nie uchylając się. Nie było sensu uciekać. Grzechy jego i jego ojca, prawdziwe czy wymyślone, wciąż będą go prześladować.

Nigdy jednak nie zaprzeczy temu, kim jest ani nie będzie szukał odkupienia za to, czego nie zrobił.

Clare wzdrygnęła się, gdy pierwsza skorupka uderzyła go w policzek.

Potem dosięgła go druga, trzecia i kolejne. Początkowo rzucono je nieśmiało, ale stopniowo uderzenia przybierały na sile. Zwyczajowo miało to nie być na serio, ale tym razem na twarzach nie widać było uśmiechów, wykrzywił je bolesny grymas. Mieszane uczucia, jakie wobec niego żywili ludzie na zamku, wzięły górę. Wciąż był obcym, łatwo było go nienawidzić.

- Angielski bastardi

- Syn dziwki!

Matki, odciągały dzieci, zatykając im uszy. Zamiast skorupek jaj poleciały kamienie.

- Natychmiast przestańcie! Nie jest tym, za kogo go bierzecie! - Sama nie rozumiała, skąd to przekonanie, skoro potępiała go nawet bardziej niż reszta. Ale tego, co się działo, nie chciała.

Kilku mężczyzn, którzy ją usłyszeli, próbowało powstrzymać innych, ale dwóch chłopów, odważnych wypitym alkoholem i wolnością tej jednej nocy w roku, rzuciło się na Gavina i obaliło go na ziemię.

- A jeśli jest winny? - wrzasnął jeden z nich. - Umie wzniecać ogień!

- Sami byście uznali jego duszę za przeklętą i nieczystą, gdyby go nie rozniecił - dowodziła, ledwie słysząc własne słowa poprzez szum krwi w uszach.

- Może tym razem - powiedział, patrząc jej prosto w oczy, gdy go odciągali - narodzi się na nowo.

W jego spojrzeniu wyczytała rezygnację, nadzieję, miłość... I pożegnanie.

Angus podbiegł do nich i złapał Gavina za nogę, jakby jeden młodzieniec mógł go ocalić. Nie stanowił przeszkody dla dwóch dorosłych mężczyzn, nawet jeśli ledwie trzymali się na nogach.

- Angus! Poszukaj barona! Tylko on może ich powstrzymać.



Chłopiec zerwał się i odbiegł, wrzeszcząc głośno.

Dwóch zbrojnych dołączyło do chłopów. Mężczyźni, którzy niedawno jadali razem z nim, złapali go teraz za nogi, poprzedni dwaj za ręce i zaczęli nim kołysać, jakby przygotowując się do rzutu w płomienie.

Jak co roku, tylko tym razem nie słychać było śmiechu.

Alain pojawił się obok niej, ale nie uczynił nic, aby ich zatrzymać. Clare chwyciła go za ramię.

- Powstrzymaj ich!

Skrzyżował ramiona.

- Kogo obchodzi angielski bastard? Nieskazitelny rycerz, prychnęła z pogardą.

- Nie masz za grosz honoru, skoro nie chcesz ruszyć palcem w obronie drugiego rycerza.

Spojrzała na Gavina. Co będzie, jeśli wysunie się im z rąk, kiedy zakołyszą nim w stronę płomieni? Wtedy mężczyźni puścili Gavina, który poleciał w stronę ogniska.

Na szczęście nie dosięgnął ognia. Przekoziolkował, zerwał się na równe nogi i stanął między ogniskami, patrząc na tłum ludzi gotowych się na niego rzucić.

Zaczęła biec! Żadnej myśli, tylko błagalna modlitwa. Okrążyła ognisko i dopadła go przed nimi. Popiół poznał jego policzki i ubranie, w świetle płomieni połyskiwały złociste włosy.

Wyglądał jak anioł, który opuścił niebo. Tylko który? Lucyfer czy Michał? - zadała sobie pytanie w myślach.

Stanąła przed nim i spojrzała na morze wykrzywionych twarzy przed sobą. Była panią na Wieżycy Carrów. Powinni jej posłuchać.

- Błagam...

Z tłumy nadleciał kamień. Gavin zasłonił ją własnym ciałem. Wzdrygnęła się, gdy oberwał w pierś.

- Za późno - powiedział. - Schowaj się za mnie.

W wąski przesmyk między ogniskami wbiegli dwaj mężczyźni z uniesionymi pięściami.

- Przestańcie! - rozległ się wśród rozjuszonego tłumu krzyk ojca. - Natychmiast przestańcie!

Kilku, trzeźwych na tyle, by rozpoznać głos ich pana, zatrzymało się, ale większość była zbyt zamroczona, aby obchodziło ich cokolwiek poza jatką.

Pierwszy mężczyzna zamachnął się na Gavina, który zrobił unik i odpowiedział mu ciosem w brzuch. Clare przykucnęła i zaczęła szukać jakiegoś zapomnianego polana, którego mogłaby użyć jako maczugi, nie chciała bowiem wyciągać sztyletu przeciwko własnym ludziom.

Gavin powalił pierwszego napastnika, ale natychmiast wyrósł przed nim drugi, gotowy do walki. Dwóch rycerzy przedarło się do nich i stanęło u boku Gavina. Clare znalazła wreszcie nietkniętą ogniem gałąź, złapała ją w obie dłonie i uniosła.

- Clare, odejdz stąd! - wrzasnął Gavin.

Bójka zaczęła się na dobre.

## Rozdział trzynasty

Gavin wraz z dwoma rycerzami chronili ją przed ciosami. Alain zniknął, za to Angus, zdeterminowany udowodnić, że jest mężczyzną, podbiegł, by walczyć po ich stronie.

Clare wstrząsała się z obrzydzeniem na widok ciosów zadawanych przez młócających pięściami mężczyzn i usiłowała rozróżnić krzyki Gavina i Angusa od wrzasków ich przeciwników. Ojciec znikł jej z pola widzenia, ale widziała Murine, która łapała napastników za uszy, odciągając ich i policzkując, aby otrzeźwiali. Nawet w niewyraźnym świetle chwiejnych płomieni dostrzegła siniak pod okiem Gavina, rany na kłykciach i krew plamiącą podartą tunikę.

Miała wrażenie, że w miarę jak z ich przeciwników wyparowywał alkohol, tracili energię, a oni powoli zyskiwali przewagę. Ojciec przedarł się do nich przez tłum, stanął tuż przy Gavinie i wyciągnął ramiona.

- Dość tego, opoje! Tego człowieka poślubi moja córka! To przyszły władca tych ziem! To on zasiądzie w Wieżycy Carrów!

Zastygli, osłupiali. W zapadłej nagle ciszy słyhać było tylko trzask dopalających się gałęzi. Jeden z mężczyzn, wytarł o tunikę dłoń i ze spuszczoną głową podał ją Gavinowi, a ten natychmiast ją przyjął. W jego ślady poszli inni. Ale nie wszyscy. Wielu mamrocząc z niezadowoleniem, odwróciło się plecami i odeszło.

Ostrzegła ojca, że niełatwo będzie Fitzjohnowi sprawować tutaj władzę.

Obchody Beltane dobiegły końca, matki zapalały od ognisk przygotowane wcześniej szczapki i sprowadzały ze wzgórza senne dzieci. Wszyscy schodzili na dół, niosąc do domów ogień, aby jak co roku powtórnie tam zapłonął.

Ojcu nagle nogi odmówiły posłuszeństwa. Gavin złapał go w porę, Murine podtrzymała z drugiej strony. Odpędził ich machnięciem ręki, ale było jasne, że potrzebuje ich pomocy, gdy zaczął chwiejnie schodzić ze wzgórza.

Clare wzięła płonąca gałąź z ogniska i poszła za nimi. Angus dzielnie kroczył u jej boku.

Już za murami Murine pokazała gestem Gavinowi, żeby skrócić w lewo.

- Zabierzemy go do mnie - powiedziała.

- Nie. - Clare wyciągnęła dłoń, aby ich powstrzymać. - Powinien pójść do siebie.

Murine rzuciła jej zniecierpliwione spojrzenie.

- Chcesz go zmusić do wspinania się po schodach, aby zaspokoić swoją dumę?

To zamknęło jej usta. Cały jej świat zresztą stanął na głowie. Rycerze bez honoru. Poddani występujący przeciwko władcy.

Wprowadzili go do chaty, Angus pobiegł po wodę, Clare dotknęła gałęzią podpalki przygotowanej na palenisku.

Białe kwiaty jarzębiny bezpowrotnie zwarzone. Chata była czysta, ale surowo urządzona. Jak ojciec mógł chcieć tu nocować?

- Możesz odejść, Murine, ja się nim zajmę.

Wdowa wyprostowała się.

- Nie, pani Clare, nie odejdę. Nie jestem jego żoną ani córką, ale trwam przy nim od dziesięciu lat. Nie opuszczę go teraz.

Clare była zbyt zmęczona, aby oponować.

Murine przyrządziła uśmierający nasenny napój i przyłożyła maść z krwawnika, żeby powstrzymać krwawienie. W końcu Clare uznała, że wraca do zamku. Wstała i rozejrzała się wokół, zastanawiając się, gdzie zniknął Gavin. Zapaliła następnie szczapkę, żeby zanieść ogień do swojej komnaty.

- Murine - powiedziała już w drzwiach. Wdowa spojrzała na nią nieprzytomnie, skoncentrowana na ojcu. - Dziękuję. - Zamiast odpowiedzi dostrzegła uśmiech. Taki sam jak Euphemii.

Płomyczek liżący szczapkę świecił krzepiąco w ciemnościach, gdy weszła do wieży i wspinała się schodami do prywatnych komnat. Przez cały czas, gdy ojciec był na wojnie, wypierała myśl o jego śmierci. Teraz wydawało jej się czymś nie do uwierzenia, że przeżył wojnę, a odniósł śmiertelną ranę w pijackiej bójce.

Trudno było znieść myśl, że straci ojca. Lata jednak upływały szybko i Clare jak nigdy dotąd uświadomiła sobie to, o czym próbowała zapomnieć: jak kruche jest życie. Zdecydowała, że poślubi Fitzjohna, skora taka jest wola jej ojca.

Weszła do swojej komnaty, przytknęła szczapkę do drewnianego paleniska, żeby na nowo rozpalić ogień, wygaszony przed obchodami Beltane. Płomienie rozświetliły pokój - jej schronienie przed nieporządkiem i brzydotą. Wyglądał dokładnie tak, jak wtedy gdy z niego wyszła na Beltane. Tryptyk z kości słoniowej. Kopia *Miroir des preudes femmes*. Tapiseria w kolorach złota i czerwieni.

Jak to możliwe, że wyglądał tak samo, gdy wszystko się zmieniło? Kiedy wszystko było stracone?

Zgarbiła się. Nie będzie małżeństwa z Alainem. Nie zamieszka we Francji. Nic nie zostało z jej marzeń, którymi karmiła się, aby łatwiej było jej przeżyć kolejne dni.

Odrętwiała, włożyła nocną koszulę. Myślała, że zna Alaina. Zawierzyła własnym odczuciom i myliła się. Alain ją odrzucił, a nie miała powodu ufać Gavinowi. Chyba że myliła się także co do niego.

Usłyszała czyjeś kroki w holu, które ucichły przed jej drzwiami. Wszedł, nie pytając o pozwolenie. Wciąż był ubrudzony popiołem i ziemią, jego pierś wznosiła się i opadała. Bronił go przed tłumem, ale ten człowiek, który stał przed nią, uosabiał wszystko, czego się bała.

Podszedł do niej i spojrzał ze śmiałością i zdecydowaniem. Wyciągnęła sztylet i wycelowała w niego.

Miał podbite oko, zakrwawiony policzek, spuchnięte dłonie, a przez podartą tunikę widać było poznaczoną cięciami pierś. Clare przełknęła ślinę, jakby mogła w ten sposób zdusić strach. Powiedział, że nie spalił tamtego kościoła, ale czy nie skłamał?

Jej pierś wznosiła się w przyspieszonym, jak u niego, oddechu.

- Nie podchodź. - Sztylet drżał w jej dłoni.

- Gdziekolwiek pojawiałem się tej nocy, zawsze znalazł się ktoś, kto mi groził, więc przestań mi wygrażać tym ostrzem, chyba że chcesz go naprawdę użyć.

Stanął tuż przy niej, naga pierś dotknęła sztyletu, jeszcze krok, a sam by się na niego nadział.

Clare patrzyła na drżące ostrze, wiedząc, że nie miałyby ani siły, ani ochoty go użyć.

- Spójrz na mnie.

Zrobiła to, a on ujął jej drżącą dłoń i uniósł, przykładając czubek sztyletu do zagłębienia w szyi. Miejsce, gdzie nawet ona mogłaby mu zadać śmiertelny cios.

- Teraz - powiedział, wciąż trzymając jej dłoń - możesz mnie nim przeszyć.

Zabrzmiało to tak, jakby pragnął śmierci. Puścił jej rękę i stał nieruchomo, patrząc jej w oczy. Próbowwała coś z nich wyczytać w świetle rzucanym przez płonące drewna na palenisku.

Jego oczy błagały, by go ocaliła, a ona nie wiedziała jak.

Nie poruszyła sztyletem i Gavin zrozumiał, że tego nie zrobi. Odsunął jej dłoń i nóż z brzękiem opadł na posadzkę.

Zrobiło jej się gorąco, nie tylko od ognia. Odsunęła się. Powinna uciekać jak najdalej od jego brudnych, spoconych i splamionych krwią rąk. Bała się ulec pokusie i ujawnić, że go pragnie.

- Wierzysz w to, tak? - Wściekłość dodała żaru jego słowom. - Wierzysz im. Pomimo tego, co mówiłem, wierzysz w każdą bzdurę, którą na mój temat opowiadają.

Słowa zaprzeczenia nie przeszły jej przez gardło.

- I nie tylko o to chodzi, prawda? - Przyglądał się jej uważnie, jakby wzrokiem mógł ją rozebrać, odkryć wszystko, co przed nim usiłowała ukryć. - Nie tylko w to wierzysz. To sprawia, że o mnie myślisz... że mnie pragniesz!

- Nie. - Zaprzeczyła, ale miał rację.

Uśmiechał się wyzywająco.

- Teraz, kiedy będziemy małżeństwem, nie ograniczymy się do pocałunków.

- Dosyć! Znajdź sobie kogoś innego, kto pragnąłby twoich pocałunków.

- Już znalazłem. Ty ich pragniesz! - Ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Zbliżył usta, tak że czuła jego oddech i niemal mogła smakować pot na jego skórze i krew na jego wargach.

- Zdaje się, że wróciliśmy do momentu, gdy nam tak bezceremonialnie przerwało... - powiedział.

Wstrzymała oddech w oczekiwaniu i zamknęła oczy.

Przywarł do jej ust, jak przy ich poprzednim pocałunku, ale tym razem znikły wszelkie bariery. Owładnięta uczuciami, odwzajemniła jego pocałunek. Jego pot splamił jej suknię, dłoń nakryła pierś. Przytuliła się do niego i poczuła, że jest gotów.

Przestał całować jej usta, wargi wędrowały po szyi. Koszula zsunęła się jej z jednego ramienia, chłodne powietrze owiało jej pierś na moment przedtem, nim przyłożył do niej usta. Delikatny pączek jej piersi nabrzmiał głodem i cały świat ograniczył się do jej piersi, jego warg i pragnienia.

Zrobiła chwiejny krok do tyłu i opadła na łóżko. Oparł się na ramionach i pochylił nad nią, jednak nie tak blisko, by nie mogła widzieć jego oczu.

- Mimo wszystko, nie tak bardzo się boisz.

Brud i krew splamiły rękaw jej koszuli.

- Wynoś się. - Słowa miały go przepędzić, ale wypowiedziała je bez przekonania.

Wyprostował się i przeszedł przez komnatę tak spokojnie, jakby już w niej mieszkał.

- To nie ze mną walczysz, Clare, tylko ze sobą. Śpij dobrze i śnij o naszej nocy poślubnej.

Oniemiała, odprowadziła go wzrokiem. Nie miała wątpliwości, że Fitzjohn już wie, jak bardzo go pragnie.

## Rozdział czternasty

Przeżył cały miniony wieczór powtórnie w snach. Ogień, walkę i jej pożądanie. Obudził się pełen żalu. Ostatnia noc odarła go z wszelkich pozorów rycerskości, jakie jeszcze usiłował zachować.

Wiedział, że w ten sposób nie zdobędzie ani domu, ani żony... Że wytchnienie, którego pragnął, nie potrwa długo. Pozwolił sobie jednak śnić na jawie. O niej.

Miał wiele kobiet. Żadnej nie pozwolił się do siebie zbliżyć na tyle, żeby przekonała się, czy jest tak zły, jak wszyscy dookoła opowiadali.

Od dawna marzył, by mieć kogoś, kto go zaakceptuje, a nawet przed kim odkryje mroczne zakamarki swojej duszy. Kogoś, kto wpuści do niej światło dobroci i akceptacji.

Ostatnia noc udowodniła, że to jednak niemożliwe. Zawsze pozostanie synem ich zniechęconego wroga. Pozostanie kimś, kogo się unika, a nie darzy zaufaniem. Dla niej pozostanie kimś jeszcze gorszym. Mężczyzną, który wyzwolił w niej to wszystko, co próbowała w sobie zdusić. Chłodny wyraz oczu i odpychające spojrzenie wyrażały nienawiść.

Poślubieni, ale żyjący obok siebie, pozostaną samotni. Chyba że zechcą przekroczyć swoje granice, ale żadne z nich nie jest na to gotowe.

Nie było tu dla niego żadnej przyszłości. Czas ruszyć w dalszą drogę, postanowił.

Wstał i udał się do barona powiadomić go o swojej decyzji.

Pochylił głowę, wchodząc do niewielkiej chaty Murine, o ścianach pociemniałych od dymu. O wiele skromniejsza i mniej wygodna niż wieża z surowego kamienia, a jednak stary Szkot bez wahania ją wybierał. Może tutaj uciekał od demonów i wspomnień, zastanowił się Gavin.

Baron siedział na łóżku, obandażowany, ale uśmiechnięty.

- Jesteś, Fitzjohn.

Murine skinęła mu głową, nie przerywając mieszania zupy, którą gotowała nad ogniem.

- Jak się czujecie, panie?



- Dobrze, jak po solidnej bójce. - Wzruszył ramionami, jakby ostatecznie pozbywał się bólu. - A ty?

- Całkiem dobrze. - Marzył, aby ktoś oczyścił i opatrzył mu rany i przyłożył kompres na siniaki. Zamiast tego obmył się sam w zimnej wodzie. - Ostatniej nocy powieździeliście coś w ogniu walki.

- Tak. Mówiłem ci, że tak postanowiłem.

Co miał teraz zrobić? Cokolwiek powie, zabrzmiał jak odmowa niewdzięcznika, pomyślał ze smutkiem Gavin.

- Zrozumiem, jeśli cofniecie obietnicę.

Murine wręczyła miskę z zupą baronowi. Siorbnął łyk i oblizał wargi.

- Cofnąć dane słowo? Dlaczego miałbym to zrobić?

Bo Clare nigdy nie będzie mnie chciała. I trudno za to ją winić, odpowiedział w myślach.

- Wasza córka wam za to podziękuje.

Baron parsknął lekceważąco.

- Podziękuje mi, kiedy cię poślubi, chociaż sama jeszcze o tym nie wie.

Nic dziwnego, że się buntowała. Czy kiedykolwiek któryś z tych mężczyzn, jak jej ojciec, *comte* czy Douglas wziąłby pod uwagę jej uczucia?

- Widzieliście ich wszystkich wczoraj w nocy, a nawet kilku rycerzy. Chcieli mnie zabić.

Walczyłem z nimi, dodał w myślach. Przynajmniej świadczy to o tym, że nie jestem jeszcze gotowy na śmierć.

- Dasz sobie radę. Przekonają się do ciebie.

Tak bardzo w niego wierzył, że Gavin nagle zapragnął sobie na to zasłużyć.

- Panie... - Baron podniósł wzrok znad pasa, który właśnie zapinał. - Nie podpaliłem tego kościoła.

Carr westchnął ciężko i ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

- Wiem.

- Skąd?

- Już mi to powiedziałaś. Clare to nie wystarczyło.

- Ale wszyscy mówią...

- To, co chcą usłyszeć. Jestem zadowolony, że znam prawdę. - Klepnął Gavina po ramieniu. - Chodź, pošę wiadomość do lorda Douglasa. Jak tylko ksiądz przyjedzie, wyprawiamy wesele.

A jednak pošłubi kobietę, która uważała go za nikczemnika.

Ostatnia nadzieja, jaką miała Clare w sprawie ślubu, zgasła w chwili, gdy baron ogłosił formalnie ich zaręczyny podczas południowego posiłku. Zaraz potem oświadczył, że obcina o połowę codzienną porcję piwa tym, którzy brali udział w bójce. Kilku głośno wyraziło niezadowolenie, ale większość z pokorą zaakceptowała karę. Clare usłyszała nawet słowa przeprosin.

Po posiłku uciekła do sokolarni, żeby wypłakać się w samotności. Poprzez łyzy obserwowała siedzącą na gnieździe Drobna, którą karmił jej sokół.

- Stracie wszystkie ptaki - utyskiwał Neil, trzęsąc z oburzeniem głową. - Bezczelny tercel. Hodowanie ptaków. Sami się prosicie o nieszczęście.

Nie słuchała go. Przynajmniej Drobna będzie miała szczęśliwą rodzinę. Clare nie miała na to nadziei.

Ostrożnie podeszła bliżej, żeby popatrzeć na jajka. Ktoś nagle otworzył drzwi pta-szarni i zamknął je cicho za sobą. Rozpoznała kroki Gavina, ale nie odwróciła się.

- Jesteś zdecydowana, prawda? - spytał łagodnie.

- Tak samo jak ty doprowadzić do tego ślubu. - Rzuciła mu ostre spojrzenie przez ramię. - Przynajmniej sama wybrała sobie partnera i teraz tworzą rodzinę. Jak mogłabym ją tego pozbawić?

Drobna zaczęła wypychać dziobem jedno jajko z gniazda, aż w końcu zepchnęła je na krawędź belki i spadło. Clare zdążyła złapać je w stulone otwarte dłonie, serce zabiło jej trwożliwie.

- Co ty robisz? - spytała i uniosła rękę, próbując wsadzić jajko z powrotem do gniazda, ale Drobna skrzeknęła ostrzegawczo i Clare ledwie zdążyła usunąć dłoń przed ciosem dzioba. Jajko, wciąż jeszcze ciepłe, leżało w kołysce jej dłoni. Biedne maleństwo, nie zdążyło się urodzić, a już zostało odrzucone. - Jak matka może zrobić coś takiego?

- Zobacz - powiedział, pokazując palcem ledwie widoczne pęknięcie na skorupce. - Nigdy by się nie wyklulo.

W milczeniu skinęła głową i odłożyła je.

- Pomyślałam sobie o tym biednym pisklęciu, odrzuconym jeszcze przed narodzinami. - Przełknęła łyżę, myśląc o niezrozumiałych zrzędzeniach w boskim planie świata.

- To dzikie stworzenie, nie ma duszy - powiedział Gavin.

- Jest matką. Jak mogła?

Gavin, nic nie mówiąc, wpatrywał się w jej oczy. W milczeniu wyszli oboje z sokołarni.

Za bardzo się przed nim odsłoniła, pomyślała. Znowu poczuła złość na matkę. Odeszła, chociaż Clare jej potrzebowała. Jak ma poślubić tego obcego jej gwałtownika bez matczynych porad? I jak ma zostać matką, skoro nie było matki, która by ją tego nauczyła, którą mogłaby o wszystko zapytać?

Czuła się opuszczona i niewarta troski, jak to pęknięte jajo. Musi skrzętnie ukrywać to wszystko, co uczyniło ją niewartą miłości matki i Alaina. Z Gavinem także nigdy więcej nie podzieli się swoimi uczuciami, postanowiła ze smutkiem.

Bezradnie niepewna tego, co ma zrobić, zaczęła przygotowania do wesela.

Co powinno zostać podane na stół? Którą suknię ma wybrać? Wszystko szło jak po grudzie, bo nie miała matki, która mogłaby jej doradzić, ani też żadnej kobiety w swoim otoczeniu, która dorównywałaby jej statusem.

Kilka dni później do drzwi jej komnaty zapukała Murine. Clare, patrząc w rozterce na trzy suknie rozłożone na łóżku, z początku próbowała ją zignorować, ale niska, pulchna kobieta, w której kasztanowych włosach zaczynały pojawiać się nici siwizny, stała cierpliwie, nie zamierzając odejść.

- O co chodzi, Murine? - spytała w końcu Clare.

- Denerwujesz się ślubem.

Clare poczerwieniała. Akurat z kochanką ojca nie będzie rozmawiać o narzuconym jej małżeństwie.

- Nie mam ci nic do powiedzenia w tej kwestii - odrzekła ostro.

- Ale ja mam ci coś do powiedzenia i najwyższy czas, żebyś tego wysłuchała.

Clare otworzyła szeroko oczy, osłupiała. Murine była prostą kobietą i знаła swoje miejsce. Przynajmniej do teraz.

- Wiem, że mnie nie lubisz - zaczęła Murine, jakby od dawna przygotowywała sobie tę kwestię - ale prawda jest taka, że kocham twojego ojca, a ponieważ tak jest, kocham również ciebie jak swoją własną córkę.

- Z całą pewnością nie jestem...

- Poczekaj, daj mi dokończyć. Twój ojciec martwi się o ciebie.

- Za długo z tym zwlekał. - Łzy zapiekły ją pod powiekami. Kiedy była małą, przestraszoną dziewczynką i potrzebowała jego opieki, odesłał ją z domu. Wybrał towarzystwo tej kobiety.

- Obwiniasz go za to, że nie oplakuje wciąż twojej matki. Była wspaniałą kobietą i kochał ją szczerze. Ale mężczyzna nie jest stworzony do samotnego życia, a ja dałam mu radość i zapomnienie.

Temu akurat Clare nie mogła zaprzeczyć.

- Tak...

- Czy nie możesz go po prostu zaakceptować takim, jakim jest, zamiast pragnąć, żeby się zmienił?

Nie. Tak samo jak nie mogła zaakceptować Gavina ani siebie samej.

- Gdyby rzeczywiście o mnie dbał, nie zaaranżowałby tego małżeństwa. Zrobił to dla siebie, nie dla mnie. - Jeszcze nie dokończyła tych słów, a już wiedziała, że nie ma racji. Która kobieta mogła spodziewać się po małżeństwie, że zostanie zawarte ku jej zadowoleniu i zgodnie z jej wolą?

- Próbowałam coś zrobić, żebyś czuła się szczęśliwa... - Murine wzruszyła ramionami. - Nikt ci nie pomoże, jeśli ty także się nie postarasz.

- Nie masz prawa tak mówić. Szczęścia doznają po śmierci w niebie ci, którzy osiągnęli doskonałość - powiedziała, wiedząc, że jej do tego daleko.

- Cóż, sprawiasz wrażenie, jakbyś odrzucała te okruchy, które zostały nam tutaj dane.

Już otwierała usta, aby wyrecytować litanie pretensji. Pozbawiona matki w dzieciństwie. Oschły ojciec. Odrzucona przez Alaina. Zmuszona do małżeństwa z człowiekiem, którego się obawiała, i do życia w miejscu, którego nienawidziła...

Ale nagle wydało się jej, że w tej chwili najważniejszy jest wybór właściwej sukni. Spojrzała na łóżko, kolory mąciły się jej przed oczami. Błękitna, czerwona, kremowa. Która jest odpowiednia dla panny młodej?

- Powinna być tutaj ze mną matka, żeby mi pomóc.

- Twoja matka nie żyje od dziesięciu lat. To długo, żeby nosić żałobę.

- Mój ojciec jej nie nosił.

- Ja też doznałam bólu po śmierci męża - powiedziała Murine, patrząc jej prosto w oczy.

Clare zarumieniła się ze wstydu. Wzięła głęboki oddech.

- Przepraszam - wyjąkała. Łatwo zatracić się we własnym bólu i nie dostrzegać cudzego. Zachowywała się, jakby tylko ona kogoś straciła, a wokół wszyscy ludzie mieli podobne doświadczenia.

- Ciągniesz za sobą przeszłość jak te twoje ptaki dzwonki. Za każdym razem, gdy miałabyś szansę zapomnieć, odzywają się one, przypominając ci o wszystkim na nowo.

Clare usiadła na drewnianej skrzyni, nie powstrzymując dłużej łez. Murine poklepała ją po ramieniu. Jak to możliwe, że ta kobieta znała ją tak dobrze?

- Bo ja myślałam, że Alain... że ja i on... nawet nie wiem, co zrobiłam źle.

Murine położyła jej dłonie na ramionach i spojrzała jej prosto w oczy.

- Ty? To ten Francuz jest głupcem, jeśli nie widział, jakie ma szczęście.

Jej bezpośredniość pobudziła Clare do śmiechu. Nie spodziewała się takich słów od kobiety, która dopiero co ją skrytykowała. Uśmiechnęła się i otarła rękawem łzy. Spróbowała sobie przypomnieć, czy matka kiedykolwiek nagrodziła ją taką pochwałą.

- Cóż, skoro ojciec chce tego małżeństwa, będzie je miał - powiedziała i dodała z westchnieniem. - Chociaż nie rozumiem, dlaczego tego chce.

Murine uśmiechnęła się znacząco.

- Zrozumiesz. - Poklepała ją po policzku. - Ty na tym zyskujesz najwięcej, uwierz mi.

Clare puściła te słowa mimo uszu. Murine nie miała pojęcia o dworskim życiu. Jej opinia wynikała tylko z poczucia lojalności wobec ojca. Mimo to uśmiechnęła się nieznacznie.

- W każdym razie dostaję przynajmniej mężczyznę, który zna się na sokołach. *Comte* poluje nie lepiej niż źle wytrenowana kania.

Roześmiały się obie i Clare pokazała na suknie.

- Jak sądzisz, która?

Murine przyjrzała się każdej uważnie, wygładziła je, zdejmując zabłąkane nitki.

- Błękitna. Pasuje do twoich oczu. - Uśmiechnęła się. - I jego.

Kiedy wyszła, Clare zdała sobie po pewnym czasie sprawę z tego, że wciąż się uśmiecha.

TLR

## Rozdział piętnasty

Nie należy brać ślubu w maju, jeśli nie chce się tego kroku żałować. Tak przynajmniej głosi przesąd.

Nie zdążyli w maju. Dopiero w czerwcu zdołali sprowadzić lorda Douglasa i znaleźć duchownego.

W przeddzień wesela ojciec, lord Douglas i jego ludzie świętowali ze znacznie większą ochotą niż ona i Gavin. Jej przyszły mąż siedział wśród coraz bardziej hałaśliwej kompanii, milczący, z nieodłącznym półuśmiechem na twarzy. Clare, Murine i Euphemia wciąż niezmordowanie donosiły jedzenie. Clare miała obowiązek pilnować, aby na talerz lorda Douglasa trafiały najlepsze kawałki mięsa, a kubek zawsze był pełny. Łatwe zadanie, bo pił niewiele.

Po posiłku odmówił wypicia brogatu i skinął na nią.

- Chodź, muszę się z tobą rozmówić.

Wstał, a Clare rzuciła spojrzenie na Murine, która kiwnęła głową na znak, że dopilnuje podawania piwa i jedzenia.

- Lordzie Douglas, jesteście zaszczytzeni, mogąc gościć was tutaj. - Szła szybko, aby nadążyć za nim, kiedy kroczył przez sień.

- Tak.

To było wszystko, co powiedział. Przez dziesięć lat był absolutnym władcą na pograniczu i zachowywał się jak człowiek pewien swojej władzy.

Poprowadził ją na szczyt wieży, aż na mury. Owiało ich świeże powietrze, po parapecie chodził zbrojny, wypatrujący niebezpieczeństwa. Wyprostował się na widok lorda Douglasa, ale odesłany ruchem ręki, oddalił się od nich na tyle, by nie słyszeć, o czym będą mówić. Douglas spojrzał na nią przenikliwie.

- Co powiesz o mężczyźnie, którego zamierzasz poślubić?

Odchrząknęła, starając się zebrać myśli. Douglas uczynił swoją obietnicę lata temu. Kiedy zetknął się z człowiekiem, któremu miał powierzyć te ziemie, chciał cofnąć dane słowo.

- Co mój ojciec powiedział?

Jeśli utrzymał pochodzenie Fitzjohna w sekrecie, wszystko może się zmienić, gdy Douglas pozna prawdę. Co się wtedy z nią stanie? Z nimi wszystkimi?

Ponura twarz Douglasa sposepniała jeszcze bardziej.

- Że jest synem Jana z Eltham.

Więc wiedział. Mogła się tego spodziewać. Sam Gavin jej powiedział, że jego nazwisko jest znienawidzone w Szkocji.

- Dlaczego miałbym oddać te ziemie angielskiemu wrogowi? Czy twój ojciec traci rozum?

Przecież nie może mu wyznać, że sama się nad tym zastanawiała. Nie dopuści do tego, aby Douglas zważył w jej ojca.

- Jestem pewna, że nie oczekiwałby waszej aprobaty, gdyby nie sądził, że Fitzjohn utrzyma te ziemie pod panowaniem Szkotów.

- Ale to ty masz zostać jego żoną, tak? - Rzucił jej ostre spojrzenie.

Co mu miała odpowiedzieć? Że Gavin nie jest wrogiem? Czy sama w to wierzyła?

- Ma tyle samo krwi szkockiej co angielskiej. - Słowa, które tyle razy jej powtarzał, pokrzepiły ją.

- I tyleż powiązań z Dawidem, co z Edwardem. Ze mną żadnych.

Czyli chciał mieć człowieka lojalnego wobec siebie tak samo jak wobec Dawida.

- Wybrał, po której jest stronie. - Dotknęła kamiennej ściany, przypominając sobie wyraz oczu Gavina, gdy patrzył na roztaczające się wokół ziemie. - Jest gotów umrzeć w walce z Anglikami.

Przynajmniej w to rzeczywiście wierzyła.

- Więc będzie wobec mnie lojalny? - Patrzył na nią badawczo.

Douglas, Dawid, Szkocja. Nigdy nie myślała, że to może być jakaś różnica.

- Tak... - Nawet w jej uszach zabrzmiało to niepewnie.

Douglas milczał dłuższą chwilę, wpatrzony w północ, gdzie rozciągała się Szkocja. W końcu odezwał się:

- Dopilnuj, żeby dał ci dziecko. Gdyby coś poszło nie tak, będę mógł ustanowić opiekuna, zanim dziecko dojdzie do pełnoletności.



W milczeniu schodziła za nim po schodach. To jest jedyne, co ode mnie dostaniesz, rozbrzmiały echem w jej głowie słowa, które rzuciła Gavinowi. Nie były prawdziwe. Szkot czy Anglik, będzie musiała dzielić z nim łóżko.

I ta myśl nie była tak odrażająca, jak powinna być.

Ogień dogasał, gdy Gavin słuchał lorda Douglasa, który zabawiał ich chętnymi opowieściami o tym, jak wypchnął Edwarda poza granicę, a potem rozgromił angielskich popleczników w Galloway, Kyle i nawet tych schronionych w murach zamku Caerlaverock.

- I to jest jego koniec - stwierdził, uśmiechając się ponuro do Gavina. - Edwarda i jego marionetki, Balliola, który poparł pretensje angielskiego króla do szkockiego tronu. - Patrzył wyczekująco na Gavina, jakby czekając na jego reakcję.

Osiadł po tej stronie granicy, ale nie przyniosło mu to spokoju. Czuł się Szkotem, a mimo to nie potrafił cieszyć się z pobicia Anglików. Zachował więc milczenie. Przyrzeczono mu Clare, ale Douglas w każdej chwili mógł cofnąć daną baronowi obietnicę. Wystarczyło jedno jego niewłaściwe słowo.

Dłoń Douglasa, ciężka jak młot, spadła na jego ramię. Brązowe oczy przewiercały go na wylot, jakby czytały w jego myślach.

- Utrzymaś tę wieżę, Fitzjohn?

- Tak przysięgałem - odparł, kiwając głową.

Douglas nie spuszczał z niego wzroku.

- Wyznaczyłem ci łatwe zadanie. Zawarłem rozejm z hrabią Northhampton aż do świętego Michała.

Northhampton, jako lord Strażnik Marchii, miał za zadanie strzec granicy po stronie angielskiej, a jego władza była równie rozległa jak Douglasa po stronie szkockiej.

- Nie potrzebujecie ani króla Dawida, ani króla Edwarda, aby decydować o wojnie i pokoju?

- Nigdy nie potrzebowałem - odpowiedział Douglas i cofnął dłoń.

Gavina zmroziły jego słowa. Po ilu stronach toczyła się walka podczas tej wojny?

- Czy teraz będziecie nalegać na uwolnienie króla Dawida?

- Być może. - Douglas pociągnął łyk trunku.

Nie myślał, że zada to pytanie. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy Douglas naprawdę chce powrotu Dawida. Anglicy wyparci poza granice Szkocji, Dawid w niewoli, Douglas, podobnie jak Stewart, mógł się czuć równie potężny jakby sam był królem.

- Co nas powstrzymuje przed sprowadzeniem go? - spytał ostrożnie.

Douglas prychnął.

- Okup, którego żądają, wydrenuje nas do czysta. Ja go nie zapłacę.

Jakby ten kraj należał do niego!

- Poza tym - mówił dalej Douglas - Dawid myśli o zrzeczeniu się pretensji do tronu na rzecz angielskiego króla. - Splunął.

- Zamiast na was, lordzie, lub na Roberta Stewarta? - spytał Gavin spokojnie, chociaż zastanawiał się, czy tamten nie wyciągnie sztyletu w odpowiedzi.

- Zamiast temu, kto spędził życie na obronie tych ziem przed Anglikami, podczas gdy on wygrzewał sobie piętę przed kominkiem u Edwarda.

Przez wszystkie lata, które spędził w Anglii, Gavin nie słyszał takich uwłaczających oszczerstw o królu Dawidzie.

- Siadywałem razem z nim przed tymi kominkami - powiedział, zaciskając zęby. - Życie na wygnaniu to nie życie. Spędził dziesięć lat w Anglii, bo jego pobratymcy są zbyt skąpi i uparci, aby sprowadzić go do domu.

- Po czyjej jesteście stronie, Fitzjohn?

Kiedy wybrał Szkocję, wybrał również króla Dawida. Czy znowu będzie musiał okazywać lojalność obu stronom?

- Już wybrałem. Czy chcecie, żebym wybierał między wami a moim królem?

- Powinieneś wybrać Szkocję, niezależnie od tego, kto jest królem - oświadczył Douglas, badając go wzrokiem.

- A myślałem, że tak długo jak Douglasowie pieczętują się swoim herbem, tak długo królem będzie Bruce.

Douglas zamrugnął zdziwiony. Trudno mu było oponować. Odkąd James Douglas, wierny druh i rycerz Roberta i Bruce'a, zabrał jego zabalsamowane serce na krucjatę, na tarczy rodu widniało serce - widomy znak wierności suwerenowi.

- Powiedz mi, Gavinie Fitzjohn, dlaczego wróciłeś?

- Szkocja to mój dom. A teraz też i Wieżyca Carrów.

- Tylko z mojej łaski i dla twojego sprawnego ramienia - powiedział Douglas, obdarzając go sceptycznym spojrzeniem.

- Nie wątpię w ten drugi powód.

Douglas nachmurzył się.

- Zawarłem rozejm, nie pokój. Jeśli uważasz, że zachowanie nienaruszonej granicy będzie łatwe, nie jesteś właściwym człowiekiem.

Żeby go zadowolić, trzeba prowokować wojnę, nie wystarczy do niej stanąć?

- Nie będzie łatwe, ale utrzymam ją, dla Szkocji i Dawida Bruce'a. Zgadza się pewnie z tym, że czas najwyższy, aby znów zasiadł na tronie, zamiast grzać krzesła Edwarda.

Ponurą minę Douglasa zmiękczył ledwie zauważalny uśmiech.

- Edward ustanowił dziesięciu posłów, aby zawrzeć pokój. Spotkam się z nimi przed wyjazdem do Francji.

- Myślałem, że udajecie się na pielgrzymkę.

- Do Amiens. - Przeżegnał się. - Podziękować Bogu za pokonanie Anglików.

- A jeśli jakikolwiek Anglik odważy się wyzwać nas na francuskiej ziemi - wtrącił się do rozmowy Alain - zmiażdżymy i jego. - Spojrzał wyzywająco na Gavina, który kiedyś walczył razem z Anglikami we Francji.

- Nawalczyłem się już na francuskiej ziemi - odpowiedział Gavin i spojrzał na Clare. - I mam narzeczoną, którą chcę się nacieszyć.

Uśmiech Francuza stał się sztuczny.

- Nie was chciała.

Lord Douglas przenosił spojrzenie z jednego na drugiego.

- To się zmieniło.

- Oby tak było - odezwał się Douglas. - Oczekuję pojawienia się dziecka po dziewięciu miesiącach.

- Są jeszcze jakieś warunki, które muszę spełnić, zawierając to małżeństwo? - Sarkastyczny uśmieszek znów służył za tarczę Gavinowi. - Powinienem dowiedzieć się o nich teraz?

- Tylko ten, że masz ją utrzymać. - Mina Douglasa nie zapowiadała pojednania, a raczej wojnę. - Jeśli pozwolisz, żeby przeszła w ręce tych za wzgórzem, nie ty będziesz ją odbijał.

- Utrzymam ją. - Gavin uniósł kubek.

Douglas obserwował Clare, roznoszącą kolejną porcję brogatu. Gavin spostrzegł, że ich oczy się spotkały i wymienili spojrzenia. O czym rozmawiali, gdy wyszli? Na to małżeństwo naciskał baron Carr. Douglas, tak samo jak Clare, został zmuszony do wyrażenia zgody. Czy Clare błagała go o zwolnienie z danej obietnicy? O to, żeby nie doszło do ślubu?

Czy może o coś bardziej złowieszczego? Obawiała się go, a nawet nienawidziła. Czy była zdolna do ostateczności?

- Zostaw to już, Clare. Jutro twój ślub, jest późno, wystarczy na dzisiaj.

Clare odwiązała fartuch i uśmiechnęła się, gdy Murine i Euphemia zaczęły machać rękami, jakby ją odpędzały. Nic nie mogło bardziej się różnić od zamku rodziny Garrencieres niż kuchnia w wieży Carrów, a jednak poczucie wspólnoty z tymi kobietami dało jej okruszek szczęścia, o którym mówiła Murine. Może zdarzą się też jakieś przebłyski szczęścia z Gavinem?

- Clare, chciałbym zamienić słowo.

Zaskoczona, podniosła wzrok i zobaczyła Fitzjohna stojącego w drzwiach. Jej ciało już zaczęło reagować na niego. Za każdym razem, gdy go widziała, coraz trudniej było jej oddychać.

- Sama widzisz - odezwała się Murine. - Czas na ciebie.

Na twarzy Gavina nie pojawił się nawet cień uśmiechu i uczucie wyczekiwania opuściło Clare. Ujął ją za ramię, jakby była branką, i pociągnął w kierunku schodów.

Na niższym poziomie wieży panowała ciemność, mieściły się tu lochy, teraz puste, i piwnica, pachniało zwiędłym winem, suszonym mięsem i przyprawami.

- Rozmawiałś z Douglasem - powiedział, gdy już nikt nie mógł ich słyszeć.

- Tak.

- Powiedz mi, o czym.

- Chciał wiedzieć, czy będziesz wobec niego lojalny.

- A gdybym nie był?

Wątpliwości, których starała się nie dopuszczać do siebie, wróciły.

- Powiedziałałam mu, że będziesz. Powtórzyłam to, co sam tak często powtarzasz. Że masz tyle samo szkockiej, co angielskiej krwi. Sugerujesz, że to kłamstwo? Mówiłam mu nieprawdę?

- Niczego nie sugeruję. Pytam, czy ty i Douglas spiskujecie, jak zakończyć to małżeństwo.

Kompletnie zaskoczona otworzyła szeroko oczy.

Douglas zgodził się na małżeństwo, ale nikt nikomu nie może obiecać długiego życia. A on nie zawahałby się zabić Gavina, gdyby uznał, że ma po temu powody. Nie oszczędził przecież swojego wuja, żeby zdobyć pozycję przywódcy klanu. Równie niebezpiecznie było mieć w Douglasie wroga, co być jego przyjacielem.

- Więc? - spytał Gavin niecierpliwie.

- Nie wtajemniczył mnie w swoje plany. - Jego oczy były takie błękitne, jakby skradł kawałek nieba. Bała się go, ale z całkiem innych powodów niż Douglasa. - Planuję wesele, a nie pogrzeb!

- Wesele i nowe życie.

Zadrzała. Oblewało ją gorąco i zimno na przemian, krew zaczęła szybciej krążyć. Stali tak blisko siebie, niemal w całkowitych ciemnościach, i nie potrzebował jej dotykać, aby rozbudzić w niej napiętność.

Pojutrze nie będzie już ucieczki. Będzie musiała przyjąć w łóżu tego mężczyznę. Noc za nocą będzie wystawiona na działanie swojej grzesznej strony natury. Znikąd ratunku i żadnej pewności, dokąd ich to zaprowadzi.

Nienawidziła go i swojego ciała za to, że ta perspektywa wydawała się jej tak kusząca.

- Tak. Narodziny. Znam swoje obowiązki.

W jego oczach dostrzegła rozczarowanie.

- Czy twoje poczucie obowiązku obejmuje również ostrzeżenie męża, gdyby jego życie było zagrożone?

- Tak. - Obawiała się jego dotyku, ale nie chciała, żeby zginął. Nie tylko z małżeńskiego poczucia obowiązku.

Wziął ją pod brodę i odwrócił jej twarz do światła pochodni. W milczeniu wpatrzył się podejrzliwie w jej oczy.

- Clare...

Zabrzmiało to jak pytanie. Cofnął dłoń.

- Obyś była tego pewna...

Odwrócił się i zostawił ją samą, z zupełnie nowym spostrzeżeniem, jak cienka jest granica między miłością i nienawiścią.

TLR

## Rozdział szesnasty

Wesele się skończyło i goście rozeszli się.

Clare sama w swojej komnacie patrzyła przez okno, jak odjeżdżają Douglas, Alain i jego ludzie, a na końcu duchowny. Odjechali, ledwie minęło południe, zmierzając na statek, który miał ich zawieźć do Anglii, a potem do Francji.

Bez niej.

Tętent końskich kopyt słabł, aż zanikł zupełnie i słychać było tylko zawodzenie wiatru.

- Wypowiedziałaś słowa czułego pożegnania?

Drgnęła na dźwięk głosu Gavina. Nie odwróciła się, bo nie chciała patrzeć mu w oczy.

- Pożegnałam grzecznie naszych gości, to oczywiste. - Była zadowolona, że Alain odjechał. Nie zniosłaby jego obecności następnego ranka.

Wyczuła, że Gavin podszedł bliżej, i czekała, kiedy skorzysta ze swojego prawa. Na razie nie zrobił tego.

- Nie wyglądał na przygnębionego twoim małżeństwem.

Zacisnęła powieki, broniąc się przed bólem, zła bardziej na Alaina i siebie niż na Gavina, bo to, co powiedział, było prawdą.

- Nie... Tylko ja z tego powodu jestem nieszczęśliwa.

Jakaż była głupia!

- Mam się teraz do ciebie zalecać?

Odwróciła się. Zajął jej ostatni azyl, jej komnatę. Silny i nieokrzesany, stał i wpatrywał się w nią z dzikością w oczach.

- Już za późno na to. Zostaliśmy poślubieni. Nie ma dla mnie ucieczki.

- Ani dla mnie.

Nagle dostrzegła w jego oczach ból.

- Nie wiedziałam, że szukasz ucieczki - powiedziała. - Trzeba było o tym mówić wcześniej. - Nie pragnął jej. Bardziej pożądał tej wieży, bydła, owiec i ziemi, które dostał

wraz z nią. Alain odrzucił i to. - Chodź. - Popchnęła go na ławkę przy palenisku. Na palcu czuła ucisk świeżo włożonego pierścienia. - Zajmę się tobą.

Nie spuszczać z niej wzroku, usiadł. Uklękła przed nim, żeby rozpiąć jego surkot. Prezent od lorda Douglasa, bo Gavin nie miał innych strojów poza roboczymi.

Ze zniecierpliwieniem rozpinęła guziki.

- Jeśli sprawia ci to taką przykrość, sam to zrobię.

Wstała i odeszła kilka kroków, a on zdjął ubranie i cisnął je na bok. Zrzucił kopnięciem miękkie buty i wyciągnął rękę. Zdusiła w sobie pragnienie, aby wtulić się w niego i unieść twarz do pocałunku. Odwróciła się, ale na nic zdało się odwrócenie wzroku. Krew wciąż szybko krążyła jej w żyłach. Z trudem łapała oddech. Po chwili uraza roztopiła się w pożądaniu. Musi spełnić swój obowiązek jako żona. Inaczej i on ją zostawi, pomyślała ze smutkiem.

Rozwiązywała niezgrabnie sznurowanie z tyłu sukni, próbując rozebrać się jak najszybciej i ukryć się w pościeli.

- Pozwól.

Jego palce wprawnie rozluźniły sznurówki, a ciepłe dłonie musnęły skórę jej pleców.

- Nie! - Odsunęła się od niego i zrzuciła gwałtownie suknię i koszulkę. Nie miała więcej sentymentu do swojego ślubnego stroju niż on do swego. Wciąż odwrócona do niego tyłem, wdrapała się na wysokie, wąskie łóżko i nakryła kocem. - Jestem gotowa.

Stał, górując nad nią, i unióśł wysoko brwi.

- Na co?

Serce zaczęło jej walić, niemal zagłuszając jego głos. Przełknęła ślinę. Jakich słów powinna użyć?

- Na... ten akt.

Ułożył się obok niej na łóżku niewiele szerszym niż dla jednej osoby, ale sprawiał wrażenie zadowolonego z wygody.

- Wyglądasz, jakbyś spodziewała się tortur.



- Tak? - Usiadła i natychmiast zgarbiła się, podciągając koc, który nieznacznie odsłonił jej piersi. - Moje ciało ci nie wystarczy? Potrzebne ci jeszcze jęki i rozpalone spojrzenia? To musisz sobie poszukać innej kobiety - wybuchła.

Oczekiwała, że weźmie ją siłą, tak jak omal tego nie zrobił w noc święta Beltane. Ale tym razem powolny uśmiezek nie rozchylił jego ust i nie rozpałił iskier w oczach. Tym razem ściągnął brwi i przypominał jej orła, gotowego unicestwić swoją ofiarę. Złapał ją silnie za ramiona, koc opadł. Clare poczuła chłód na nagich piersiach. Jęk, o którym tak pogardliwie mówiła, omal się jej nie wymknął.

- Posłuchaj mnie uważnie - wypowiadał słowa gniewnie i powoli. - Nie będzie innej kobiety. Może nie jestem dwornym rycerzem, o jakim marzysz, ale chyba zapominasz, że dworska miłość opiewa uczucie rycerza do kobiety zamężnej. Na to nie jestem tak wyrafinowany ani wspaniałomyślny. Powtórzę to jeszcze raz. Poślubiłaś mnie. - Puścił jej ramiona, ujął dłoń i przesunął obrączkę na jej drżącym palcu. - *Vous et nul autre.*

Francuskie słowa zabrzmiały jak wyrok śmierci.

- Co znaczy ty i żadna inna. - Pochylił się nad nią jeszcze niżej i wyszeptał: - Jak sokoły, połączyliśmy się na całe życie.

Przełknęła ślinę i skinęła głową. Jego prowokujący uśmiezek zwiódł ją. Uznała, że nie zależy mu na niej bardziej niż na jakiegokolwiek innej kobiecie. Tymczasem on chciał ją zniewolić, nieważne, z jakiego powodu.

- Wolałbym, aby oboje nas cieszyły przyjemności małżeńskiego łoża!

Przycisnęła koc do piersi i wyprostowała nagie ramiona, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Miała nadzieję, że on nie wyczuł, jak jej oddech przyspieszył.

- Tak, jesteśmy mężem i żoną. Nie odmówię ci prawa do mojego ciała. Ale nie wymagaj, by mnie to cieszyło.

Zmysłowy wyraz znów zagościł w jego oczach.

- Nie wymagam, ale doprowadzę do tego. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Co masz na myśli?

- Zanim sokół i sokolnik stworzą zgrany duet, ptak musi przyzwycząić się do nowego pana.

Co ma na myśli? - zastanowiła się. Układanie sokoła i przyzwyczajanie go do ludzi zajmowało całe tygodnie. Przez ten czas ptak i człowiek byli nierozdzielni.

- Zamierzasz pozbawić mnie snu i jedzenia, aż mnie złamiesz i nagnę się do twojej woli?

- Tak postępujesz z sokołem, gdy go układasz?

Z ociąganiem pokręciła przecząco głową, a on przesunął palcem po jej policzku i szyi.

- A kiedy ukończysz nauki, czy nie jest tak, że ptak i człowiek polują razem lepiej niż każde z nich zdołałoby osobno?

Kiwnęła tylko głową, niezdolna wypowiedzieć ani słowa. Uśmiezek powrócił na jego twarz.

- Czy sokolnik nie zaspokaja potrzeb swojego ptaka? Nie znajduje mu ofiary, nie karmi i nie daje wody do picia?

- To oczywiste. - Jego palce, wciąż spoczywające na jej szyi, blokowały słowa.

- Czyli człowiek służy ptakowi, prawda?

- Tak! - rzuciła, rozzłoszczona na niego, że nawet najlżejszy jego dotyk wprawia ją w drżenie.

- W takim razie, kto jest czyim panem? I kto kogo układa? - Jego palce błędziły po jej nagim barku, zsunęły się na ramię, zatrzymały na delikatnej skórze w zagłębieniu łokcia. - Sokół i sokolnik są sobie poślubieni.

Przywołała całą swoją złośliwość, żeby wreszcie mu się odgryźć.

- Ptak wraca na obleczonej rękawicą dłoń po pokarm. Nie dla samej dłoni!

Jej oczy podążały za jego ręką i palcem błędzącym po niebieskich żyłkach na jej nadgarstku.

- Spokojnie... Przekonasz się, że moja ręka trzyma pokarm i nauczysz się ją kochać.

Ta zapowiedź wydała się jej gorsza od wszystkiego, co dotąd usłyszała, bo właśnie tego Clare obawiała się najbardziej.

- Przekonasz się, że nie jestem tak łatwowierna jak sokół. - Zmusiła się, aby spojrzeć mu w oczy. - Potrafię sama znaleźć sobie pokarm.

Uśmiezek wrócił na jego wargi, pochylił się i zniżył głos do szeptu. Jego oddech łaskotał jej ucho.

- Różne są rodzaje pokarmu, moja sokolico.

Niemal czuła smak tego, o czym mówił. Budził w niej to wszystko, przeciwko czemu się broniła. Jeśli się mu podda, odsłoni swoje słabości i zostawi ją. Pełną wstydu i zrozpaczoną.

- Nie będzie ci łatwo mnie uwięzić.

- Już się sama uwięziłaś. Sama sobie nałożyłaś pęta i kaptur, nawet nie wybrawszy godnego siebie sokolnika. Teraz jednak masz takiego, który nauczy cię latać. Wyżej, szybciej i dalej.

Drżąc od jego słów, cofnęła rękę. Czy nie myślała o tym samym? Ale nie może mu się poddać bez walki. Spojrzała mu śmiało prosto w oczy i rzuciła wyzwanie:

- Sądzisz, że uczynisz ze mnie swoją niewolnicę?

- Sądzę, że sama siebie uczyniłaś dobrowolnie niewolnicą, droga Clare. Odrzuć ograniczenia... Nauczę cię szybować, jak cię do tego natura stworzyła. - Ścisnął delikatnie jej ramiona i to wystarczyło. - Połóż się, moje kochanie. Będę cię trzymał przy sobie, dzień i noc, aż nauczysz się ufać mojemu dotykowi.

Krew pulsowała w jej skroniach. Bała się, że oszaleje z wyczekiwania. I ze strachu.

Ukląkł, tak że nie mogła się ruszyć. Koc zsunął się, odsłaniając jej piersi. Górował nad nią, złotowłosa o silnych ramionach.

Ściągnął pościel w dół, przesuwając ją powoli po jej piersiach, i Clare zdusiła jęk. Spróbowała się wyswobodzić, ale bez przekonania. Co on dalej zrobi?

- Widzę, że muszę przysłonić ci oczy, tak jak sokolicy, zanim przyzwyczai się do nowych doznań.

Przecucie tego, co nastąpi, ścisnęło jej gardło.

- Zasłonisz mi oczy?

Uśmiechnął się zmysłowo.

- Jesteś taka delikatna. Zaufaj mi. - Wyciągnął niebieską jedwabną szarfę, zasłonił jej oczy i zawiązał z tyłu głowy, zanim zdążyła zaprotestować.

Jedwabisty materiał, niezbyt ciasno zawiązany, przyjemnie muskał jej skórę. Słyszała wyraziście wszystkie dźwięki, odbierając je nie tylko słuchem, ale całym ciałem. Zawodzenie wiatru, owiewającego wieżę, szelest słomy, gdy się poruszył, miękkie odgłosy bosych stóp po podłodze. Wyciągnęła ręce i poruszyła dłońmi, ale złapała tylko powietrze.

- Ciemność uspokaja ptaki. Mnie nie!

Poczuła jego dłonie na barkach, a potem na plecach.

- Jeśli zrobię coś, co ci się nie spodoba, po prostu powiedz przestań. Dobrze?

Zastanawiała się w milczeniu. Jego propozycja dawała jej dziwnie przyjemne poczucie.

- Dobrze.

- Obiecuj mi to. Muszę to usłyszeć.

Coraz silniej pożądała go.

- Obiecuję.

- Odwróć się więc.

Odwróciła się i z ulgą przyłgnęła ciałem do materaca, czując się znacznie bezpieczniej, gdy nie mógł patrzeć na jej nagie piersi. Gavin położył warkocz na plecach i rozluźnił uczesanie, aż jej włosy rozsypały się swobodnie.

- Będę teraz dotykał twoich pleców tak, jak ty głaszczesz pióra swojego sokoła.

Delikatnie uciskając, przesuwał dłonią od jej barków aż po krzyż. Powtarzał ruch wielokrotnie tak długo, aż zapragnęła krzyknąć.

Ale nie krzyknęła. A on nie przestał.

W końcu rozluźniona, ukołyszana jego dłońmi, poddała się czarowi chwili, zawieszona między snem a jawą, podnieceniem a odprężeniem. Ledwie pamiętała, z kim ulatuje w świat doznań, i nie wiedziała, dokąd ją to zaprowadzi.

Z jedwabną szarfą na oczach, nie potrafiłaby powiedzieć, czy minęły minuty czy godziny. Nie dręczył jej strach ani obawy. Wdychała zapach lawendy, którym była prześląknięta jej poduszka, odkrywała zapach jałowca, dębu i sosny z płonących w palenisku drzew.

Ale ponad wszystko rozkoszowała się delikatnym dotykiem jego dłoni.

W końcu całkiem odpłynęła w sen.

Obudziła się i otworzyła oczy, ale wokół niej panowała nieprzenikniona ciemność. Przestraszona usiadła i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, że wciąż ma przewiązane szarfą oczy. Uniosła ręce, by rozsupłać węzeł.

- Nie - rozległo się stanowcze polecenie.

Wyciągnęła ręce i koniuszki palców natknęły się na ciepłą, nagą skórę. Widziała go przedtem z obnażoną piersią, ale nigdy jej nie dotknęła. Teraz przycisnęła do niej płasko dłonie i badała jego ciało. Najpierw miękkie kędziorki, potem przesunęła palce niżej, na jego nagie biodra. Nagle natknęła się na coś twardego i gładkiego w dotyku.

Cofnęła szybko dłonie, ale pochwycił je i przyłożył znów tam, skąd uciekły. Poczowała, jak nabrzmiewa i pulsuje pod jej dotykiem wnętrza dłoni, twardy, a zarazem zaskakująco delikatny.

- Pozwól, że teraz ja będę dotykał ciebie...

Znieruchomiała, gdy jego dłonie przesunęły się po jej barkach i ramionach. Siedziała przed nim, wystawiona na jego spojrzenia, naga, niczym niechroniona. Z każdą chwilą coraz bardziej mu ufała, aż uwolniła się od niepokoju i wątpliwości, całkowicie poddając się pieścizocie.

Czy tak samo dzieje się, gdy sokół przestaje obawiać się człowieka? - pomyślała rozmarzona.

Jego ręce masowały jej piersi. Wciągnęła głęboko powietrze, zaskoczona tym, co poczuła. Odsunął się, jej ręce ześliznęły się bezwładnie, oswabadzając go, wtedy ułożył ją delikatnie na łóżku i przestał jej dotykać.

Odwróciła głowę i spróbowała przewidzieć jego następny ruch, polegając jedynie na zapachach i dźwiękach wokół. Materac poruszył się pod nią, uwalniając delikatny zapach lawendy. Poczowała wosk z topniejącej świecy. A ponad wszystkim jego zapach.

Wstrzymała oddech, przeczuwając, że jej się przygląda. Czy podobało mu się to, co zobaczył?

Dotknął jej ręki i Clare wzdrygnęła się, uciekając dłonią. Po chwili położył ją znów na prześcieradle i nakrył ją swoim ciepłym i silnym ramieniem, delikatniej, niż się tego spodziewała.

- Nie musimy się spieszyć.

Był bardzo cierpliwy. Tego się po nim też nie spodziewała. Gładził jej plecy nie-strudzenie, a teraz siedział spokojnie, dotykając jej dłoni i ani na chwilę jej nie popędzał.

Ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa. Choć zdawała sobie sprawę, że jest iluzoryczne. Tymczasowe. Jej skóra, pozbawiona jego dotyku, tęskniła za nim. Wyczekiwała coraz bardziej niecierpliwie na ciąg dalszy.

Jak długo każe jej czekać? - zastanowiła się.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - spytała głosem ochryplym od długiego milczenia.

- Nauczyć cię ufać mi. I sobie.

Ufać sobie... Słowo klucz, które zdarło zasłonę z jej oczu. Leżała naga przed mężczyzną, który wyzwał w niej najlubieźniejsze, głęboko skrywane pragnienia.

Wyswobodziła rękę i przykryła obiema dłońmi łono.

- To będzie trudne.

- Nie aż tak, jak myślisz.

Dopilnuj, żeby dał ci dziecko. Tak, musi to zrobić, dodawała sobie odwagi.

- Jesteś moim mężem. Rób, co chcesz. Podporządkuję się.

- Nie chcę, żebyś się podporządkowała!

Poczuła jakiś ruch w powietrzu. Czy to on zamachał rękami z frustracji?

- Chcę, żebyś wybrała. Żeby popchnęło cię do mnie pożądanie.

- To nigdy nie nastąpi. - Skłamała. - Zrób to. Teraz.

- Nie, dopóki to ty nie będziesz tego pragnąć. Nie twój ojciec czy lord Douglas. Ty.

Uniosła głowę, wciąż miała na niej zawiązaną szarfę i żałowała, że nie widzi jego oczu.

- Nie mam w tej sprawie żadnego wyboru.

- Właśnie ci go daję.

- Sokół nie wybiera.

- Każdy lot to wybór. Za każdym razem ptak może wybrać wolność, zamiast przy-  
lecieć do ciebie z powrotem.

Czy on też się bał, że ją straci? Oczekiwał po tym małżeństwie czegoś więcej niż ziemi i domu? Nie, to niemożliwe. Nie wolno jej w to wierzyć. Nie przeżyłaby rozczarowania.

Jego dłonie znowu zaczęły jej dotykać, jego usta szeptały do ucha, rozwiewając wątpliwości. I możliwość wyboru.

Zerwała szarfę. Musiała spojrzeć mu w oczy, wyczytać z nich, jakie były jego prawdziwe zamiary. Tymczasem pierwsze, co zobaczyła, to jego ciało. Nagie. Tak jak jej.

Chwiejny płomyk świecy rzucał ruchome cienie na ich skórę. Jej błądą, jego złoci-  
stą. W pierwszym odruchu chciała z powrotem zakryć oczy. To było takie niepokojące!  
Jej oczy jednak syciły się nim. Podziwiała muskuły ramion, zaokrąglone jak grzbiety  
wzgórz, złociste kędziorki, miękkie i delikatne na szerokiej, silnej piersi. Wędrujący wo-  
jownik, równie obcy w jej łóżu, jak tercel w sokolarni, pomyślała Clare.

Pozwolił się jej przyglądać, nieruchomy, jakby wiedział, czego w nim szuka.

Każdy ranek powitasz uśmiechem, powiedział niedawno. I tego właśnie się oba-  
wiała!

Chciała słyszeć słowa zapewnień, że jeśli zatraci się jak rozpustna ladacznica, on  
nie będzie tego żałować i nie przestanie jej szanować. Tylko że słowa niczego i tak nie  
gwarantowały. Alain obdarzył ją tyloma pięknymi komplementami i zapewnieniami. To  
były jednak kłamstwa. Dlatego, teraz, w migocącym świetle, chciała spojrzeć mu w oczy.

- Nie mogę wybierać. Nie ufam ci.

Jego mroczne, intensywne spojrzenie nie uspokoiło jej.

- To nie mnie nie ufasz, tylko sobie.

Ten mężczyzna dokonywał własnych wyborów, odmawiał wyjaśnień i nie bronił  
się przed najgorszymi oskarżeniami. Teraz jeszcze prowokował ją, aby robiła to samo.

Nie, ona nie podejmie takiego ryzyka.

Chciał, żeby wybierała. Dobrze. Może mu się poddać, a mimo to być dla niego  
niedostępna. Nie musi mu dać całej siebie. On i tak nie wyczuje różnicy.

Wyciągnęła ręce i pozwoliła, by palce ich dłoni się splotły.

- A jeśli zgodzę się, ale tylko na dzisiejszą noc?

- Tylko na jeden lot?

- Tak.

Zdmuchnął świecę. Pograżyli się znów w bezpiecznej ciemności, a potem poczuła na ustach jego wargi. Dłonie zdecydowanym ruchem muskały jej skórę, drażniły pączki piersi, pieściły talię, biodra i łono.

Clare ponownie zatraciła się w przyjemnościach i zgubiła w jego dotyku poczucie czasu. Jej uda rozchyliły się, jej ciało poddawało się mu, instynktownie łaknąc więcej i więcej!

Połączyli się wreszcie. Gavin poruszał się delikatnie i powoli. Jęknęła i zharmonizowała się z nadawanym przez jego ciało rytmem.

Coś w niej powoli narastało, fala pożądania wznosiła się niczym sokół szybujący ku słońcu. A jeśli on zabierze ją zbyt wysoko, zatraci się w złotym blasku i nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej na ziemię, pomyślała Clare i wtedy poczuła, że jest bliska zatacenia, chciała krzyczeć jak dzikie stworzenie. Zgodziła się, ale nie wiedziała, na co przyzwala. Teraz, kiedy to poznała, przestraszyła się. Zmieniła się w łóżku w sukuba, lubieżnego demona nawiedzającego w snach mężczyzn.

- Przestań! - wydyszała, odpychając go.

Zawisł nad nią, oparty na ramionach, oddychał ciężko, jak galopujący koń.

- Chcesz tego!?

- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę być taka. - Jeśli na to pozwoli, jeśli podaży za nim, przepadnie wszystko, czego się nauczyła i kim starała się być.

- Miej odwagę, żeby wybrać to, czego naprawdę pragniesz!

Widziała, jak próbuje zdusić pożądanie, czekając na jej odpowiedź. Nie chciała wybierać, nie chciała budzić drzemiących w niej demonów, gotowych na spotkanie z jego demonami. To mnie zabije, pomyślała. Jeśli po to sięgnę, to mnie zniszczy. Nie potrafiła już jednak zawrócić. - Dobrze!

I nie było już więcej pytań ani wątpliwości, ani słów. Zabrał ją ze sobą, unosząc coraz wyżej, szybciej, aż nie było już nic poza wspólnym lotem, aż obydwójce stali się jednością, a świat wokół eksplodował.



Oślepiające uczucie przysłoniło wszystkie inne. Czuła się, jakby narodziła się na nowo jako ktoś inny. Zupełnie inny.

Myślała, że teraz Gavin się od niej odsunie, ale nie zrobił tego. Czekał, aż odzyska świadomość i przyzna, że cieszy ją jego bliskość. To musiała być właśnie chwila ziemskiego szczęścia, ulotna jak oddech, a po niej niebiański wręcz spokój w ramionach jej męża... Pół-Anglika, podpalacza.

Odwróciła się i wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia. Lepiej niech znów zapanuje ciemność, niech jej oczy nie widzą...

Lepiej nie myśleć o tym, co właśnie się stało.

Gdy szaleństwo rozkoszy minęło, powrócił strach, że on też ją zostawi.

TLR

## Rozdział siedemnasty

Gavin leżał obok niej, obejmując ją, i myślał, jaką wspaniałą jest kobietą.

Podziwiał jej opanowanie, pewność siebie i dobroć, którą okazywała ludziom. Odkrycie, że jest jednak zdolna do takiej namiętności, zaskoczyło go. Wprawdzie spodziewał się tego, a w każdym razie liczył na to, ale rzeczywistość przerosła najśmielsze oczekiwania.

Zamknął oczy, broniąc się przed porannym słońcem, i wyobraził ją sobie taką, jak ostatniej nocy. Półotwarte usta, jasne włosy, opadające na ramiona, jakby opromieniło je światło księżyca. Jej palce splatające się z jego palcami.

Dopiero teraz, gdy trzymał ją w objęciach, czuł, jak jest delikatna. Nadgarstek, palce, kości obojczyków, stopy - wszystko jak u dziecka w porównaniu z jego ciałem. Zupełnie niepasujące do wyćwiczonego, zaprawionego w bojach wojownika.

Zastanowił się, czy ją zmusił? Obawiał się odpowiedzi, jakiej mogłaby udzielić. Nie to było jego zamiarem. Chciał ją do siebie przywiązać, ale uczuciem niewymuszonym, mimo że zostali tym małżeństwem zamknięci w pułapce jak dwa ptaki w klatkę.

Cielesna strona jego natury domagała się, by ją wziął od razu, ale gdy tak leżała obok niego, chronił ją emocjonalny pancerz równie silny jak rycerska zbroja. Sprawił, że go zrzuciła, ale czy coś dał jej w zamian? Co będzie czuła, kiedy się obudzi? Czy doznała takiego samego uczucia głębokiej wspólnoty jak on?

Jedna noc. Pojedynczy lot. To jej obiecał i tak ma zostać. To ona musi zdecydować, czy chce znów z nim wzlecieć? Chociaż nie wiedział, jak zdoła utrzymać swoje dłonie z daleka od niej. Będzie śnił o tym, co mogliby razem robić. Będzie gotowy, jeśli tylko ona ponownie się ośmieli.

Gavin postanowił, że drugi raz jej nie będzie nakłaniał. Pierwszy raz w życiu poczuł, że zależy mu na czyimś zdaniu.

Spał jeszcze, gdy Clare wysliznęła się z łóżka, zadowolona, że nie musi spojrzeć mu w twarz. Znała teraz dotyk jego skóry, siłę obejmujących ją ramion i to wszechogarniające uczucie, na którego samo wspomnienie przechodził ją dreszcz.

Czy czuł się tak samo bezbronny wobec niej jak ona wobec niego? Dał jej z siebie coś więcej niż tylko nasienie... Ona odsłoniła się przed nim całkowicie, choć nie wypowiedziała ani słowa. Bała się, bo mógł jej w każdej chwili złamać serce, gdyż od dzisiaj należało do niego.

Zebrała włosy i związała je wstążką, nie tracąc czasu na zaplecenie ich w warkocz. Ojciec musiał trzymać swoich ludzi z daleka, bo nikt nie walił do drzwi. Spojrzała przez okno. Sądząc po słońcu, było południe. Czyżby spędzili w łóżku tyle czasu?

Zawahała się przy drzwiach, bojąc się, że gdy wyjdzie, będzie musiała udawać, że nie widzi tych spojrzeń. Nawet jeśli nie słyszeli jej jęków, dobrze wiedzieli, co nowożeńcy robią w noc poślubną. Dopiero odgłosy dochodzące z sieni uspokoiły ją. Murine przygotowywała południowy posiłek.

Clare zeszła cicho po schodach i niezauważona wymknęła się na dwór. Uśmiechnęła się na myśl, że świat wygląda tak, jakby nic się nie stało. Błękitne niebo nad głową i dryfujące po nim obłoki. W nocy wydawało się jej, że wszystko stanęło na głowie i zmieniło się bezpowrotnie.

Nogi same zaniósły ją do sokolarni. Przez te kilka dni poprzedzających wesele nie miała czasu odwiedzić Drobnej. Jeszcze zanim jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, usłyszała nieznany odgłos. Cichy powtarzający się świergot.

Drobna wysiedziała jajka.

Clare wstrzymała oddech i podkradła się bliżej. Dwa puchate pisklaki popiskiwały w gnieździe. Drobna stała z rozpostartymi skrzydłami, groźna, jakby za chwilę miała zaatakować. Clare przystanęła i stojąc nieruchomo, patrzyła na ptaka. Potem, wstrzymawszy oddech, ostrożnie podeszła bliżej.

Pisklęta miały zamknięte oczy, różowawe dzióbki otwarte i wyglądały jak pokryte puchem kulki. Takie młode, kruche, pewnie dopiero kilkudniowe, pomyślała Clare.

Otworzyła okno wysoko w ptaszarni, żeby tercel mógł bez przeszkód wlatywać i wylatywać, pozostałym ptakom przymocowała dłuźce.

Zauważyła w gnieździe resztki pokarmu, ale pisklaki wciąż popiskiwały, jakby były głodne. Może tercel nie przynosił wystarczającej ilości jedzenia? Sięgnęła do torby

sokolnika, żeby wyciągnąć coś do jedzenia, nie wiedziała tylko, czy będą jadły pokarm dla dorosłych ptaków.

Nie spuszczać oka z Drobnej, chwyciła między kciuk i wskazujący palec niewielki kasek i wyciągnęła z torby. W ten sposób karmiła dorosłe sokoły, może uda się i z piskletami, jeśli wystarczająco ostrożnie podsunie rękę.

- Nie!

Odwróciła się. Głos Gavina zabrzmiał ostro, ale uśmiechał się, stojąc w drzwiach. Świeżo umyty, włosy miał jeszcze mokre, a jego twarz rozjaśniał młodzieńczy uśmiech, jakby był giermkim, a nie rycerzem o marsowej zazwyczaj minie.

Jej piersi nabrzmiały od wspomnienia jego warg. Przełknęła ślinę, bała się odezwać po tym, co robili w nocy i co chciałyby powtórzyć

Położył jej dłoń na ramieniu i Clare zdała sobie sprawę z tego, że stoi jak skamieniała, z ręką wciąż wyciągniętą przed siebie.

- Jeśli teraz je nakarmisz, będą się domagały jedzenia, ilekroć pojawisz się w pobliżu.

Był pozbawiony serca.

- Są za małe, żeby polować. Skąd mają wziąć pokarm?

- Tercel im przyniesie. Chyba że uwolnisz Drobnią, aby mu pomogła.

Cofnęła rękę, ale nie uczyniła ruchu, żeby odwiązać sokolicę.

- Skąd tyle wiesz o sokołach?

- To wspaniali towarzysze dziecka skazanego na wygnanie. Królewski sokolnik okazał mi wiele cierpliwości.

- Którego króla? Wymienili uśmiechy.

- Oboj. Dawid trzyma własne sokoły, a Edward pozwala mu polować.

- Wspaniałomyślnie z jego strony.

- Ich armie walczą ze sobą, ale oni sami są spokrewnieni przez małżeństwo Dawida z siostrą Edwarda. Czasami, nieoficjalnie, odnoszą się do siebie niemal serdecznie.

Jakie nadzieje żywiono, gdy król Dawid poślubił siostrę króla Edwarda, Joan, kiedy oboje byli jeszcze dziećmi! Jakiegokolwiek były, okazały się płonne. Nie chciała jednak

rozmawiać o granicach i wojnie, kiedy jej świeża zażyłość z mężem była tak krucha jak te pisklęta.

- Czego jeszcze nauczył cię o sokołach? Czy kiedykolwiek wyhodował ptaka w sokolarni?

Potrząsnął głową.

- Raz czy dwa wyjął z gniazda pisklę, ale niewytrenowane przez rodziców nie są dobrymi myśliwymi.

Serce jej się ścisnęło. Nawet ptaki potrzebują matki, żeby je prowadziła. Spojrzała na dwie popiskujące puchate kulki.

- Więc muszę je zostawić Drobnej.

- Chodź. - Objął ją ramieniem i poprowadził do drzwi. - Musimy stawić czoło domownikom.

Westchnęła, wiedząc, że czekają ją sprośne komentarze, i poszła razem z nim do wieży.

Co byś mi poradziła, mamó, zastanawiała się, odwzajemniając uściski Murine i Euphemii. Co mam teraz począć? - wciąż zadawała sobie w duchu to pytanie.

Obserwowała go, gdy toczył słowne potyczki z mężczyznami na temat jego sprawności minionej nocy. Większość zgromadziła się wokół niego, unosząc kubki na jego cześć, ale Tom, który rozpoczął bójkę podczas Beltane, trzymał się na uboczu, mamrocząc coś pod nosem. Ich podejrzliwe spojrzenia obudziły stare wątpliwości. Czy w ogóle wiedziała, kim on jest? Czy naprawdę mogła mu ufać? Czy mogła zawierzyć swoim uczuciom i osądowi?

Jeśli on rzeczywiście chce prawdziwego małżeństwa, którego przedsmak miała wczorajszej nocy, przyjdzie do niej znowu. Postanowiła, że ona go o to nie poprosi.

Po czerwcu przyszedł lipiec, niemal tak niepostrzeżenie, jak przemijają chmury pędzące po niebie. Owce, ostrzyżone z wełny, zagoniono na wzgórza, aby się pasły na łąkach pokrytych soczystą trawą.

Nie przyszedł do niej. Noc za nocą kładła się do łóżka samotnie, kiedy on sprawdzał stan w zbrojowni albo kontrolował księgi rachunkowe po sprzedaży wełny. Czekał z powrotem, aż zyskał pewność, że już śpi.

Nigdy jednak nie spała. Leżała na boku z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w ciche odgłosy jego kroków, szelest zdejmowanych szat i materaca, gdy układał się obok niej na łożu. Jej skóra tęskniła za dotykiem jego palców. Dama jednak nie powinna inicjować intymnych sytuacji.

Każdą noc spędzali odwróceniem do siebie plecami, a Gavin ani razu nawet jej nie objął. Czasem w ogóle nie przychodził.

Jej nadzieja gasła z dnia na dzień. Może nie zostawił jej jak Alain, ale oddalił się od niej. Nie dzielili już sekretnie rozkosznych chwil. Najwyraźniej jej jęki i krzyki go zraziły, skonstatowała ze smutkiem.

Próbowała się tym nie przejmować. Żyli na oczach innych, każde słowo i gest dzielili z innymi, tym bardziej że musieli wypełniać codzienne obowiązki. Jeśli czasem rzucała na niego tęskne spojrzenie, gdy zdejmował tunikę i unosił silne ramię, aby pokazać Angusowi, jak trzymać miecz, tylko Murine to dostrzegła. Jej współczujący uśmiech niewielkie niósł pocieszenie.

Bez świadków rozmawiali tylko w sokołarni.

Pisklęta rosły szybko. Po sześciu tygodniach pojawiły się długie, ciemne pióra. Młode wyskubywały sobie resztki młodzieńczego puszku, tak jakby chciały jak najszybciej dorosnąć. Podchodziły do krawędzi półki i trzepotały skrzydłami, jakby przygotowywały się do skoku. Clare zamknęła żaluzje, bojąc się, że odlecą i nie odnajdą drogi powrotnej. Ale chociaż wyglądały tak, jakby były gotowe do lotu, żadne nie wyskoczyło.

Jej comiesięczna przypadłość nadeszła i wiedziała, że musi się z nim porozumieć. Jeśli ma spłodzić dziedzica, muszą powtórzyć to, co robili w noc poślubną.

Tej nocy leżała cicho, udając, że śpi, dopóki Gavin się nie położył. Wtedy odwróciła się i przyłożyła dłoń do jego pleców. Usiadł wyprostowany, jakby dała mu sygnał, że zbliża się nieprzyjaciel.

- Co się dzieje?

- Mój czas nadszedł.

Trudno było to z siebie wydusić. Nie musi chyba mówić mu nic więcej, ale on wciąż milczał. I nie zamierzał jej dotknąć.

- Czy to nie jest naturalne? - spytał w końcu zduszonym głosem i zabrzmiało to równie niezręcznie jak jej deklaracja.

- Jest - odpowiedziała, czując, że policzki jej płoną, a on spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem. - Więc nie będę miała dziecka.

- Tyle wiem. - Uśmiech przemknął po jego twarzy.

Przełknęła ślinę, niepewna, czy zdoła to powiedzieć.

Jak dama ma prosić o taką rzecz?

- Ale to znaczy, że musimy... - przeniosła wzrok z jego twarzy na prześcieradło - znów...

- Musimy? - Skrzyżował nogi, na szczęście okryte pościelą, i pochylił się nad nią.

- Jeśli nie będzie dziecka, stracisz włości Carrów.

- Nie będzie to pierwsza rzecz, którą stracę w życiu. - W jego przytłumionym głosie rozbrzmiało echo zmarnowanych lat.

Czy nienawidził jej tak bardzo, że mógłby odrzucić wszystko, co się z nią wiąże? Cóż, w przeciwieństwie do niego znała cenę, jaką się płaci za przysięgę wierności.

- Nasz potomek, twój dziedzic, to nasz obowiązek. Opuścił głowę z westchnieniem.

- Czy to dla ciebie jest tylko obowiązek?

- Nie rozumiem...

Wyciągnął rękę, lecz natychmiast ją cofnął i skrzyżował ramiona na piersi.

- Powiedziałem ci, że każdy lot to świadomy wybór. Dokonujesz go wyłącznie z poczucia obowiązku?

- Myślałam... - Jak ma to powiedzieć? Był mężczyzną, jej mężem, i patrzył na nią oczami pełnymi pożądania. - Myślałam, że mnie nie chcesz.

Wyraźnie go to zdumiało. Miał osłupiałe oczy i półotwarte usta. Niespodziewany cios miecza nie zaskoczyłby go bardziej. Po chwili szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz i wziął ją w ramiona. Czowała zmysłowy zapach jego ciała i rodzący się w jego piersi śmiech.

- A ja myślałem, że ty mnie nie chcesz.

Strach, przytający w każdym mięśniu, rozplątał się, zastąpiony przez wyczekiwanie.

- Czekaleś na mnie? - spytała z niedowierzaniem. Który mężczyzna by to zrobił?

Gavin skinął głową.

- Obiecałem, że zawsze będziesz mogła wybierać. Teraz i w niej budził się szczyry śmiech.

- W takim razie wygląda na to, mój mężu, że niepotrzebnie kazaliśmy czekać naszemu dziecku.

Śmiało podniosła głowę, sięgając do jego ust. Tym razem będzie miała oczy otwarte, tym razem będzie śledziła każdy jego ruch.

W świetle świec widziała jednak zbyt wiele. Ich nosy przeszkadzały sobie. Jej ręce, splecione na jego karku, powędrowały na ramiona i zamarły. W końcu opuściła je niezręcznie i bezużytecznie. Jego język drażnił ją, spróbowała odpowiedzieć, ale zawstydziała się własną nieporadnością.

Pierwszej nocy obawiała się, że wyzwoli w niej lubieżną rozpustność. Teraz, że zobaczy w niej niezręczną i niepewną siebie kobietę, niezdolną sprawić przyjemność mężowi. Zmęczona swoją niezdarnością, zaprzestała wysiłków i leżała nieruchomo. Niech on lepiej robi to, na co ma ochotę, pomyślała.

Pocałunki, którymi obsypywał jej uszy, policzki, szyję, obojczyki, spadały coraz wolniej, aż w końcu ustały. Odsunął się i przyjrzał się jej uważnie.

- Myślałem, że tego chcesz.

- Bo chcę. Naprawdę.

- Więc co się dzieje?

- Jestem wciąż jak pisklę - odpowiedziała, przekręcając głowę na bok i przywołując wspomnienie młodych Drobnej, podskakujących na brzegu półki i trzepoczących skrzydłami, ale niezrywających się do lotu. - Kiedy wszystko widzę... - urwała, nie wiedząc, jak by mu to wyjaśnić. - Jestem jak sokolica, której trzeba zasłonić oczy, żeby się nie przestraszyła.

Jego uśmiech na powrót stał się czuły i lubieżny.

- Rozumiem. Wracamy więc do nauki.



Jedwabna szarfa znów dotykała zmysłowo jej policzków. Pograżona w bezpiecznej ciemności, pragnęła doświadczać jego dotyku wszystkimi zmysłami prócz wzroku. Z westchnieniem ulgi opadła na plecy.

- Kiedy układa się sokoła, trzeba go zachęcić przynętą.

Jego głos brzmiał kusicielsko, słoma zaszeleściła, gdy wstawał z łóżka. Spróbowała sobie wyobrazić, jak się porusza.

- Co robisz? - spytała niecierpliwie, czekając, żeby zaczął jej dotykać.

- Przygotowuję się do układania mojego pięknego gałęznika - powiedział, otwierając wieko skrzyni. - Nie zaryzykuję utraty i dlatego... - ujął jej ramię i szybkim ruchem przyciągnął je do brzegu łóżka i zawiązał cienki pasek skóry wokół jej nadgarstka muszę zastosować dłuźec. - Przywiązał jej drugą rękę. - Teraz, moja żono, możemy wznowić nauki.

Natychmiast poczuła, jak nabrzmiewają jej piersi i rodzi się pulsujące pożądanie. Była całkowicie na jego łasce, pragnienie mieszało się z obawą i wciąż nie umiała rozdzielić tych uczuć.

- Czy jest ci wygodnie?

Przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Pamiętaj, po prostu powiedz, abym przestał, jeśli czujesz się źle.

- Pamiętam. - Pamiętała także, jak trudno było im nad sobą zapanować.

Wtedy dotknęło jej kostki coś miękkiego jak piórko, a potem rozpoczęło powolną, leniwą wędrówkę po wewnętrznej stronie jej nagiej nogi. Przeczynała, dokąd zawędruje, i była głodna kolejnych pieszczot.

Serce waliło jej w piersiach, przełknęła ślinę, niepewna, czy będzie mogła mówić.

- Okażesz mi cierpliwość? - Nie pomyliła się chyba co do niego. - Nie skrzywdzisz mnie?

Piórko zatrzymało się.

- Żaden sokolnik nie skrzywdzi swojego ptaka. Wybór wciąż należy do ciebie. Czy chcesz odbyć ten lot?

Jego duża, ciepła dłoń dotknęła jej ręki. Czy masz tyle odwagi, aby wybrać to, czego pragniesz? - spytał niedawno. Ostatnim razem przestraszyła się własnych pragnień. Tymczasem odkryła, czym jest wolność szybowania pod nieskończonym błękitem nieba.

- Tak - powiedziała, splatając palce z jego palcami. Westchnął ze szczerą ulgą i pocałował ją w czoło.

- Więc polec tak daleko i wysoko, jak tylko się odważysz. Będę przy tobie. Odnajdę cię.

Piórko podjęło wędrówkę po wewnętrznej stronie jej uda, posuwając się lekkimi, delikatnymi mięśniami coraz wyżej.

- Tak jak ptak, powinnaś przyzwycząć się do sygnału, że czeka na ciebie miłosny pokarm - powiedział, a potem gwizdnął cichutko.

Przyłożył wargi do delikatnej skóry we wnętrzu jej uda i wiedziała, że żadne z nich już się nie zatrzyma.

TTLR

## Rozdział osiemnasty

Trzymał ją potem w ramionach, wciąż drżącą. A może to on sam drżał?

Nie zdawał sobie sprawy, gdy nalegał, o jak wiele ją prosi. Żadna kobieta nigdy nie oddała mu się tak całkowicie. Niczego przed nim nie ukryła, nie zostawiła dla siebie. Nie zostało w niej nic, czego by przed nim nie ujawniła.

Gdyby była sokołem, nie mogłoby być lepiej. A on nigdy nie dopuściłby do tego, żeby ją stracić. Jakaś jej część należała do niego i świadomość tego sprawiła, że po raz pierwszy w życiu nie czuł się jak bastard pozbawiony ojczyzny.

Przytulił ją mocniej i pocałował we wrażliwe miejsce, które znalazł na jej szyi, tuż za uchem. Nie po to, żeby ją pobudzić, ale by ją uspokoić. Pokazać, nie używając słów, że jest z nim bezpieczna. I już zawsze będzie.

W zaciszu komnaty, w ich wspólnym łóżu znaleźli schronienie. Przeczuwał jednak, że to poczucie bezpieczeństwa nie było im dane na zawsze. Douglas, Dawid, Edward - spory wielkiego świata znów ich dopadną. Pytanie tylko kiedy.

Leżała drżącą w jego ramionach i z zawstydenia nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

Co on teraz o niej myśli? - zastanawiała się z niepokojem, gdy niespodziewanie coś się w niej obudziło. Poczowała, że całkiem się przed nim otwiera i najbardziej skrywana, spychana dotąd część jej natury domaga się uwolnienia.

Spazm, który przeszedł jej ciało, był tak wszechogarniający, że nie zdołała stłumić krzyku. Jęczała, niezdolna się kontrolować, niezdolna utrzymać maski opanowania. Bała się, że odwróci się od niej zniesmaczony.

Alain na pewno by był zażenowany. Tymczasem jej mąż leżał wciąż przy niej, trzymając ją bezpiecznie w ramionach. Clare po raz pierwszy poczuła, że nie musi się obawiać świata. On, Gavin Fitzjohn, ją obroni.

Postanowiła, że będzie to ich wspólny sekret - te pierwotne uczucia, jakie zrodziły się między nimi i obudziły w nich tę nieposkromioną namiętność. Wątpiła, by inni kiedykolwiek to przeżyli. Nikt chyba by tego nie zniósł. Z jednej strony czuła się słaba i bezbronna, z drugiej jednak dało jej to siłę i poczucie bezpieczeństwa. Jakby to wszystko, co zrobiła, było dobre - jakby była sokołem podążającym za głosem natury.

Pieścił wrażliwe miejsce na jej szyi, tuż za uchem, delikatnymi pocałunkami, na skórze czuła jego oddech. Jego szept był ledwie słyszalny.

- Piękny lot, moja nieustraszona sokolico. Wyniósł cię ponad światy.

Ułożyła się na jego piersi. Wolność, której szukała, galopując po wzgórzach, odnalazła w dzielonym z nim łożu.

Światło i cień rządziły ich dniami i wieczorami.

Zaspokojona po każdym ich zbliżeniu, wciąż na nowo pragnęła jego dotyku i tęskniła za nim, ledwie w kilka godzin, a czasem nawet minut po tym, jak się połączyli.

Nienawidziła długich letnich dni, trzymających ich z daleka od łoża.

Spędzali czas na szkoleniu potomstwa Drobnej, które nazwali Drobnią Dwa i Drobnią Trzy. Najpierw na podwórzu, potem na zewnątrz, ona i Gavin uczyli je ścigać przynętę. Za każdym razem, gdy ją pochwyciły, ptaki były wynagradzane kąskiem pokarmu, tak jakby polowały naprawdę.

Nie mogli jednak spędzać całych dni z sokołami. Kiedy Clare pracowała w kuchni albo zbierała zioła, jej ręce poruszały się własnym rytmem, a myśli uciekały do wspomnień minionej nocy. Jej ojciec i Murine wymieniali uśmiechy na jej widok, a ona to konsekwentnie ignorowała.

Czasem wpadał jej w ucho cichy, niski, wibrujący gwizd i wtedy przyłapywała go na przyglądaniu się jej. a jego uśmiech obiecywał kolejną noc w ich sekretnym świecie, niedostępnym za dnia.

Kiedy już się rozłączyli, rozmawiali równie intymnie, jak się kochali. O codziennych obowiązkach, o tym, czy powinni sztukować pióra jastrzębia, tak żeby mógł znów latać. Jak spędzili dzieciństwo. Clare mówiła o poczuciu samotności, o dniach spędzanych bez matki, o pobycie we Francji, gdy wyzbywała się szkockiego akcentu i usiłowała przyswoić sobie nowe reguły właściwego postępowania. Gavin z kolei opowiadał o czasach, gdy był giermkim i służył królowi Dawidowi na obcej ziemi.

A jednak, mimo że tak tęskniła za jego dotykiem, jedwabna szarfa zawsze była przygotowana, bo wciąż potrzebowała całkowitej ciemności, aby oddać mu się całkowicie.

- Nie tak dużo cynamonu, Euphemio. Według przepisu, połowa tego, co dodałaś, wystarczy - powiedziała Clare. Uczenie dziewczyny, jak przygotować brogat, stanowiło prawdziwą lekcję cierpliwości. - Musisz odmierzać składniki dokładnie, a nie po prostu wsypywać pełnymi garściami.

- Ale ja lubię cynamon!

- Ja też, ale nie znaczy to, że mogę go używać, ile mi się podoba. - Brązowe, aromatyczne rurki były drogie. Clare zajrzała do woreczka, próbując ocenić, ile ich jeszcze zostało. - Usiłuję cię nauczyć, jak to robić właściwie.

Euphemia wzruszyła ramionami, wciąż się uśmiechając.

- I dziękuję wam za to, pani. - Pochyliła się nad słodową miksturą, wciągnęła zapach nosem i westchnęła z zadowoleniem. - Pachnie ładnie.

Clare zmarszczyła nos i też powąchała, rozkoszując się aromatem cynamonu i próbując ocenić, ile Euphemia go użyła. Jeśli rezultat jej się spodoba, może zmodyfikuje przepis. Niechętnie, ale musiała przyznać, że dziewczyna miała talent do kucharzenia i nie potrzebowała wskazówek.

Przez kilka minut pracowały w milczeniu.

- Widziałam cię z Walterem wczoraj wieczorem, a z Thomem przedwczoraj - odezwała się Clare. Thom był tym, który pierwszy zaatakował Gavina podczas Beltane, Walter praktykował u kowala. Był dobrym, spokojnym człowiekiem. - Czy któryś wspominał coś o małżeństwie?

Poślubi pierwszego mężczyznę, który ją o to poprosi, powiedział ojciec. Jeśli przedtem nie będzie w ciąży.

- Fitzjohn stale zajmuje Waltera przy koniach - odpowiedziała Euphemia, potrząsając głową - a Thom jest zajęty utyskiwaniem na Fitzjohna.

- Utyskiwaniem? - spytała Clare spokojnym głosem, chociaż wcale nie czuła się spokojna. Wprawdzie zbrojni zawsze szemrali, ale akurat ten jeden zdawał się żywić do Gavina szczególną urazę. - Co mówił?

- Że Fitzjohn jest bardziej Anglikiem niż Szkotem.

Czuła się z nim bezpiecznie i zapomniała, że dla wielu z ich ludzi wciąż był obcym.

- Inni też tak uważają?

Euphemia znów wzruszyła ramionami.

- Kilku. Zawsze im mówię, jaki jest dla mnie miły.

Clare uśmiechnęła się i omal jej nie uściskała. Nie był to argument, który mógł powstrzymać nienawistnego mężczyznę, ale przynajmniej starała się pomóc.

- Sądzisz, że coś więcej się za tym kryje niż tylko takie sobie gadanie?

Dziewczyna przechyliła głowę i namyślała się przez chwilę.

- Nie wiem.

Gavin obawiał się Douglasa. Może miał rację, że Douglas pozostawił u nich szpiega. Odłożyła łyżkę i wytarła ręce w fartuch.

- Euphemio, muszę to wiedzieć. Czy możesz dla mnie to odkryć? - A gdy dziewczyna kiwnęła głową na zgodę, dodała: - A jeżeli usłyszysz o czymś, co by mogło mu zagrażać, przyjdź i powiedz mi.

- I Fitzjohnowi?

- Nie, najpierw mnie. - Była za młoda, żeby rozróżnić gadaninę od prawdziwego zagrożenia. Nie ma po co na próżno niepokoić Gavina.

- Jesteś zadowolona z małżeństwa z nim, prawda?

- Prawda. - Co za cud, że to przyznała.

- Mówiłam, że jest krzepki. Clare powstrzymała się od śmiechu.

- A teraz pewnie dodasz, że to ty go zaprosiłaś do naszego domu.

- No, a nie? - Euphemia uśmiechnęła się szeroko.

- Zaslugujesz na podziękowania, więc szczerze ci dziękuję. - Te słowa smakowały słodko jak brogat.

Nadszedł czas, aby Drobna Dwa zaczęła swobodnie latać. Clare wiedziała to, ale w przeciwieństwie do młodego sokoła nie była gotowa.

- Dzisiaj - powiedział Gavin. - Dzisiaj zaczniesz latać. Clare spojrzała w niebo, jakby chciała ocenić pogodę.

Sierpniowe deszcze ustały, niebo było czyste, a chmurki wyglądały niegroźnie.

- Jest trochę wietrznie. Może jutro.

- Powtarzasz to od tygodnia.

- Ale Drobna Trzy jest słaba, powinniśmy poczekać, aż dojdzie do formy, i wypuścić je razem.

Ujął jej twarz w dłonie i patrząc prosto w oczy, powiedział:

- Teraz. Albo nigdy nie zaczniesz latać.

Skinęła milcząco głową, wiedząc, że ma rację. Palce jej drżały, gdy przygotowywali dłuźec i przynętę. Pojechali na wzgórze i starała się czerpać spokój z dobrze znanej, tyle razy powtarzanej praktyki.

Uważnie ułożyła Drobna. Ptak zawsze nieomylnie wracał na jej obleczonej rękawicy pięść, ale Drobna Dwa nie była jeszcze wyszkolona. Uczyli ją oczywiście, najpierw na podwórzu, gdzie zlatywała z żerdzi na pięść, a potem za murami. Clare jednak nie zaryzkowała swobodnego lotu.

Odważyła się wyhodować pisklę i tym samym sprzeniewierzyła się setkom lat tradycji sokolnictwa. Teraz okaże się, czy miała rację, czy postąpiła nierozsądnie.

Wjechali dostatecznie wysoko, poza granicę lasu, gdzie wzgórza porastały już tylko krzaki. Clare rozejrzała się wokół, miała nadzieję, że szanse na utratę ptaka są tu mniejsze niż na zadrzewionym terenie.

- Jeszcze za wcześnie, Gavinie. Powinniśmy ją lepiej wyszkolić.

- Clare, teraz jest odpowiedni moment - powiedział, pomagając jej zsiąść z konia. - Jest już ułożona i pokaże nam, co potrafi. Lot to dla niej naturalna sprawa.

Dotknął jej policzka i Clare zarumieniła się. Tak jak lot z tobą dla mnie, pomyślała.

Spojrzała na zakapturzonego ptaka, siedzącego na rękawicy. Czy wszystko zrobiła jak należy? Czy będzie bezpieczny? Wątpliwości ustąpiły, gdy uświadomiła sobie, że sokół jednak poluje, musi latać i do tego został stworzony.

Przekazała ptaka Gavinowi i wzięła do ręki przynętę. Kołysała się pod własnym ciężarem na końcu sznura. Wypróbowała ją, bujając najpierw w górę i w dół, potem na boki, jakby chciała nakreślić wielki krzyż, w końcu zakreśliła nią nad głową i dała znak Gavinowi, że jest gotowa.

Odpiął dłuźec i zdjął kapturek. Ptak rozejrzał się wokół. Już z nim tutaj przedtem trenowali, więc miejsce było mu znane. Gavin uniósł pięść i Drobna Dwa poszybowała w górę.

Łopot jej skrzydeł był jak pulsowanie krwi w żyłach Clare, które zlewało się z szumem wiatru i pobrzękiwaniem dzwoneczków.

Clare zaczęła kołysać przynętą, ale ptak nie nawrócił. Szybował prosto w niebo, do czego stworzyła go natura, jakby już nigdy nie miał wrócić na ziemię.

Kiedy jednak dostrzegł przynętę i niebo straciło swój powab.

Z początku zadanie było łatwe - utrzymać przynętę wystarczająco blisko siebie, żeby ptak mógł ją dostrzec i żeby go nie zniechęcić, a jednocześnie na tyle daleko, żeby nie przerwał lotu. Clare okręciła się, zataczając koło przynętą, spódnice łopotały jej na wietrze, czuła się tak, jakby tańczyła. Łatwo było utrzymywać przed sobą nieprzyzwyczajoną do polowania Drobna Dwa, stwierdziła z zadowoleniem Clare.

Przy trzecim obrocie zwolniła lekko i tyle wystarczyło, aby ptak spadł na zdobycz. Clare podbiegła, przyzywając sokolicę do siadania na nadgarstku. Tak wcześniej ją uczyli, zajęła swoje miejsce, za co została nagrodzona smacznym kąskiem.

Gavin podszedł do niej i objął Clare ramieniem. Wiatr rozwiewał jej włosy, czuła, że bije od niej radość.

- Jeszcze raz? - spytał i dostrzegłszy zadowolone spojrzenie małżonki, nie czekał na odpowiedź.

Ptak uczył się szybko, z każdą próbą kołował coraz pewniej, aż w końcu nawet Gavinowi trudno było manewrować przynętą. Clare śmiała się, upojona zwycięstwem.

- Jak tylko Drobna Trzy dojdzie do formy, oblatamy ją, a potem wypuścimy obie na polowanie - mówiła z podnieceniem, kiedy pakowali sprzęt. Potem nałożyli sokolicy kapturek i ruszyli w drogę powrotną do domu. - No i widzisz? Jest możliwe odchowanie ptaka i wyuczenie go. Przylatuje na pięść za każdym razem, jak jej matka.

Gavin nie do końca podzielał jej radość.

- Z tymi ptakami trudno mieć pewność - powiedział z poważną miną.

Zupełnie jakby mówił o ich relacji, pomyślała z zadumą Clare.

Tej nocy rozmawiał z nią wreszcie o swoich narodzinach.

- Matka żyła na ziemiach w pobliżu Halidon Hill, kiedy mój ojciec prowadził angielską piechotę do zwycięstwa.



Chciała wiedzieć, a jednocześnie bała się, że przeszłość wbije się między nich i ich rozdzieli. Bitwa pod Halidon Hill - ta nazwa pobrzmiwała w uszach każdego Szkota złowrogim echem. Nie dość, że została przegrana, to Szkoci utracili w niej niemal całe pokolenie najwaleczniejszych ludzi. Niektórzy twierdzili, że choć minęło od tamtej pory dwadzieścia lat, Szkocja nie podniosła się po tamtej stracie całkowicie.

- Więc była jedną z ofiar wojny? - Skrzywiła się, nagle wyobraziwszy sobie księcia, podnieconego walką, i syna poczętego z gwałtu.

- Nie! - Jego ramiona wyraźnie się napięły, ale kontynuował spokojnie: - W każdym razie tak mi o tym opowiadała. Spotkali się jeszcze przed bitwą. - Odsunął się od niej, przekręcił na plecy i zapatrzył w sufit.

- Jak ci to opowiadała? - zapytała szeptem.

- Młodszy brat króla, Jan z Eltham - zaczął, jakby recytował wielokrotnie powtarzaną opowieść - tak często przebywał w Szkocji, że rozmiłował się w tym krajobrazie. Przebąkiwano, że miał zostać królem szkockim, gdyby udało mu się podporządkować sobie te ziemie.

W jego głosie zabrzmiało lekkie rozbawienie i Clare podchwyciła:

- Szkota jeszcze trudniej oblaskawić niż sokoła.

- On też to odkrył.

Położyła swoją małą białą dłoń na jego ręce, żeby go zachęcić do mówienia. Nie oderwał wzroku od sufitu, ale w końcu podjął wątek:

- Któregoś dnia prowadził swoje oddziały przez ziemie powyżej Berwick, czyli przez Wschodnią Marchię. To było kilka miesięcy przed rozstrzygającą bitwą. Zatrzymali się w żeńskim klasztorze, głodni, spragnieni i marzący o dachu nad głową. Mniszki nie mogły oczywiście zajmować się żołnierzami, ale w klasztorze przebywały dziewczęta, które rodziny powierzyły ich opiece. Jedną z nich była moja matka, Margaret MacGuffin.

Słyszała o tej rodzinie, luźno spokrewnionej z klanami z wyżyn.

- Opowiadała mi, że wzajemnie się sobą zauroczyli, od pierwszego wejrzenia. On miał wówczas siedemnaście lat, ona niewiele mniej. Spędzili ze sobą jedną noc. Rankiem cały oddział odjechał.

Clare wstrzymała oddech, wyobrażając sobie młodych kochanków. Jan z Eltham przypominał dumnego i wyniosłego orła, jak jego syn. Margaret MacGuffin z kolei była niecierpliwa, zbuntowana, młoda i niedoświadczona. Albo zbyt nim pochłonięta, by dbać o konsekwencje. Clare mogła teraz to zrozumieć. Nawet wybaczyć. Splotła swoje palce z palcami Gavina.

- Mówiła mi, że obiecał ją poślubić. Niemożliwe, pomyślała Clare. Romantyczna opowiadka kobiety próbującej ocalić swoją dumę.

- Ale przecież był bratem króla Anglików - powiedziała.

Spojrzał jej w oczy i wyczytał z nich, że pragnie, aby mu uwierzyła.

- Ale jest prawdopodobne, że gdyby miał zostać szkockim królem, chciałby mieć narzeczoną stąd.

Nie miała zamiaru niszczyć jego wyobrażeń. Ona też karmiła się snami o perfekcyjnej, nieskazitelnej matce.

- Co się z nią stało?

- Zakonnice chroniły ją i mnie, ale kiedy przywiozła mnie do domu, rodzina wpadła we wściekłość, gotowi byli wyrzec się jej i angielskiego bastarda. Bitwa została przegrana, mój ojciec stał się najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Szkocji. - Gorycz zabarwiła jego słowa. - I mieli po temu wszelkie powody.

- Więc ona nigdy więcej go nie zobaczyła? Nachmurzył się, czytając wątpliwości w jej oczach.

- To nie jest takie proste. Widziała się z nim. Kierował się na Perth, kiedy zginął. Byłem dzieckiem, ale pamiętam matkę w jego objęciach i widziałem, jak ją całował. - Po chwili milczenia dodał: - Kiedy odjechał, płakała. Przez długi czas.

- Bo ją opuścił?

- Nie, bo wiedziała, że jest potworem, zdolnym do podpalenia kościoła pełnego bezbronnych ludzi, którzy szukali schronienia. A w moich żyłach płynęła jego krew. - Słowa zabrzmiały zimno i ostro. - Kilka tygodni później już nie żył.

Zabity przez własnego brata. Cała Szkocja знаła tę historię. Edward wpadł w furję. Choć był królem Anglików, nie mógł tolerować takiego świętokradztwa. Przynajmniej w tamtym momencie. Byłoby okrucieństwem przypominać o tym Gavinowi.

- Krew ojca w moich żyłach to złe dziedzictwo, z którym musiałem żyć i walczyć.  
- Uściskał jej dłoń, usiadł i wreszcie na nią spojrział. - I walczyłem... - Uścisk jego dłoni stał się silniejszy. - Każdego dnia. I przysięgam ci, na wszystko, czego dokonałem w czasie tej wojny, że nie zabiłem tamtych ludzi.

- Wierzę ci - wyszeptała i po raz pierwszy rzeczywiście szczerze mu wierzyła.

- Ale chciałem... Rozumiesz to? Przez jeden krótki moment poczułem tę pokusę.

Ukołysała go w swoich ramionach, czekając, aż popłyną łzy, ale poczuła tylko, jak długi, bolesny dreszcz przechodzi przez jego ciało.

Zawierzyła mu całkowicie, a teraz zastanawiała się, czy w ogóle zna tego mężczyznę. A może była zaślepiona nie tylko w jednej kwestii? Może wcale go nie poznała?

TLR

## Rozdział dziewiętnasty

Nigdy nie ma pewności z ptakami, Clare przypomniawszy sobie słowa Gavina. Na początku października przekonała się, że miał rację. Drobna i Drobna Dwa były gotowe zacząć sezon polowań. Kiedy Drobna Trzy chorowała, Clare opiekowała się nią jak dzieckiem i w rezultacie ptak pozbył się całkowicie strachu przed człowiekiem i stracił chęć do polowania. Clare przeniosła ją zatem z sokołarni do sieni, gdzie wszyscy ją rozpieszczali, a ona głośno domagała się resztek z posiłków.

Po południu zabrali Drobna Dwa na pierwszy zupełnie swobodny lot. Słońce i chłodne powietrze przesiąknięte lekkim zapachem wrzосу wróżyło udany dzień na polowanie i wkrótce sokolica złapała swoją pierwszą ofiarę, niewielkiego gołębia. Drugi początkowo uciekł, ale schwyciła go za drugim nawrotem.

Jeden lot więcej i słońce schowa się za wzgórzami, pomyślała Clare. Jeszcze jeden i wracamy do domu.

Być może była zmęczona lub zbyt pewna swego, żeby to się dobrze skończyło. Mógł też zawinić ptak. Najedzony bardziej zainteresował się swobodnym lotem niż smacznym kąskiem czekającym na ziemi. Jakikolwiek by to był powód, kiedy wypłoszyli kuropatwę i wypuścili Drobna Dwa, nie nawróciła. Wzbijała się coraz wyżej i leciała coraz dalej ku ozłoconym słońcem wzgórzom.

Prosto w kierunku granicy, jakby miała wyznaczony cel podróży.

- Nie! - Wiejący im prosto w twarz wiatr poniósł okrzyk Clare w przeciwnym kierunku.

Drobna Dwa stawała się coraz mniej widocznym punkcikiem. Clare zaczęła gwizdać raz za razem, aż zmęczone wargi nie chciały się dłużej układać. Jeśli nawet ptak słyszał, nie zwracał uwagi. Gavin objął ją i przytulił bez słów.

Nie musiał nic mówić.

- Za długo pozwoliłam jej latać, dałam za dużo jedzenia - mówiła, usiłując uzmysłowić sobie, gdzie popełniła błąd w szkoleniu ptaka.

- Mają latanie we krwi - uspokajał ją, kołyszając w ramionach.

- Ale nie ona. - Clare zacisnęła powieki, żeby nie płakać. - Zna tylko sokolarnię. Nie może pragnąć tego, czego nie zna.

- Ty pragnęłaś.

Przycisnęła dłoń do ust. Rzeczywiście pragnęła nieznanego. Nie wiedziała, co robić ani jak się czuć, a żadne nauki i szkolenie nie ugasiły tego żaru.

- Poszukamy jej - powiedział.

- Nic to nie da - odparła, wyswobodzając się z jego ramion, chociaż bardzo chciała wierzyć, że nie ma racji. - Sokół, który odleciał, to tak, jakby go już nie było.

- Nie zawadzi nam spróbować. Już nic nie mamy do stracenia.

Nie wierzył w powodzenie, ale był gotów podjąć tę próbę. Dla Clare. Mimo że złamała reguły uświęcone wieloletnią tradycją sokolnictwa, bo myślała, że wie lepiej niż pokolenia sokolników przed nią, bardzo chciał spełniać jej zachcianki.

Nigdy nie ma pewności co do ptaków, a teraz musiała zapłacić wysoką cenę. Miał nadzieję, że nie jest to początek spłaty długu, który mieli u opatrności.

Następnego dnia także wyjechali jej poszukać. Minęli pasterzy zganiających owce ze wzgórz. W dolinie zalegała srebrzysta jak szron mgła. Im bliżej szczytów, tym wiatr wiał silniej, przepędzając mgłę.

Zsiedli z koni i zaczęli się wspinać. Tam, gdzie grunt stawał się grząski, pasterze poukładali kamienie, tworząc nierówną ścieżkę. Wiatr nieubłaganie targał jej peleryną, świszczął w uszach, porywał łzy z policzków. Jak to biedne maleństwo poradzi sobie w tej wichurze? - zastanowiła się z niepokojem.

Spojrzała na szczyt, wiatr niespodziewanie ucichł na chwilę, mgła zgęstniała, ograniczając widoczność do kilku cali.

- Jest gdzieś tutaj. - Gavin, ledwie widoczny, wpatrywał się w ziemię, jakby czegoś szukał.

- Co?

- Granica.

Dreszcz, który ją przeszedł, nie zrodził się z przenikliwej wilgoci. Ptak przecież nie wiedział, co przekracza. A może? Czy niebo po tamtej stronie wydało mu się bardziej błękitne, jakby obietnica czegoś, czego Clare jej nie zaoferowała?

Nie mogę sam jeden żyć na granicy, powiedział jej kiedyś, a teraz stał okrakiem na tej abstrakcyjnej i nieuchwytej linii.

Kiedy się połączyli, myślała, że to poczucie rozdarcia, które ich oboje nękało, zbliżni się. Znikną wątpliwości, stare urazy, a zaczną stanowić jedną całość, jak gęsto utkana tkanina, tak że Gavin stanie się prawdziwym Szkotem. Ale tak jak ich splecione palce nie stanowiły jedności, tak i oni nie mogli się całkowicie połączyć. Byli jak wątek i osnowa, dwie nitki innej barwy, choć się spletały i tworzyły jeden wzór.

Teraz ten wzór nie wydawał się jej już taki piękny jak przedtem i zaczęła się obawiać, że on wciąż walczy ze złą stroną swojej natury, którą niebawem przed nią odsłoni.

Mgła gęstniała, nie było po co kontynuować poszukiwań. Ptak zniknął na dobre. Miała nadzieję, że sokolica przynajmniej znalazła to, czego szukała. Wyciągnęła rękę do Gavina, ale okazało się, że podczas gdy ona wpatrywała się w niebo, on wciąż szukał czegoś na ziemi. Przykucnąwszy, wpatrywał się w przemrożoną trawę.

- Co tam jest?

- Ślady.

Teraz i ona je zobaczyła. Ślady końskich kopyt prowadziły od angielskiej granicy. Ich oczy się spotkały w wymownym spojrzeniu.

- Zwiad.

Skinęła głową.

- Będą chcieli odzyskać bydło. I pewnie wziąć coś więcej.

Odwrócili się oboje, żeby zejść na dół. Rozejm zawarty przez Douglasa właśnie się skończył.

Miłość nie wypełniała już ich nocy.

Gavin spał płytko, dwukrotnie w ciągu nocy wstawał sprawdzić strażę i wysłuchać sprawozdań. Clare, nierozgrzewana jego ciepłym ciałem, zaczęła znów wkładać do spania koszulę.

Mury były solidne i dopóki zwierzęta pozostawały w środku, nie musieli się obawiać, że Anglicy zaryzykują bezpośredni atak. Gavin zarządził jednak, że trzoda i część bydła będzie trzymana poza murami.

Którejś nocy obudziła się, gdy znów wstawał z łóżka, a wraz z nim uciekało przyjemne ciepło.

- Dokąd idziesz?

- Na wieżę.

- Są strażę.

Złapał pelerynę i nie patrząc na nią, powiedział:

- Ufam tylko swoim oczom i uszom.

- Gdybyś trzymał zwierzęta w murach, mógłbyś przesypiać nocę.

- Wtedy nie sypiałbym przez cały następny sezon, czekając, aż spróbują znowu.

Metal obtarł się o skórę, znak, że zapiął pas i przytroczył sztylet.

- Wezmą tylko to, co mogą skraść w ciemności.

- I chcę, żeby właśnie tak myśleli.

- Jesteś pewien, że twój plan się powiedzie? Może lepiej nie ryzykować naszych zwierząt...

Znieruchomiał. W ciemności nie widziała jego twarzy, ale była pewna, że ma gniewny wyraz.

- Za kogo mnie masz? Próbuję chronić tę wieżę i wszystko, co z nią związane.

- Czy to warte utraty zwierząt?

- Jeśli plan się powiedzie, nie stracimy ich.

- A jeśli nie?

- Muszę zaryzykować.

- Wcale nie musisz! Wprowadź je do środka i wracaj do łóżka.

- Zyskamy wtedy tylko pewność, że wrócą, aby nas nękać. Chcesz obietnic? Gwarranty?

- Chcę przestrzegać reguł.

- O które nasz wróg nie dba. Obyśmy tylko nie dali mu szansy nam tego pokazać.

Właśnie dlatego tak nienawidziła tego miejsca. Nie wydawano tu bitew na otwartym polu. Żadnych rycerskich wyzwaniań, formułowanych jawnie i z honorem przyjmowanych. Żadnych godnych zwycięstw i bohaterskich przegranych. Tylko podkradanie się w ciemności, złodziejstwo i ciche zabijanie.

- Właśnie dlatego jest naszym wrogiem.

Z westchnieniem usiadł na łóżku, ujął jej twarz w dłonie i przytknął czoło do jej czoła.

- Och, Clare. Chciałabyś, abym wyruszał na wojnę w blasku słońca, powiewając proporcem, w lśniącej zbroi bez skazy.

Skinęła głową i poczuła się głupio, bo wciąż myślała, że reguły mogą ochronić tego, kto ich przestrzega. Pocałował ją czule.

- Musisz mi ufać. Robię to, co uważam dla nas za najlepsze.

Drzwi się za nim zamknęły, została sama i walnęła dłonią w poduszkę, żeby rozładować frustrację.

Nie ma lepszej drogi, jak postępować zgodnie z długoletnią tradycją. Jeśli nie zachowuje się praktykowanych przez lata zwyczajów, wszystko może się wydarzyć. Pozwoliła Drobnej zatrzymać jajka, bo w swojej pysze myślała, że wie lepiej i potrafi wyszkolić jej dzieci do polowań, tak jakby zostały dziko urodzone. W rezultacie jeden ptak okazał się bezużyteczny, a drugi uciekł.

Gavin też łamał reguły, a ona stopniowo traciła czujność i zapomniała o tym. Teraz zewnętrzne niebezpieczeństwo obudziło ją i przywróciło do smutnej rzeczywistości. Naciągnęła koc na drżące ramiona, sama w ciemnościach nasłuchiwała odgłosów, które mogły zapowiadać walkę.

Sowa zahuczała. A może to umówione ostrzeżenie ich straży albo sygnał Robsona, wzywający do ataku?

Czy mogła bardziej wnikliwie ocenić lojalność Gavina?

Świadomość tego, co ich dzieliło mimo wspólnego łóża, znów wywołała w niej dreszcz. Przyjdzie czas zapłaty, a cena będzie znacznie wyższa niż utracony sokół.

Gavin wspiał się po schodach na wieżę i zwolnił Thoma. Zamiast wdzięczności, odebrał pogardliwe mruknięcie zmęczonego, gburowatego mężczyzny. Postanowił sam trzymać straż aż do świtu. Za dużo nałożył na swoich ludzi. Sam też nie spał dobrze od wielu tygodni. I nie będzie, dopóki nie przepędzi Robsona, pomyślał.



Całymi godzinami planował, dyskutował z baronem, wprowadzał zmiany i układał plany na nowo. Chciał, aby Wieżyca Carrów była przygotowana na atak Robsona w każdej chwili. Ojciec Clare doradzał mu atak na wroga, nie czekanie.

- Wtedy złamiemy rozejm zawarty przez Douglasa. - Co na pewno nie zyskałoby mu jego przychylności.

- Eh! - odpowiedział baron. - A od kiedy to Anglicy przejmują się rozejmami?

Gavin zdołał go w końcu przekonać, że jeśli złamią rozejm, Robson oskarży ich przed lordem marchii. Grzywna będzie wysoka, a Douglasa okryją niesławą, jeśli pogwałcą pokój podczas jego nieobecności.

Nie odrzucał możliwości walki, ale nade wszystko pragnął pokoju, na granicy i we własnym łóżku, gdzie zagościło napięcie i zapanowało coś w rodzaju wymuszonego rozejmu. Coś się zmieniło. Groźba agresji, utrata sokoła, jego wyznanie - coś sprawiło, że niemająca oporów Clare nagle odsunęła się od niego.

Zastanawiał się, czy przypadkiem to głównie nie on czerpał przyjemność z ich zbliżeń. Chciał, aby kochanie się cieszyło ją równie mocno, i myślał, że tak jest. Ale czy nie wymuszał tego na niej? Czy nie posunął się za daleko, nie wyczuwając, czego naprawdę pragnie?

Musiał wiedzieć, czy to jest dla nich obojga przyjemność, że Clare zbliży się do niego bez sztuczek i gierki. Kiedy rozgrywka z Robsonem się skończy, przekona się co do tego.

- Ogień!

Clare zerwała się z łóżka z niepokojem i nie zakładając nawet butów, popędziła schodami w dół.

Odgłos stóp biegnących ludzi, tętent końskich kopyt, krzyki. Wszystko to zlewało się w jeden hałas.

Gdzie jest Gavin?

Kiedy zbiegała na dół, kobiety i dzieci z przylegających do wieży chat wlewały się do środka, szukając schronienia, i musiała przepychać się, idąc pod prąd. Tamowana przez tłum, postawiła stopę na samej krawędzi stopnia schodów, zachwiała się i omal nie upadła.

- Poczekaj! - Złapała za rękaw żonę sokolnika. - Co się stało?

- Ludzie Robsona są w środku. - Odwróciła głowę.

Clare dotarła z trudem do podnóża wieży i przystanąła przy wejściu, usiłując rozpoznać się w tym, co się dzieje. Z chaty położonej w pobliżu sokolarni wydobywały się płomienie. Ich ludzie i napastnicy na koniach stali naprzeciw siebie, stłoczeni na tak ciasnej przestrzeni, że konie tratowały zmęczone owce. Okrzyki bitewne mieszały się z wrzaskami rannych i z rozdzierającym beczeniem zwierząt.

- Następna będzie sokolarnia - rzucił Neil, przebiegając obok niej z wiadrem wody.

Spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła pierwszy płomień zajmujący dach.

- Tutaj, hej ty! - krzyknęła do chłopca, który obok niej przebiegał. - Weź wiadro i chodź tutaj!

Trząśł się cały i nie miał zamiaru posłuchać.

- Angus! - Złapała go za ramię, inaczej by się nie zatrzymał. Z rozszerzonymi oczami, trzymając sztylet w ręku, biegł do walczących. - Angus, sprowadź ludzi do gaszenia pożaru!

- Ale...

- Już!

Rzucił spojrzenie na walczących, ale zrobił, co mu kazała. Murine i Euphemia zjawiły się z wiadrami. Konie i walczący mężczyźni stali jej na drodze. Szukała wzrokiem Gavina i wreszcie zobaczyła go przy bramie, przez którą wciąż wjeżdżali galopem ludzie Robsona.

Brama była szeroko otwarta.

Przeniosła spojrzenie z powrotem na sokolarnię. Dym z płonącej chaty wznosił się w jej kierunku. Drobna!

Angus zebrał kilku podrostków. Ustawieni w linię, ginącą we wnętrzu wieży, gdzie znajdowała się studnia, podawali sobie wiadra. Kilka kubłów wystarczyło, by zdusić płomienie, ale dym wciąż się wydobywał ze środka.

Poprzez bitewny tumult usłyszała krzyk Drobnej. Zerwała się do biegu, trzymając się ścian wieży, z trudem chroniła się przed końskimi kopytami. Kiedy otworzyła drzwi, oczy zapiekły ją od dymu i zaczęła kaszleć. Neil pojawił się koło niej.

- Wezmę gołębiarza - powiedział, nie zatrzymując się. - Trzeba je wypuścić.

Drobna podskakiwała na naprężonej linie. Clare pociągnęła za nią, przyciągając sokolicę do siebie, ale ta biła skrzydłami, nie zwracając uwagi na uspokajające słowa. Ledwie zdołała ją unieruchomić na tyle, aby zdjąć kapturek. Kiedy odzyskała zdolność widzenia, sokolica tym gwałtowniej zaczęła się wyrywać. Clare nie miała wystarczająco miejsca, żeby rozplątać węzeł na linie, który zaciskał się coraz bardziej wbrew jej wysiłkom.

Sokolnik uwolnił tymczasem jastrzębia gołębiarza, który natychmiast poszybował w kierunku otwartych drzwi, i podbiegł do niej.

- Trzymajcie ją - powiedział, walcząc z kaszlem - ja poluzuję.

Ujęła ją w obie dłonie, unikając skrzydeł w obawie, że je złamie. Trzymała sokolicę delikatnie, pod jej dłońmi jak szalone biło serce ptaka. Mimo że stworzony, żeby zabić, był jednak wątki i łatwy do skrzywdzenia.

- Gotowe. - Neil pobiegł do drzwi. - Ogień trawi dach, wypuście ją!

Nie tego chciała. Pragnęła ją trzymać, bezpieczną.

Sufit w rogu od strony chaty płonął, dym wypełniał wnętrze sokołarni. Jeśli ją wypuści, Drobna poleci prosto w dym. Wciąż z ptakiem przy piersi, Clare wybiegła przez drzwi.

## Rozdział dwudziesty

Gavin siedział na koniu, oceniając sytuację panującą w obrębie murów. Dym przesiąkał ubranie, przywołując wspomnienia, od których chciał uciec. Straty po ich stronie były większe, niż się spodziewał, ale Robson ucierpiał bardziej. Jego załoga zareagowała szybko, walka była krótka, ale krwawa. Po obu stronach stracono po jednym człowieku, ogień zniszczył jedną chatę i sokołarnię. Stracili dwadzieścia owiec, zyskali cztery konie.

Kiedy rezultat walki był już przesądzony, Robson wycofał się, zostawiając swoich trzech ludzi. Siedzieli teraz uwięzieni w podziemiach wieży w pozbawionym okien pomieszczeniu za piwnicą.

Prędko ich znów nie najadą.

- Mój plan nie przewidywał zdrady - powiedział Gavin z ciężkim westchnieniem do barona, który podjechał do niego na koniu.

- Zabiłem człowieka Robsona - padły ciężkie słowa. - Nie mogę odżalować, że nie uderzyliśmy na nich pierwsi. Szczęśliwie odnieśliśmy większą korzyść.

- Clare pewnie myśli inaczej. - I być może ma rację, dodał w myślach.

- To oczywiste, że wśród nas jest zdrajca. Gavin skinął głową.

- Znajdę go.

Cały plan zawiódł. Wszelkie wcześniejsze przygotowania poszły na marne, bo ktoś otworzył bramę. I we wszystkich swoich drobiazgowych przemyśleniach nie przewidział tego jednego zagrożenia, o którym, kto jak kto, ale on powinien pomyśleć. O ogniu.

Znalazł Clare w sokołarni, wpatrzoną w wypaloną dziurę w dachu. Pomieszczenie śmierdziało dymem.

- Jak się czujesz? - spytał zmartwiony.

Odwróciła się i Gavin wciągnął powietrze. Miała pobrudzone sadzą policzki, koszula nocna była szara od popiołu, rozżarzone iskry wypaliły dziurki w materiale. Brudne bose stopy i dłonie poznały zadrapania.

- Będziemy musieli ją zburzyć - powiedziała z rezygnacją. - Nie mogę znieść tego smrodu.

On też nie mógł.

- Co z ptakami? Gdzie Drobna?

- Ona... Ja... - Łzy i dym zaciskały jej gardło. - Odleciała. Wypuściłam ją. Wszystkie wyniosłam i wypuściłam... - Skrzyżowała ręce przy piersiach, jakby wciąż trzymała ptaka, i poszła do drzwi.

Poszedł za nią, ale nie wiedział, czy chce, aby ją objął. Moja wina, pomyślał, żalując, że nie może cofnąć czasu. Gdyby trzymał owce, ptaki, żonę i swoich ludzi zamkniętych za murami, byłiby bezpieczni.

Tylko jak miały ich uchronić przed zdradą?

- Zbudujemy nową sokolarnię. Lepszą niż ta. Opuściła puste ręce.

- Po co? Nie ma już ptaków.

- Ale będą. - Objął ją. - Obiecuję, że będą. - Poczł, że Clare zaczyna szlochać, i nie był pewny, czy płacze z żalu za ptakami, czy z powodu utraconych złudzeń.

- Czy to ryzyko, które podjąłeś - odezwała się w końcu stłumionym głosem, z głową przy jego piersi - było tego warte?

Wprowadź je do środka i nie będzie żadnego ryzyka, przypomniał sobie, jak mu radziła. Chciałby, żeby miała rację, bo w swoich planach nie brał pod uwagę, że ktoś może podpalić sokolarnię.

- Clare, ludzie Robsona nie wpadli w zasadzkę, bo zostaliśmy zdradzeni.

Podniosła głowę, rozpacz znikła z oczu i zastąpiło ją zaskoczenie.

- Jak to?

- Otoczyliśmy ich. A wtedy ktoś otworzył bramę i wpuścił ich do środka.

- Kto?

- Nie wiem. Ale go znajdę, a wtedy zdrajca zginie. Otarła oczy, błysnęło w nich coś, czego nie rozumiał.

- Są ranni do opatrzenia, trzeba przygotować jedzenie - wyrecytowała monotonię, kierując się znów do wyjścia.

Nie opuścił ramienia, wyszedł razem z nią z pogrążonej w mroku sokolarni na światło dnia. Słońce stało wysoko, wydało mu się niemal niewiarygodne, że to wciąż ten sam dzień, który dla nich zaczął się o świcie walką z ludźmi Robsona.

Ptasi krzyk rozległ się w powietrzu. Clare uniosła głowę, twarz rozjaśniła jej nadzieja.

Drobna przysiadła na murach, domagając się uwagi. Clare gwizdnęła i ptak wylądował na jej nadgarstku. Radości na jej twarzy nie zmąciło nawet bolesne wbicie szponów w jej podrapany, zaczerwieniony nadgarstek.

Clare umyła się i ubrała w wełnianą suknię, ale zapach spalenizny przywarł do niej na dłużej. Na dole czekała praca. Opatrywanie rannych, przygotowywanie jedzenia, kopanie grobów.

Ale najpierw musi pomówić z Euphemią.

Rzuciła okiem na Thoma, szukając na jego twarzy poczucia winy. Zobaczyła złość i niesmak. Tak jak zwykle i nic poza tym.

Gavin i ojciec nadzorowali ludzi. Walter pojechał do Jedburgha prosić księdza, aby dokonał pochówku. Kilku mężczyzn kopało groby na poświęconej ziemi przy kaplicy, w której nie widziano duchownego od czasu wybuchu dżumy. W jednym miał spocząć ich opłakiwany człowiek. W drugim człowiek Robsona, którego nikt nie będzie żałował. Kilku innych porządkowało teren po spalonej chacie i rozbierano sokolarnię.

Jutro zaczną odbudowę, dzisiaj bezdomne rodziny będą spały w sieni.

Znalazła Euphemie w kuchni. Pomagała kucharzowi gotować zupę. Nakazała jej gestem pójść za sobą na wieżę. Na górze stał tylko jeden strażnik. To, czego mieli wypatrywać, już nadeszło. Wiatr targał jej suknię, gdy patrzyła na wzgórza, zza których nadjechał wróg. Wrzosowiska poblakły. W nocy będzie mróz.

Radosne zwykle oczy Euphemii zgasły, powieki miała opuchnięte od łez.

Powinam była mu powiedzieć, pomyślała Clare. Powinam powiedzieć Gavinowi, co mówiła o Thomie.

- Euphemio, ktoś otworzył bramę i wpuścił wroga. - Bacznie obserwowała, czy wyraz jej twarzy nie zdradzi, że dziewczyna coś o tym wiedziała. Na jej twarzy odmalowało się jedynie zdziwienie.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Co Thom mówił? Czy w ogóle coś na ten temat powiedział?

- Nie, nic!

- Chcę, żebyś się dowiedziała.

Zrobi z niej szpiega, jeśli to konieczne, postanowiła.

- Ale to nie może być prawda. Nie znosi Fitzjohna, ale nie wydałby nas Anglikom. Nigdy.

Patrzyła na jej łzy, zastanawiając się, czy nie zaślepiła jej młodzięcza miłość.

I nagle poraziło ją samo pytanie. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, aby nawet najbardziej niezadowolony żołnierz wpuścił Anglików. Jedynym mężczyzną tutaj, co do którego można było mieć wątpliwości, był Gavin, skostatowała ze smutkiem.

- Wiem, że mówisz szczerze - powiedziała, usiłując opanować drżenie w głosie. - Czasem jednak nie znamy naprawdę tych, którzy są nam najbliżsi. Proszę cię, dowiedz się.

Ona też musi się dowiedzieć.

Znużona niewyobrażalnie, z trudem stawiała palce na kolejnych stopniach, wchodząc z Gavinem po schodach na poziom przeznaczony dla rodziny. Zapach spalenizny towarzyszył im aż do ich komnaty.

Clare upuściła suknię na podłogę, tuż obok zniszczonej koszuli, obiecując sobie, że nigdy więcej ich nie włoży.

- Czy już wiesz, kto to mógł zrobić? - spytała, mając nadzieję, że rzeczowy ton zamaskuje jej podejrzenia. - To znaczy, kto otworzył bramę?

Potrząsnął przecząco głową i usiadł ciężko na stołku przy palenisku, żeby ściągnąć buty.

- Wypytałem ludzi Robsona. Przysięgają, że nie wiedzą, kto to, i wydaje mi się, że mówią prawdę.

Wsypała ususzone liście lawendy do niewielkiego naczynia z wodą, bulgoczącą nad ogniem, aby choć trochę stłumić zapach spalenizny. Stojąc przy nim w samej koszulce, czuła się niepewnie jak w pierwszych dniach ich związku. Czy on potrafi wyczuć jej wątpliwości? Położył dłoń na jej ramieniu i na niego spojrzała.

- A ty jak myślisz, kto mógł to zrobić.

Przełknęła ślinę. Nie może oskarżyć Thoma, skoro nie ma dowodów. Poczwała, że jego dłoń zaciska się na jej ramieniu.

- Ty coś wiesz. Co?

- Sama nie wiem. Nie mam pewności. - Krew ojca to złe dziedzictwo, tak brzmiały jego słowa. Poczwała rodzący się w niej niepokój.

- Powiedz mi, co wiesz. Niezależnie od tego, czy jesteś tego pewna.

„Ale chciałem. Rozumiesz to?” Nie podpalił tego kościoła, ale czuł pokusę, żeby to zrobić, przypomniała sobie. A jeśli naruszył inne granice, nie tylko takie jak ich grzeszne poczynania w łóżku, którym nie potrafiła się oprzeć? Szarpnęła się, chcąc wyzwolić z jego uścisku, ale palce nie rozchyliły się.

- Powiedz mi!

- Ty! To mogłeś być ty!

- Ja? - Osłupiały, puścił jej ramię.

Próbowała coś wyczytać z jego oczu, już nie tak czysto błękitnych jak letnie niebo. Nie wiedziała, czy dostrzegła w nich strach czy gniew.

- Kto jeszcze chciałby, aby Anglicy zwyciężyli?

Wstał i odsunął się od niej, jakby nie mógł znieść jej bliskości.

- Ty? Moja żona? Jak możesz!?

Próbowała coś powiedzieć, ale nie znalazła słów. Kiedy znów się odezwał, ledwie go słyszała.

- Naprawdę w to wierzysz? Po tym... - Spojrzał na łóżko, potem znów na nią. - Po tym wszystkim... Jak mogłabyś w coś takiego uwierzyć?

Ból. W jego oczach wyczytała ból. Jej wzrok padł na łóżko. Leżeli na nim całkiem nago. Obnażeni, nie tylko w sensie fizycznym. Poczucie winy obezwładniło ją. Dawno już powinna mu była powiedzieć.

- Thom.

- Co?

- To mógł być Thom. Euphemia mówiła... ale nie mamy pewności. Nic więcej.

- Co mówiła?

- Że Thom nie przepada za tobą.

- To wiadomo już od Beltane.

- Powiedział, że jesteś bardziej Anglikiem niż Szkotem.



Zdanie przebrzmiało, ale wydawało się, że wciąż dźwięczy. Widziała, jak Gavin stara się zdusić ból i złość, tak by móc się spokojnie zastanowić.

- Skoro jest takim prawdziwym Szkotem, dlaczego miałby wpuszczać Robsona? A co gdyby zwyciężył? Miałby ryzykować? To nie ma sensu. Chyba że... - Spojrzał jej prosto w oczy. - Chyba że chciał, aby ludzie w to uwierzyli, tak jak ty. Że to ja jestem zdrajcą.

- Mógłby cię aż tak bardzo nienawidzić?

Skoro zaufanie jego własnej żony było tak słabe, że podejrzewała go o zdradę?

- Przekonam się - powiedział z ponurą twarzą.

Kiedy wyszedł, zaczęła się modlić, żeby wskazała właściwego człowieka.

Wszedł do sieni i szarpnięciem obudził Thoma, a potem zmusił go, aby wyszedł na zewnątrz. Wilgotna, przejmująca zimnem mgła rozmywała zarysy księżyca w nowiu.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Co dlaczego? - padła gwałtowna odpowiedź.

Nie był przygotowany na to, że pięść Gavina spadnie na niego, posyłając go na ziemię.

- Przez ciebie jeden z naszych nie żyje, jedna rodzina nie ma dachu nad głową, straciliśmy dwadzieścia owiec, sokolarnię i ułożonego jastrzębia. - Spokój, pomyślał, próbując opanować furję. Sokół kołuje, zanim wybierze najodpowiedniejszy moment na atak.

Thom zrozumiał, że został zdemaskowany, spojrzął na Gavina, oczy patrzyły wyzywająco, pełne nienawiści.

- A przez ciebie prawdziwi Szkoci muszą kłaniać się angielskiemu bastardowi, który zabił wielu naszych - odparł z pogardą.

- Kto ci pomagał? Kto myśli tak jak ty? - spytał Gavin. Thom roześmiał się.

- A jeśli powiem, że wszyscy? Co, jeśli ci powiem, że nikt tu nie uważa, abyś miał jakiegokolwiek prawo tutaj rządzić? Woleliby raczej widzieć tu Robsona niż ciebie.

Gavina opanował złość, krew szumiała mu w uszach. Gdyby zabił tego człowieka, leżącego u jego stóp, tylko wzmógłby podejrzenia. Jego wyznanie muszą usłyszeć także inni.

- Ale to ja tu rządę. I zamierzam dać ci możliwość bliższego kontaktu z ludźmi Robsona. - Pochylił się i postawił na równe nogi nagle pobladłego Thoma. - Spędzisz z nimi jakiś czas w lochu, przekonamy się, czy nie zmienisz zdania.

Kiedy zamykał za nim drzwi lochu, uczucie triumfu odpłynęło. Zrobił wszystko, co mógł, aby uczynić z tego miejsca swój dom i chronić go, tymczasem nie znalazł tu spokoju. Ilu z nich myśli tak jak Thom?

Nawet jego żona w niego wątpi.

TLR

## Rozdział dwudziesty pierwszy

W końcu wyglądało to tak, jakby Thom działał sam. Ani śledztwo barona, ani zadawane od niechcienia przez Euphemię pytania nie doprowadziły do odkrycia, czy ktoś razem z nim spiskował. W rezultacie, jeden po drugim, mężczyźni przychodzili do Gavina, odnawiając przysięgę na wierność.

Kilku zaoferowało gotowość rozprawienia się ze zdrajcą, ale przekonał ich, że poczekają z tym do powrotu Douglasa. Chciał sprawiedliwości, nie zemsty.

Nie musieli czekać długo. Listopadowe przymrozki pobieleły góry Cheviotu, gdy lord Douglas wjechał ze swoimi ludźmi do Wieżycy Carrów.

Gavin z uśmiechem patrzył, jak jego żona wychodzi powitać gości. Błagała go o wybaczenie, że w niego zwątpiła. Wybaczył jej oczywiście, ale teraz, gdy zobaczył Douglasa, odżyły stare wątpliwości.

- Lordzie Douglas - zaczęła Clare, modulując głos jak na damę przystało - to dla nas wielki honor gościć...

Douglas splunął na ziemię. Clare skrzyżowała ręce na piersiach i cofnęła się. Gavin wysunął się przed nią, aby ją chronić.

- Lordzie Douglas...

- Już po nas. Setki zabitych. Francuzi, Szkoci. Edward pojmał Jana, więzi teraz dwóch królów, szkockiego i francuskiego.

Nawet Gavin, który znał silne i słabe strony obu przeciwników, był zdumiony.

Ich ostatnie starcie nic w tej chwili nie znaczyło. Wprowadzili ludzi Douglasa do sieni, zaoferowali jedzenie i picie i słuchali opowieści o bitwie pod Poitiers. Anglicy liczebnie słabsi, mimo to zwycięscy. Deszcz strzał na atakującą francuską kawalerię. Wierzchowce i ludzie konający w błocie. Tysiące zabitych i wziętych w niewolę.

- *A comte!* - spytał Gavin, a Clare zdumiona rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Pojmany - odpowiedział Douglas. - Dla okupu wyższego niż tysiąc funtów. Tak jak i wielu naszych najlepszych ludzi.

Gavin powstrzymał się od zadania pytania, jakim cudem lord Douglas uniknął podobnego losu.

W sieni zapanował ponury nastrój, gdy słowa Douglasa przebrzmiały. Gavin i baron wymienili spojrzenia. Anglia nie wygrała tylko tej bitwy, ale zakończyła wojnę.

- Edward znów zwróci swoje oczy na Szkocję - odezwał się Gavin - skoro nie musi dłużej walczyć na francuskiej ziemi. I tym razem jednak będziemy osamotnieni.

- Francuzi niewiele nam pomogli - oświadczył baron z udawaną buńczucznością. - Do niczego ich nie potrzebujemy.

Gavin wzruszył ramionami, skłonny się z nim zgodzić. Edward pojmał Jana, więzi teraz dwóch królów, szkockiego i francuskiego, przypomniał sobie słowa Douglasa. Ale miał się przecież spotkać z wysłannikami Edwarda, zanim wyruszył do Francji. Dlaczego zatem Dawid wciąż przebywał na wygnaniu?

- Być może - zaczął - Edward byłby teraz skłonny negocjować uwolnienie Dawida. Wojna pochłonęła znaczne środki, okup może być pożądanym.

Douglas skinął głową i zapatrzył się w ogień. Edward nie jest tu przeszkodą, pomyślał Gavin. Steward i Douglas przez ostatnie dziesięć lat podzielili kraj na strefy swoich wpływów i rządzili, jak chcieli. Nic dziwnego, że nie spieszyło im się, aby sprowadzić prawowitego władcę z powrotem. Douglas dopił ale i otarł usta.

- Tak - powiedział. - Czas, żeby wrócił do domu.

Gavin uśmiechnął się, czując ulgę. Dawid też wróci do domu.

- Poczyłem już przygotowania, żeby go bezpiecznie sprowadzić. Posyłam kilku ludzi do Anglii. - Douglas oderwał wzrok od paleniska i uśmiechnął się do Gavina. - Dołącz do nich.

- Jestem zaszczycony, lordzie Douglas, mogąc reprezentować Szkocję. - Był pewien, że tamten wychwycił nutę wahania w głosie. Pokój między Anglią i Szkocją, Dawid z powrotem na tronie, niczego nie pragnął goręcej. Ale on w Anglii? Cóż, może czas zawrzeć rozejm z wujem. I uzyskać odpowiedź na pytania, które powinny zostać zadane już dawno temu.

- Zwołam radę. Ustalimy zasady i wybierzemy resztę ludzi. - Douglas znów spojrział na Gavina. - Ale nie pierwszy raz nasze interesy będą kolidować z angielskimi.

Oczywiste było, że pozycja Douglasa nie wynika tylko z jego sprawności w sztuce wojennej. Jeśli Gavin wróci z warunkami pokoju trudnymi do zaakceptowania, Douglas

nie zawaha się go o to obwinić i odrzucić ich. Niezależnie od tego, co stanie się z królem Dawidem, Douglas pozostanie kimś, z kim trzeba się liczyć.

- Obiecuję - powiedział, patrząc nieugięcie na Douglasa - że tym razem będzie to ostateczne rozwiązanie.

Wieści o wojnie przebrzmiały, plan działania ustalono, przyszła kolej na rozmowę o potyczce, którą stoczyli z Robsonem, o zdradzie i więźniach.

- Kiedy was zaatakowali?

- W październiku - odparł baron. - Na początku.

- Czyli wyczekali, aż rozejm się skończy. Sprytnie. - Douglas znów zapatrzył się w ogień. Jakiś czas milczał, a potem powiedział: - Zabijcie ich.

Tylko jedna noc, pomyślała Clare, wkładając gałązkę lawendy do sakwy Gavina, żeby jej zapach przypominał mu o domu. Jedna noc i odjedzie.

Tygodnie zwątpienia, walka między nimi, przyływy i odpływy, to wszystko, co określało ich dni... Myślała, że mają czas na zapomnienie i wybaczenie. Na pogodzenie i zrozumienie. Czas, który tak beztrosko dotąd marnowała.

Tego czasu już jednak nie mieli.

Przytuliła się do niego, starając się nie myśleć o miesiącach, które będzie spędzać samotnie, zanim on nie wróci. Pociągnęła go w kierunku łóżka, na ich ostatni rytuał miłości, żeby miała potem co wspominać przez dłużące się samotne noce.

On jednak się nie poruszył.

- Czas na twój dziewiczy lot.

- Co masz na myśli?

- Musisz zdjąć kapturek, pozbyć się dłuźca i spróbować swobodnego lotu.

Mimowolnie zakryła oczy dłońmi, przestraszona tą perspektywą. Dotąd wlatywała z nim tylko pod bezpieczną osłoną ciemności, nigdy nie odważyła się patrzeć na niego, gdy ujawniała tę drugą, mroczną stronę swojej natury. W ciemności mogła udawać, że przystaje na to, ponieważ on tego chce. Z szeroko otwartymi oczami nie będzie miała odwrotu, musi sama przed sobą przyznać się do swoich pragnień.

- Nie mogę.

Ujął jej nadgarstki i odciągnął jej dłonie od oczu.

- Nie możesz, czy nie masz odwagi?

W jego oczach dostrzegła przelotny wyraz niepewności, jak u chłopca pozbawionego domu i ojca. Może on też zastanawiał się nad tym samym co ona? Czy kocha się z nim z wyboru czy z obowiązku? Dziwnie było zdać sobie sprawę, że mężczyzna, który poznał tak dobrze jej ciało, wciąż nie zna jej serca.

- Boję się tego, że mój lot cię rozczaruje.

- Nie rozczaruje, uwierz mi... i w siebie.

Nie, nie! - chciała krzyknąć i tupać nogami. A jeśli naprawdę go zawiodę? Jeśli będę tak niezdarna, że zamiast przyjemności, znudzisz go i zawstydzisz?

Gavin patrzył na nią pytająco, tak intensywnie, że musiała na to odpowiedzieć. Musiała spróbować. Dla niego, żeby wiedział przed wyjazdem, ile on dla niej zaczął znaczyć!

- Dobrze... Chcę spróbować - odparła z niepewnością w głosie.

Tylko że tym razem Clare nie może się spodziewać, że wraz z ciemnością ogarnie ją poczucie wolności. Co za ironia, że aby poczuć się wolna, musiała najpierw dać się skrepować!

- Zdejmij odzienie, najdroższa - zachęcił ją i uśmiechnął się uwodzicielsko.

Od ich pierwszej nocy nie rozbierała się sama. Zawsze on to robił. Nieśmiała, nie patrząc na niego, sięgnęła do tasiemek. A jednak coś w niej drgnęło, bo nie spuszczał z niej wzroku, a ona wiedziała, czym się to skończy. Nauczył jej ciało tęsknić za zbliżeniem. Przynajmniej to się nie zmieniło, mimo że miała oczy szeroko otwarte.

Świadomość tego dodała jej pewności siebie. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Nieoczekiwanie poczuła władzę, gdyż teraz to od niej zależało, kiedy się rozbierze. Ściągając suknię, śledziła, jak zmieniają się jego oczy. Bez jedwabnej szarfy po raz pierwszy widziała, jak jego ciało reaguje na bodźce.

I wtedy poczuła nadzieję wraz z narastającym w niej pożądaniem.

W końcu stanęła przed nim naga. Żar w jego oczach rozgrzewał ją, ale dalej nie wiedziała, czy ma tylko patrzeć, czy go dotykać, jedno i drugie mogła robić bez przeszkód.

- Co teraz?

- Zrób to, na co masz ochotę.

Czy kiedykolwiek mogła robić to, co jej się podoba? A więc dobrze, pomyślała. Czego chce sokolica? Latać. Polować. Jeść. Znaleźć partnera.

- To chcę, żebyś i ty był nagi.

- Więc rozbierz mnie - powiedział, rozkładając ręce, jakby w geście poddania.

Uklękła przed ławką, na której siedział, i ściągnęła mu buty. Następnie zaczęła dotykać jego włosów, złocistych jak u orła, wyczuwając pod palcami ich miękkość i lekkie pofalowanie. Wsunęła dłonie w luźne rękawy jego tuniki, wyczuwając mięśnie pod skórą. Ma ramiona równie silne jak skrzydła, zdolne dawać miłość, ale i zadawać śmierć, pomyślała.

- Wstań - zakomenderowała.

Gavin bez wahania posłuchał.

Ściągnęła mu rajtuzy, zostawiając tunikę, ale nie była na tyle długa, by ukryć przed jej oczami, jak był podniecony.

Zamknął oczy i wypowiedział jęśliwym szeptem, wyciągając ręce:

- Teraz.

Wstała i odsunęła się na odległość jego wyciągniętych ramion. Otworzył oczy, a ona uśmiechnęła się do niego, rozkoszując się świeżą świadomością swojej władzy.

- Nie. Teraz ja rządę.

- Wyzwolilem bestię - powiedział, przewracając oczami, a kiedy ich oczy się znów spotkały, wyczytała w nich oprócz pożądania ufność i miłość.

Czy zawsze tak było, a ona to straciła, wybierając ciemność? Czy naprawdę mógł kochać kogoś tak niedoskonałego jak ona? A czy ona po dzisiejszej nocy nie zmieni do niego swoich uczuć? - dźwięczały jej w głowie pytania.

- Skoro ja już jestem wolna, czas, żebyś ty posmakował ciemności i skórzanych więzów - pokazała na łóżko.

Jacy nieskomplikowani są mężczyźni, pomyślała, widząc, że nie potrafił ukryć swojej reakcji. Ona potrafiła skrywać przed nim podniecenie, jakie czuła podczas zbliżenia, potrafiła je skrywać nawet sama przed sobą, dopóki jego ręce, palce, język nie sprawiły, że, stawało się to niemożliwe. On tego widocznie nie umiał.

- Boje się, że nie jestem odpowiednio wyszkolony, aby czekać na ciebie, żono.

- No to muszę cię wyszkolić. Tercelowi nie pozwala się polować, kiedy mu się podoba. Musi czekać na sokolnika!

Pozostało mu tylko ułożyć się na łóżku, a ona zawiązała skórzane paski wokół jego nadgarstków i kostek u nóg. Bardzo luźno, bo nie chciała zbyt długo czekać, aż on jej się całkiem podda.

Potem przewiązała mu oczy jedwabną szarfą. Był niespokojny, wydany na łaskę jej dłoni.

- Powierzam ci teraz moje życie, żono.

- Masz dość odwagi, aby podjąć to ryzyko, mężu?

Gardłowe westchnienie, jak jęk, wydobyło się z jego gardła.

- Za dobrze cię wyszkoliłem.

Nie zdjęła mu tuniki, pamiętając, jak miło czuć ocierający się o skórę materiał, jak kontrast pomiędzy nagością i okrytym ciałem wzmagał jej przyjemność.

Jego męskość drżała i pulsowała, jakby błagając ją o litość. Ujęła ją w obie dłonie i przeciągnęła rękami do góry.

- Naprawdę, Clare - wycedził przez zaciśnięte zęby - miej trochę litości!

Roześmiała się i pomyślała od razu, że to takie dziwne śmiać się podczas kochania. Zaakceptowała już jednak, że sypialnia była ich światem, w który to oni ustalali reguły.

- Nie przypominam sobie, żebyś okazał mi choć odrobinę litości, kiedy cię o to błagałam, a więc i ja teraz będę bezlitosna - odparła z kokietyjnym uśmiechem.

Wiedziała jednak już teraz, jak to jest, gdy się płonie. Gdy pożądanie wzbiera tak, że pragnie się już tylko uwolnienia. Zdecydowała, że nie da mu wytchnienia, i rozchyliła usta.

Gavin, zszokowany, walczył, by zachować nad sobą kontrolę, bojąc się, że przegra.

- Clare... nie możesz... jesteś pewna? - nie dokończył, bo słowa uwięzły mu w gardle.

W odpowiedzi usłyszał tylko nieartykułowany pomruk. A potem czuł już tylko jej gorący, poruszający się język, jej wargi zaciskające się i zwalniające ucisk.

I nie było już nic, tylko swobodny, nieskrępowany lot.



Tym razem to ona kołysała go w ramionach, gdy powracał na ziemię. I czuła, że teraz wreszcie w pełni stworzyli prawdziwy związek... Byli wspólnotą.

- Mój sokół stał się sokolnikiem - wyszeptał jej prosto do ucha, gdy uspokoił oddech. - Naprawdę mnie wytrenowałaś. Więcej, oswoiłaś mnie.

Objęła go mocniej, gdy zapadał w sen.

Leżała, czuwając. Nie chciała uronić niczego z ich ostatniej wspólnej nocy. Bez jedwabnej szarfy na oczach do głosu dochodziły jej wszystkie obawy. Łączyło ich coś głębszego niż tylko małżeńska przysięga, a przecież dalej nie знаła tego mężczyzny. Jutro od niej odleci. Dopadły ją wątpliwości, czy powróci, czy jak sokół zniknie za granicą zwycięzców.

I co byś poczęła, Clare, jeśli straciłabyś go właśnie teraz?

TLR

## Rozdział dwudziesty drugi

Na południu zawitała wiosna, jeszcze zanim Gavin stanął przed królem. Całe miesiące spędził, uczestnicząc w spotkaniach rady, którą powołali Stewart i Douglas. Przesłuchiwał się ich sporom na temat wyboru posłów mających reprezentować Szkocję w Anglii i na temat warunków, na jakie wolno im było przystać.

Podróż na południe była długa i trudna. Z każdą milą jakby odtwarzał w odwrotnym kierunku drogę, która ostatecznie doprowadzała go z powrotem do Szkocji. Wspominał, jak Edward wyjechał z Francji natychmiast po otrzymaniu wiadomości, że Szkoci zajęli Berwick. Jak galopowali na północ, wystawiając się na mroźny zimowy wiatr, żeby odbić miasto. Jak przekroczywszy granicę u boku Edwarda, zrozumiał, że nie potrafi walczyć przeciwko własnym ludziom.

W Londynie brał udział w niekończących się spotkaniach i negocjacjach z przedstawicielami Edwarda. Ale nigdy z samym Edwardem. Aż do dzisiaj, gdy król wreszcie przystał na jego prośbę o spotkanie.

Stał przed królewskimi komnatami, niepewny, jakiego zazna przyjęcia. Kiedy widzieli się ostatni raz, cisnął na ziemię płonąca pochodnię i odjechał, aby przystać do przeciwników Edwarda. Żadne słowa nie zmienią tego, że zaparł się własnej krwi. Ale też Gavin nie przyszedł, aby się usprawiedliwiać.

Edward odprawił służbę i zostali sami. Gavin wykonał ukłon i stał spokojnie, podczas gdy Edward mu się przyglądał. Nikt nie miał prawa odezwać się pierwszy przed królem.

- Więc wybrałeś, po której chcesz być stronie - padło w końcu.

Gavin przełknął ślinę. Edward był jego wujem i jego królem. Przez pewien czas był mu też jak ojciec.

- Wasza Królewska Mość, żywię nadzieję, że wraz z pokojem wybieram jedynie stronę granicy, po której mieszkam, a nie pole bitwy.

Edward, opromieniony świeżą sławą zwycięzcy, uśmiechnął się triumfalnie. Pojmał króla Francji i Szkocji, nie musiał obawiać się kolejnych bitew.

- Więc wreszcie udało ci się przekonać tych upartych Szkotów do przyjęcia moich warunków.

- Jesteśmy już bardzo blisko, wasza wysokość.

- Szkocja koniec końców i tak będzie moja.

- Albo Lionela.

Bezdzienny król Dawid był skłonny przystać na to, aby po nim dziedziczył syn Edwarda, Lionel. Stewart i Douglas byli temu przeciwni.

- To to samo. Mój syn, moja krew. Tak jakby ja.

- Nie zawsze. - Nikt lepiej od niego tego nie wiedział.

Król przyglądał mu się w milczeniu i Gavin nie wiedział, czy nie doszukuje się w nim swojego brata.

- Chciałeś się ze mną widzieć - powiedział w końcu. - Po co?

- Mam kilka pytań, wasza wysokość.

- Ty masz pytania?! - Król był bliski wybuchu. - Nie ty siedziałeś na koniu, patrząc na nurzającą się w błocie tarczę herbową nieżyjącego brata!

- Nie mogłem podpalić tego kościoła - odpowiedział Gavin po krótkiej chwili milczenia.

Wreszcie to wiedział. Nie tylko posłuchał rozkazu, ale po prostu nie mógłby tego zrobić. Nie był doskonały, ale też nie tak niegodziwy, jak się tego obawiał. To dzięki Clare to sobie uświadomił.

Edward miał tyle przyzwoitości, że odwrócił wzrok i powiedział:

- Wojna wystawia na próbę nawet najlepszych. Niektórzy nie wytrzymują.

Tak jak jego ojciec? Nerwy napięte do granic możliwości podczas bitwy, mężczyźni dokonujący czynów, które na co dzień potępiali...

- Ale i tak mówią, że go podpaliłem. I że był pełen ludzi.

Czy Edward słyszał te opowieści? A może sam je rozpowszechnił?

- Ludzie gadają to, co sami wymyślą. - Król machnął ręką. - To nieprawda.

- To wiem. Ale co się wydarzyło, gdy odszedłem?

- Pytasz się, czy go spaliłem?! - wybuchnął Edward. - Tak! Kościół, klasztor, całe to rebelianckie miasto! Edynburg i Whitekirk też!

- A ludzie? - Gavin zdał sobie sprawę z tego, że też krzyczy. - Ludzi też spaliłeś żywcem?

Król zerwał się z krzesła.

- Nie! - odbiło się echem od ścian, a Edward opadł ciężko z powrotem na krzesło, oparł o nie głowę i zamknął oczy. - Ludzi nie.

- A mój ojciec?

Król wyprostował głowę i zapatrzył się przed siebie.

- Opowiadają to samo o moim ojcu - powiedział Gavin spokojniejszym głosem. - Czy to prawda?

Jego pytanie cofnęło Edwarda w przeszłość. Milczał i sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o Gavinie.

- Nie był złym człowiekiem - odezwał się w końcu. - Po prostu bardzo młodym i jeszcze głupim.

- Czy tym go można tłumaczyć? W jego żyłach płynęła królewska krew. Dowodził armią, sprawował władzę w kraju, gdy wasza miłość walczył we Francji. Nie potrafił rozróżnić, co jest dobre, a co złe?

- Potrafił.

- A jednak to zrobił.

- Nie wiem!

Krzyk Edwarda znów odbił się echem od ścian, ale Gavin nie chciał zamilknąć.

- A to, co mówią o was? Prawda to czy bajki, jak w moim przypadku?

- Czy co jest prawdą?

- Że mój ojciec zginął z waszej ręki.

Jego pytanie przebrzmiało i znów zapadła cisza. Czekał tak długo, żeby poznać prawdę. Od momentu, gdy znalazł się jako dziecko na dworze, marzył, że kiedyś wyzwie króla, aby pomścić śmierć ojca. Teraz odpowiedź Edwarda już prawie nie miała znaczenia. Prawie.

- Tak ci powiedziano? Był wtedy taki młody... Obaj byliśmy.

A więc nie zaprzeczył.

- Czy to wasza wysokość, może być usprawiedliwienie? Niebieskie oczy króla Edwarda i Gavina spotkały się.

- Jak możesz o to pytać? Był moim bratem. To niczego nie wyjaśniało, ale wyglądało na to, że

Edward nie przyłożył ręki do śmierci własnego ojca.

- Musiałem zapytać. I nadal nie otrzymałem odpowiedzi - drążył nieugięcie. Nie mam nic do stracenia, pomyślał. Już nic się nie liczyło. Musiał wiedzieć, czy ojciec był wcieleniem zła. Takim potworem, że własny brat musiał go zabić?

- Nie - powiedział Edward, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Gavin poczuł, jak jego ciało rozluźnia się, ale wciąż nie do końca w to wierzył.

- Podobno nękały was koszmary.

- A czy nie nękałyby ciebie, gdyby odebrano ci kogoś, kogo kochałeś?

- Odebrano mi. To był mój ojciec.

Edward odwrócił się od niego i zaczął chodzić po komnacie.

- Kochał twoją matkę, tę szkocką ładacnicę. Nie mówiła ci? Może sama tego nie wiedziała. Wybraliśmy mu pół tuzina kandydatek na żonę, nigdy nie powiedział wprost nie, ale też żadnej nie zaakceptował. Z żadną się nawet nie zaręczył!

Więc matka miała rację? Rozśmieszyła go ta myśl. Nawet Clare, wychowana na bajdurzeniu o dworskiej miłości, uznałaby to za czysty wymysł.

- Kiedy go widziałem po raz ostatni, oświadczył mi, że zamierza poślubić twoją matkę. Wyobrażasz sobie, co by się wówczas działo?

Spróbował sobie wyobrazić. Gdyby brat króla poślubił kobietę z nic nieznaczącej szkockiej rodziny. Może nawet zostałby królem Szkocji, a pokój, którego Gavin tak pragnął, mógłby zapanować już lata temu. Edward miałby w nim silnego rywala i dobry powód, aby się go pozbyć.

- Więc jak umarł?

- Zaraza? Zepsute jedzenie? Kto wie, dlaczego Bóg przedwcześnie przywołuje niektórych do siebie? A kiedy się pojawiłeś, wyglądając, jakby ktoś skórę zdarł z Jana, całym swoim wyglądem zaświadczać o swoim urodzeniu, myślałem, że to on do mnie powrócił. I że tym razem skończy się to całkiem inaczej.

- I tak się stało. - Spojrzał Edwardowi w oczy, nagle spokojny wbrew całemu swojemu dotychczasowemu życiu, naznaczonemu niepewnością.

- Tak. Ale wybrałeś stronę Szkocji.

- Więc może także w tym przypominam mojego ojca. Król uśmiechnął się melancholijnie.

- Nawet bardzo.

Dziwne, osiągnął to, co nie udało się jego ojcu: ożenił się. Ojciec oszczędził za wcześnie, aby doświadczyć goryczy płynącej z życiowego doświadczenia. Ale i radości.

- Będzie pokój - nie zapytał, raczej stwierdził, spoglądając na swojego wuja, o takich samych złocistych włosach i niebieskich oczach, ale dwukrotnie od siebie starszego. Jakby widział siebie w przyszłości, a przynajmniej miał na to nadzieję.

Edward westchnął, trzydzieści lat sprawowania władzy kładło się ciężarem na jego sercu.

- Któregoś dnia będzie pokój.

Po wyjściu od króla skierował się prosto do Opactwa Westminsterskiego. Wolno podszedł do grobu ojca. Edward dopilnował, aby królewskiego brata pochowano z należnymi honorami. Pod baldachimem spoczywał wyrzeźbiony z alabastru Jan z Eltham, w pełnym rynsztunku, z dłońmi złożonymi do modlitwy. Z tyłu znajdowały się figury płaczących ludzi. Czyżby królowej, braci i sióstr?

Jego matka na pewno płakała, ale nie znalazł oczywiście jej podobizny.

Podszedł bliżej, aby spojrzeć na twarz ojca. Wydatny prosty nos, wąsy, pełna dolna warga. Ile miał w sobie z ojca? - zastanowił się.

Ukląkł na kamiennej podłodze i zaczął się modlić.

Kiedy wyszedł z kościoła, wybaczył ojcu i pogodził się sam ze sobą.

Zauważył, że strażnicy nie są tak czujni, jak zwykle, gdy wchodził do pomieszczeń zajmowanych przez króla Dawida. Dziś były urodziny monarchy i Edward łaskawie zezwolił na przyjmowanie gości.

- Czyim jesteś teraz człowiekiem, Fitzjohn? - spytał opryskliwie Dawid. - Opuściłeś mnie, żeby walczyć dla Edwarda.

Wyglądał na zmęczonego i wyraźnie postarzał się od czasu, gdy Gavin widział go po raz ostatni. Miał trzydzieści trzy lata, a dziesięć ostatnich spędził w niewoli - dojrzały władca, na którego panowanie przypadło więcej lat na obczyźnie niż we własnym kraju. Ale Gavin dobrze wiedział, że to nie ma znaczenia i tęsknota za domem nie zmniejsza się.

- I opuściłem Edwarda, żeby wrócić do domu.

- Do domu? Czyli do Szkocji?

Skinął głową, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Czy naprawdę to tylko rok, odkąd wjechał konno na ziemie Carrów? A już myślał tylko o tym, żeby wrócić.

- Douglas oddał mi Wieżycę Carrów i córkę jej pana za żonę.

- Douglas? Czyli teraz jesteś jego człowiekiem? - spytał Dawid sceptycznie, doskonale wiedząc, że wierność Douglasowi nie zawsze oznacza wierność jemu.

- Nie. - Gavin potrząsnął głową. - Zawsze byłem wobec was lojalny. Kończymy się układać. Wkrótce wrócicie do domu.

Zaznajomił króla z warunkami i monstualnym okupem. Swobodny przepływ pieniędzy i wiedzy. Lista zakładników. Traktat nie w pełni po ich myśli, ale najlepszy, jaki mogli wynegocjować.

- Co stało na przeszkodzie, aby ułożyć się już trzy lata temu? - spytał Dawid ze smutnym uśmiechem. - Wysokość okupu jest dokładnie taka sama. - Po tylu latach z dala od kraju naleciałości szkockie w jego wymowie były ledwie zauważalne.

- Nie umiem odpowiedzieć - odparł Gavin, choć miał pewne podejrzenia.

- Nie musisz. Wielu uważało, że Edward i ja odnosimy się do siebie zbyt przyjaźnie. A Douglasowi i Stewartowi była na rękę moja nieobecność. - Westchnął i wyprostował ramiona. - Kto jest na liście zakładników Edwarda na wypadek, gdyby nie wplacono całego okupu?

Gavin wymienił nazwiska, a król skomentował z chytrym uśmieszkiem:

- Dodajmy Douglasa i Stewarta do tej listy.

Gavin uśmiechnął się. Douglas rzeczywiście zwlekał ze sprowadzeniem Dawida z powrotem do domu. Przyszła pora, żeby zdał z tego sprawę przed królewskim obliczem.

Ani Gavin, ani tercel nie wrócili wiosną.

Clare wyprawiała się z Drobłą na wzgórze samotnie. Jej wzrok kierował się na południe, a sokolica wydawał się równie osamotniona jak ona.

Powtarzała sobie, że Gavin jest wciąż w Anglii z konieczności, aby zawrzeć traktat na jak najlepszych warunkach dla Szkocji. Bez niego jednak znikł cały powab codzienności. Wspomnienie ich miłosnych nocnych igraszek nie nosło pociechy, przewracała się na łóżku, z wyrzutami sumienia, że mogła z nim robić takie rzeczy... i z niecierpliwością, że tak długo każe jej na siebie czekać.

Miesiące mijały i w końcu nie było go dłużej, niż trwało ich wspólne życie. Wspomnienia blakły, wątpliwości się wzmagaly.

Czy zamierzał w ogóle wrócić do domu? - powtarzała sobie coraz częściej to pytanie Clare.

Któregoś czerwcowego popołudnia zeszła do piwnicy, zastanawiając się, ile to już upłynęło dni, i uświadomiła sobie, że minął rok od ich ślubu.

Przyspieszone oddechy, stłumione jęki doszły jej uszu, ożywiając wspomnienia. Ale to była rzeczywistość. Euphemia i Walter, oboje półnaczy, kochali się w kącie. Clare zastygła. Jego poruszające się biodra, jej zamknięte oczy, wyraz ekstazy na twarzy. Żadne z nich nieświadome niczego poza sobą. Zupełnie jak zwierzęta, pomyślała z oburzeniem.

Poczuła jednak przyływ gorąca. Niechciane pożądanie zmieszało się z zażenowaniem, złością i wstydem. Zobaczyła w nich to wszystko, co było niewłaściwe w związku jej i Gavina. Zobaczyła swój upadek.

- Przestańcie!

Znieruchomieli, na ich twarzach odbiło się zaskoczenie. Euphemia spuściła głowę, Walter próbował zasłonić ją swoim ciałem.

- Wstańcie i ubierzcie się. - Odwróciła się do nich plecami i przycisnęła dłonie do oczu, przypominając sobie dotyk chłodnych palców matki, gdy chroniła ją przed nieodpowiednim widokiem. Ale do jej uszu docierał znajomy szelest ubrania ocierającego się o skórę i pospieszne pożegnalne pocałunki. - Wracajcie na górę. Później z wami porozmawiam.



Miała ochotę im nawymyślać, ale wszystkie słowa, które przychodziły jej na myśl, odnosiły się także do niej. Nie spodziewała się wiele po córce Murine, ale próbowała pokazać jej właściwą drogę, traktowała prawie jak krewną. To, jak się Euphemia zachowała, rzucało cień także na Clare. Co gorsza, nie dała dziewczynie właściwego przykładu.

Pomimo wychowania, które odebrała, poszła za głosem serca, a nawet jeszcze gorzej: za głosem ciała, tej grzesznej ziemskiej powłoki, i wmówiła samej sobie, że angielski bastard może być dobrym mężem!

Nikt nie wiedział, co ona i Gavin wyprawiali w zaciszu ich komnaty. Wystarczyło jednak, że zdawała sobie sprawę z grzechu. Złamała wszelkie reguły, które jej wpajano. Nie była lepsza od kobiet, którymi pogardzała, ani bardziej cnotliwa niż Murine czy Euphemia. Stojąc w ciemnej piwnicy i wsłuchując się w cichnące kroki dwojga młodych kochanków, poprzysięgła sobie, że gdy on wróci do domu, wszystko będzie wyglądać inaczej. Będą dzielić łóżko, ale ona zacznie znów zachowywać się jak na cnotliwą kobietę przystało.

Ciekawe, co na to Gavin? Będzie musiał udowodnić, że całym sercem chce żyć po tej stronie granicy!

Traktat został podpisany w październiku w Berwick. Gavin odetchnął swobodniej, dopiero gdy on i Dawid przejechali konno granicę. Odetchnął szkockim powietrzem, szukając zapachu domu.

Król był wolny. On też odzyskał nareszcie wolność.

Na rozjeździe dróg Dawid ściągnął wodze. Siedząc na koniu, wydawał się wyższy, wiatr rozwiewał mu włosy, sprawiał wrażenie, że wraz z przekroczeniem granicy zostawił za sobą cały bagaż dziesięciu lat niewoli.

- Muszę powołać radę - powiedział. - Potrzebuję ludzi, którym mogę ufać.

Gavin wiedział, że Douglas i Stewart niekoniecznie się do nich zaliczają, co nigdy nie mogło zostać głośno wypowiedziane.

- Lord Douglas z pewnością jest gotów wam służyć, panie.

Dawid skinął głową.

- Zostanie wyniesiony do godności hrabiego.

- Z pewnością to go zadowoli.

- Jesteś pewien, że nie chcesz jechać ze mną do Edynburga?
- Mam w domu sokolicę - odparł Gavin, potrząsając głową - gotową do lotu.
- Któregoś dnia znów pojedziemy na polowanie z sokołami...

Spletli w pożegnalnym geście wyciągnięte ramiona i Gavin skierował konia na zachód.

Nareszcie wracał do domu. Nie zamierzał z nikim dzielić sokolicy, która na niego czekała.

TLR

## Rozdział dwudziesty trzeci

Widok znajomych wzgórz rozpałił w nim pożądanie. Zacznie od pocałunków składanych na całym jej ciele. Będzie się z nią droczył, aż oszaleje z wyczekiwania, a wtedy...

Odpędził od siebie te myśli, kiedy zaczął zbliżać się do wieży. Angus, jak przystało na dobrego giermka, odebrał od niego wodze i zaprowadził jego konia do stajni. Baron, Murine i Euphemia zasypali go powitalnymi całusami i uściskami. W końcu pojawiła się jego żona i obdarzyła go oficjalnym uściskiem.

- Nie złamałeś żadnych reguł? - wyszeptała, używając szkockiego.

Uśmiechnął się. Posługiwała się szkockim, tylko wtedy kiedy witała powracających do domu z wypraw.

- Żadnej, o której bym ci chciał powiedzieć - odparł, jak kiedyś jej ojciec, a potem zagwizdał cicho, mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na jego spodnie.

Liczył na cieplejsze przyjęcie, a nie obdarzyła go nawet uśmiechem. Zamiast wycofać się do ich prywatnego azylu, musiał przez ponad godzinę zaspokajać ciekawość ludzi, domagających się relacji z dziesięciu miesięcy jego nieobecności i warunków zawartego traktatu.

Clare biegała pomiędzy sienią, kuchnią i pralnią, więc nie słyszała większości z tego, co mówił, dopiero gdy zbliżał się do końca relacji, przystanęła, aby posłuchać. Nie usiadła jednak obok niego i konsekwentnie unikała jego wzroku.

W końcu wymówił się znużeniem, którego nie czuł, złapał Clare za rękę i pociągnął ją w kierunku ich sypialni, ignorując znaczące uśmiechy, które wymienili baron i Murine.

Clare wchodziła po schodach powoli i nie odezwała się do niego ani słowem.

Być może wróciła jej dawna nieśmiałość. Da się to szybko odrobić, pomyślał. Ostatni raz, gdy się kochali, miała oczy szeroko otwarte, a jej usta... Przyspieszył kroku na samo wspomnienie.

Zamknął kopnięciem drzwi ich komnaty, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Położył się obok niej.

- Dłużej nie wytrzymam na twoim panieńskim łóżku - powiedział między pocałunkami, nogi zwisały mu poza materacem. - Potrzebujemy większego, dla nas dwojga.

W milczeniu wyciągnęła się, odsuwając lekko od niego. Gavin usiadł, ściągnął buty i ubiór. Był gotowy.

- Muszę cię mieć natychmiast, żono. Nasze zwyczajowe już zabawy poczekają.

Rozwiązał tasiemki jej sukni i zabrakło mu oddechu na widok jej piersi. Poznawał ją na nowo, okrywał pocałunkami jej biodra i brzuch. Wciąż jędrny, tak jak zapamiętał.

- Aż dziwne, że po tylu naszych zbliżeniach wciąż nie poczęliśmy dziecka - powiedział niewyraźnie z ustami tuż przy jej skórze, ale był z tego zadowolony. Gdyby urodziła, nie byłoby go przy tym, a tego na pewno by żałował. - Musimy nadrobić stracony czas.

Wkrótce da jej syna. Czas pokoju to czas zniw. Pod jego gorącymi wargami leżała wciąż nieruchomo, cicho, oczy miała zamknięte, nie po to jednak, aby lepiej czuć, ale by bronić się przed nim. Odsunął się i podparty na ramionach wpatrywał się w nią, aż w końcu otworzyła oczy.

- Co się dzieje? Coś się stało?

- Co miało się stać? - Uniosła brwi ze zdziwienia. - Co masz na myśli?

Z westchnieniem położył się na boku, podpierając na łokciu. Nie była w nastroju do miłości. Czy to przez miesięczną przypadłość? A może chciała najpierw omówić z nim domowe sprawy.

- Nie graj przede mną. Powiedz mi, co cię niepokoi. - Odsunął jej włosy z czoła, gotowy słuchać i pocieszać.

- Powiedz mi, jakie są warunki traktatu.

Aż jęknął.

- Nie usłyszałaś dosyć? - Gdyby wiedział, że to opóźni ich zbliżenie, dopilnowałby, żeby siedziała przy jego boku i wysłuchiwała wszystkich szczegółów.

- Nie wszystko. A muszę mieć pewność, że dobrze zrozumiałam.

Przekręcił się na plecy i nakrył oczy dłońmi. Miał nadzieję, że znajdzie dość siły, by panować nad sobą.

- Dawid został zwolniony, ustaliliśmy okup i listę zakładników, gwarantujących, że Edward dostanie zapłatę.

- Ile?

Materac poruszył się, gdy usiadła. Gavin splótł ręce na piersi i wyrecytował po raz kolejny:

- Sto tysięcy marek.

Przez chwilę patrzyła na niego z półotwartymi ustami.

- Ile powiedziałeś?

- Sto tysięcy marek.

- Zbierze się tyle w całej Szkocji?

- Taka jest cena za króla. Za francuskiego Jana zażądano osiem razy tyle. - W oczach Edwarda ranga Dawida po ustaleniu okupu natychmiast się zmniejszyła.

Ześliznęła się z łóżka poza zasięg jego ramion.

- Mówisz tak, jakby cię to cieszyło.

Westchnął i usiadł, krzyżując nogi, by zdusić podniecenie. Nie zanosilo się na krótką rozmowę.

- A ciebie ta wiadomość zmartwiła?

- Dlaczego miałby mnie unieszczęśliwiać powrót króla?

Zabrzmiało to sztucznie. Cierpliwości, cierpliwości, pomyślał.

- Oczywiście, że nie. Oczywiście. Czy te sprawy wielkiego świata nie mogą poczekać? - Wyciągnął rękę, mając nadzieję, że skieruje jej myśli na inne tory i zdoła usposobić bardziej przychylnie do miłości, ale ona odsunęła się.

- Kto zostanie królem, jeśli Dawid umrze bezpotomnie? Wiedział, że odpowiedź nie poprawi jej nastroju.

- Tego nie wyjaśnia traktat.

Zarówno Anglia, jak i Szkocja mogły ogłosić zwycięstwo, dopóki ten punkt pozostawał nieustalony.

- Czy Edward zrzekł się pretensji do szkockiego tronu?

- Nie.

- Nie! - Podniosła głos i zaczęła krążyć po komnacie. - Więc nie ma już mojego kraju! Jeśli zdołamy zapłacić ten okup, co w zamian kupimy? Kilka lat? A potem Edward znów wysunie roszczenia, bo tego pragnął od początku? - Roześmiała się gorzko. - Szkocji. A my mu jeszcze za to zapłacimy!

- Nie ma co do tego pewności. Dawid jest jeszcze wciąż na tyle młody, żeby mieć dzieci.

- Ma żonę od czasów młodości, przez tyle lat nie spłodził dziedzica, więc i teraz nie będzie żadnych dzieci - powiedziała pogardliwie, pewna swego.

Gavin westchnął i przypomniał sobie, że Dawid mówił to samo.

- Jak mogłeś do tego dopuścić?

Nie interesowały jej inne ustalenia, które z sukcesem wynegocjował. Że żadna ze stron nie poczyni kroków wojennych ani zaczepnych wobec siebie nawzajem. Że duchowni szkoccy mają prawo studiować w Oksfordzie. Że Anglia musi zaakceptować szkocką walutę, co w konsekwencji ożywi wymianę handlową. Opłaty papieskie też jej nie obchodziły!

- Nie sam ustalałem brzmienie traktatu. Byli ze mną ludzie Douglasa i Stewarta, król Dawid wszystko akceptował.

- Ale parlament trzy lata temu odrzucił to wszystko.

- Trzy lata temu wspierało nas francuskie złoto. Teraz mają do zapłacenia okup za króla. Nie będą finansować naszej wojny z Anglikami.

- Naszej? Nie masz prawa używać tego słowa!

- Owszem, mam! - Zerwał się na równe nogi, stali po przeciwnych stronach łóżka jak po obu stronach barykady. - Czy kochasz tylko połowę mnie? Tę szkocką?

Nigdy nie powiedziała, że go kocha! Znów była tą surową, osądającą kobietą, którą spotkał na wzgórzach.

- Powinnam to wiedzieć od początku. Wkradłeś się tutaj, żeby zdobyć nasze zaufanie. A teraz zdradziłeś lorda Douglasa.

- Ja zdradziłem Douglasa? - Gniew zajął miejsce pożądania. - To lord Douglas zdradził króla. Spędził przez niego dziesięć lat w niewoli, bo Douglas chciał rządzić. Tylko dlatego kilka lat temu nie zaakceptowano tych warunków. A mimo to Dawid nadał

mu tytuł hrabiego i nie mam wątpliwości, że Douglas go przyjmie. Obaj są usatysfakcjonowani. Dlaczego ty nie jesteś?

- Bo Szkot zawsze walczy o wolność! Zdetronizowalibyśmy nawet Bruce'a, gdyby ośmielił się oddać nas we władanie Anglii.

- Sokół, kiedy lata, nie widzi Szkocji czy Anglii. Widzi wyspę. Jeden obszar. Nie bardziej możliwy do podzielenia niż moje ciało. Czy warto prowadzić niekończącą się wojnę po to, żeby nikt nie stanął po drugiej stronie linii, której i tak nikt nie widzi?

- Tak - padła stanowcza odpowiedź.

Nie było sposobu przekonać jej, że te dwie nacje powinny żyć obok siebie w pokoju. Żadnego kompromisu. Potrafiła oceniać sytuację tylko z jednej perspektywy, którą wpajano jej od dzieciństwa.

- Nigdy im nie zapomnę, co zrobili Szkotom. Kościoły, pola, wszystko spalone.

Im. Anglikom, czyli jemu, dopowiedział w myślach. Próbował jeszcze ją przekonywać, chociaż wiedział, że to bezskuteczne, bo była głucha na argumenty.

- Krytykujesz Edwarda, ale przecież jego wrogowie robili to samo.

- Niby co? - Zamrugła oczami, zaskoczona.

- Słyszałaś o splądrowaniu Buchan?

Rumieniec zabarwiający powoli jej policzki powiedział mu, że tak.

- W takim razie wiesz, jak ojciec Dawida potraktował swoich wrogów. Także Szkotów. Zburzył domy, spalił zamki, zboża, bydło... Zabił wszystkich, którzy opowiedzieli się za przeciwną stronę, a resztę zostawił bez zapasów żywności i schronienia nad głową na ziemiach, które zasiedlali przez setki lat. - Gniew go ogarniał i sam nie wiedział, czy mówi do niej czy do siebie, ale nie potrafił dłużej milczeć nad tą sprawą. - Więc nie popadaj w wyniosłą pogardę dla czyniących zło Anglików. W czasie wojny wszyscy stają się źli, zdolni do popełniania czynów, o jakich normalnie nikomu się nie śni. W ferworze bitwy żaden mężczyzna nie myśli o przestrzeganiu rycerskich zasad. Tylko o tym, jak ochronić życie. - Oddychał ciężko. - Wszyscy chcemy żyć, Clare. To silniejsze niż potrzeba jedzenia, picia, oddychania i kochania się. I żeby chronić życie, zrobimy wszystko, wszystko... Rozumiesz?!

- Tak to tłumaczysz? Uważasz, że trzeba wybaczyć Anglikom, bo nie są gorsi od innych? Tego oczekujesz?

Złość zatrzęsała jego ciałem.

- Oczekuję, że wybaczysz przynajmniej mnie.

- Jak bym mogła? Ty i Edward... paliliście wszystko, nawet kościoły, nawet ludzi...

- Nie ja!

- Ale chciałeś to zrobić!

Wykorzystała jego wyznanie przeciwko niemu. On zdołał jakoś poradzić sobie z horrorem wojny. Zwalczyć mroczną stronę swojej natury i pogodzić się sam ze sobą. Ona tego nie umiała. Wciąż uważała go za potwora, zdolnego spalić kościół pełen niewinnych ludzi. Skoro mu nie ufała, znów był tym niepewnym, rozdartym człowiekiem, który dzierżył płonąca pochodnię przed kościołem w Haddington.

- Szkocja ani Anglia nie mają tu nic do rzeczy - zrozumiał wreszcie. - Chodzi o mnie. O angielską krew płynącą w moich żyłach.

- Inni... - zawahała się, szukając słów. - Inni, którzy robili te potworne rzeczy, o których mówiłeś, nie sypiali w moim łóżku.

Noce przepojone miłością i akceptacją. Pragnienia im tylko znane. Zbliżenie zacierające różnice pochodzenia. Niemożliwe, aby wszystko to było kłamstwem!

Objął ją, chciał, żeby ich ciała przemówiły, zaprzeczyły nienawistnym słowom. Jej ciało na pewno zapamiętało jego dotyk. Za długo go nie było. Kiedy się połączą, znów będzie jak dawniej.

Stała sztywno w jego ramionach.

- Przejmujesz się tym, co ludzie o mnie myślą. - Wreszcie prawda dotarła do twojego zakutego łba, pomyślał.

- Nie!

- Więc o co chodzi? - spytał, wpatrując się w jej oczy, w których nie było już zaufania. Tylko wstyd i wyrzuty sumienia z powodu tego, co oboje robili. - Bo nie o to, że mi nie ufasz. - Jej milczenie potwierdzało jego domysły. Zbyt długa rozłóżka rozbudziła na nowo jej obawy. - Chodzi o to, że nie ufasz sobie.



Zamknęła oczy i zacisnęła wargi. Wiedział, że ma rację. Wiedział też, że pocałunek, subtelny dotyk wyzwolą ją i znów zapragnie z nim wznosić się wysoko na skrzydłach rozkoszy. Ale nie chciał, aby stało się to w ten sposób.

Odepchnęła go, jakby знаła jego myśli i nie miała zamiaru pozwolić, aby jego dotyk złamał jej postanowienia.

- Miałam czas pomyśleć. Zdałam sobie sprawę z tego, co robiliśmy...

Dreszcz ją przeszedł i Gavin zrozumiał, że jej reakcja więcej mówi o tęsknocie i pożądaniu niż o odrazie. Otworzyła oczy, ich spojrzenia spotkały się. Zobaczył zimne, nieugięte szarozielone oczy, jakie znał z ich pierwszych spotkań.

- Przekroczyliśmy wszelkie granice. Nie jesteś mężczyzną, którego mogłabym kochać.

- Miłość nie znaczy doskonałość. To znacznie bardziej złożone uczucie. Rodzi się w nieznanym zakamarkach naszych serc. Dobro i zło są w nas wymieszane. To, z czego jesteśmy dumni, i to, czego nie chcielibyśmy ujawniać światu. Kiedy kogoś kochasz, to całego, z wszystkimi jego niedoskonałościami.

Stała milcząca i niewzruszona. Nie wyciągnęła ręki, by go dotknąć.

To, co mówili o nim inni, spływało po nim. Nie sądził, by jego życie trwało wystarczająco długo, żeby opinia o nim miała jakiegokolwiek znaczenie. Jedna bitwa wystarczyła, aby dojść do takiego przekonania. Ale przy niej zaczął myśleć o sobie nie tylko jak o rycerzu, którego powinnością było zabijanie. Zrozumiał, że można nie ulegać zbrodniczym impulsom, nawet ciemną stronę swojej natury wykorzystać do czynienia dobra.

Przywiózł do domu pokój, ale przez swoją zbyt długą nieobecność zniszczył ich relacje. Każdy lot oznacza wybór. Każdy lot to ryzyko. Z jej milczenia wywnioskował, że ją stracił.

- Dość tego. Nie będę cię dłużej nękał. - Podniósł sakwę, wciąż pełną wszystkiego, co ze sobą przedtem zabrał.

- Dokąd idziesz?

Nie usłyszał nuty ciekawości w jej głosie. Dokąd pójdzie? Co może robić rycerz, gdy wojna się skończy?

- Zrobić to, co najbardziej rycerski z rycerzy by zrobił - powiedział, usilnie starając się, aby szyderczy śmiech nie zabarwił jego słów. - Udam się do Anglii jako zakładnik Edwarda. W ten sposób jeden Szkot, w którego żyłach płynie czysto szkocka krew, wróci do domu. Oszczędzę któremuś z krewnych Douglasa długiego samotnego pobytu na obczyźnie.

A on sam znowu będzie człowiekiem zawieszonym między dwoma krajami, bastar-dem, nikim.

TLR

## Rozdział dwudziesty czwarty

Patrzyła na niego sparaliżowana poczuciem winy. Wszystko robiła źle. Od początku.

- Przecież przysięgałeś chronić te ziemie. Chronić mnie...

- Pokój cię ochrania.

- Uważasz, że Robson dba o pokój zawarty przez królów?

Przelotny wyraz bólu zniekształcił jego twarz.

- Gdyby zaatakowali znowu, będziesz myślała tylko o tym, czy im nie pomagałem.

Podszedł bliżej i Clare zacisnęła dłonie w pięści, z całej siły powstrzymując się, aby nie paść mu w ramiona i nie nadstawić twarzy do pocałunku.

Nie pocałował jej. Dotknął jej policzka, a potem przeciągnął ręką po włosach, ciasno dziś splecionych, tak by nie mógł ich tym razem łatwo rozluźnić palcami. Uniosła lekko twarz i zamknęła oczy, czekając.

Wiedziała, że gdy ją pocałuje, podda mu się. Zatraci się w jego ramionach, ulegnie jego pożądaniu, będzie mogła udawać, że to nie ona wybrała, że to on ją zmusił do robienia tego wszystkiego, co się między nimi działo.

Czekała.

Nie pocałował jej. Otworzyła oczy, a on cofnął rękę.

- Żegnaj, moja sokolico.

Chronił ją nawet teraz, udzielając kłamliwego wyjaśnienia. Wiedział od początku, że jest na liście zakładników. Nic im nie mówił, bo nie chciał zepsuć sobie i im radości powitania. Nie, nie może opóźnić wyjazdu. Ktoś musi zawieźć pierwszą część okupu do Anglii i właśnie on się na to zgodził. Przebył całą drogę powrotną, bo chciał raz jeszcze zobaczyć dom. Nie wie, kiedy wróci. To może potrwać lata.

Ludzie Carrów, rozczarowani i niezadowoleni, że tracą przywódcę, którego zaczęli darzyć niekłamanym szacunkiem, gromadzili się przy bramie, żeby życzyć mu szczęścia.

Nie dołączyła do nich.

Znowu samotna, Clare zaczęła sztywno przestrzegać wpojonych jej zasad, ale nie przynosiło jej to pociechy.

Wąskie łóżko wydawało jej się teraz zbyt szerokie i zimne. Sen, który tak łatwo spływał, gdy leżała w jego ramionach, teraz godzinami nie nadchodził.

Kilka tygodni później leżała skulona pod kocami, chociaż słońce dawno już wzeszło. Nie miała ochoty wstawać w ten chłodny późnojesienny dzień.

Nie odpowiedziała, gdy ktoś zapukał do drzwi, ale Murine i tak weszła i stanęła w nogach łóżka z groźną miną. Clare podciągnęła wyżej koce.

- Zostaw mnie samą. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Murine ściągnęła koce i przysiadła na łóżku.

- Ale ja mam ci coś do powiedzenia, więc posłuchaj. Clare usiadła z ociąganiem, przyciskając plecy do zagłówka i podciągając kolana pod brodę. Unikała Murine odkąd natknęła się na Waltera i Euphemie, ale gdyby teraz chciała jej się przeciwstawić, straciłaby tylko czas.

- Słucham.

- Walter i Euphemia chcą się pobrać.

Clare skinęła głową. Najwyższy czas. Dziecko ma się urodzić w marcu.

- Poślę po księdza.

- I daj znać Fitzjohnowi.

Brzmienie jego imienia ugodziło ją w samo serce.

- Nie jest już tutaj panem.

- Nie tobie o tym decydować.

- Jest z Anglikami, nie z nami, to oczywiste. Murine parsknęła pogardliwie.

- O to mogę ich obwiniać, nie jego.

- Traktat, który nam narzucił, nie przyniósł niczego dobrego, tylko kłopoty. To dowód, po której stronie granicy zostało jego serce.

Murine zrobiła sceptyczną minę i posłała jej znaczące spojrzenie.

- Ojciec się martwi. I nie o traktat.

- Czy to on cię tu przysłał?

W odpowiedzi potrząsnęła przecząco głową, ale Clare wiedziała już, że związek kobiety i mężczyzny to nie tylko połączenie ciał. Ojciec rzeczywiście nie musiał prosić Murine o to, by do niej przysłał.

- To jego wina, że poślubiłam tego człowieka. Przeklinam dzień, w którym go spotkałam.

- Naprawdę?

Clare kiwnęła głową.

- Gdyby nie zjawił się tutaj, poślubiłabym *le comte*.

- I to ty oskarżasz Fitzjohna o to, że zostawił serce po drugiej stronie granicy? Mówisz jak Francuzka, nie jak Szkotka. - Pokiwała głową i poklepała Clare po dłoni. - Poza tym nie bądź dziecinna. Francuz nigdy o ciebie nie poprosił, a gdyby to zrobił, dopiero byłabyś biedna.

Clare, urażona, cofnęła dłoń i skrzyżowała ramiona na piersi. Nic nie dało się tutaj ukryć.

- Fitzjohn nas opuścił, Murine. To koniec.

- Opuścił? Ja bym powiedziała, że to ty go skazałaś z powrotem na wygnanie.

Jakby parząca kula formowała się w jej gardle i Clare wybuchła:

- Zostawił mnie, Murine, zostawił mnie! - Łzy zaczęły płynąć, słowa same cisnęły się na usta: - Wiedziałam, co powinnam była robić, jaką kobietą być, ale nie udało mi się! - Jesteś doskonała. To jego słowa. Ale kłamał. Gdyby była doskonała, on wciąż by tu był. - Nie udało mi się...

Murine uściskała ją, a potem kołysała w ramionach, pozwalając się wypłakać.

- Jak nam wszystkim, kochanie. Nikt od ciebie tak wiele nie wymaga. - Potrząsnęła głową. - To zbyt duży ciężar dla nas, zwykłych, ziemskich grzeszników.

- Ale ja tak się starałam żyć zgodnie z ideałem damy... Niewystarczająco dla Alaina, niewystarczająco nawet dla Gavina. Jesteś doskonała, powiedział, kiedy zachowywała się zupełnie nie jak dama, kiedy odsłoniła się całkiem w jego ramionach, objawiając rozpustne pragnienia.

- Mnie się wydaje, że narzucasz sobie i innym więcej ograniczeń niż sam święty Piotr by zniósł. Trudno w ten sposób żyć i znaleźć szczęście.

Nieoczekiwanie Clare pomyślała o tym, ile jej matka wyniosła zasad i reguł z Francji. Usiadła i otarła oczy rękawem, zawstydzona, że płakała na oczach Murine.

- Wybacz mi. Masz rację, zachowuję się jak dziecko. - Uniosła głowę i wyprostowała się jeszcze bardziej usiłując zachowywać się jak na damę i panią na zamku przystało. - Walter i Euphemia dostaną moje błogosławieństwo i osobną chatę, zanim dziecko się narodzi. Czy coś jeszcze?

Murine westchnęła ciężko.

- Naprawdę odrzucisz szczęście tylko dlatego, że nie przyszło w zgodzie z tymi twoimi zasadami?

- To wszystko, Murine.

Wyszła, kręcąc głową. Nawet gdyby spróbowała jej to wytłumaczyć, Murine nie zrozumiałaby. Zasady i reguły były jej orężem, ich przestrzeganie gwarantowało, że nic złego się nie wydarzy, że ona już nigdy więcej nikogo nie utraci. Złamała je, dopuszczając do tego, by w sokołarni wykluły się pisklęta. Ostrzegano ją, ale to zignorowała. Kara przyszła szybko. Jeden ptak był bezużyteczny, drugi zniknął.

Z Gavinem od początku, od momentu gdy zobaczyła go wynurzającego się z mgły, postępowała nie tak, jak powinna... A jeśli to Murine miała rację, poczuła rodzące się wątpliwości. Może rzeczywiście zmusiła go do udania się na wygnanie przez to, że chciała mu narzucić reguły, których nikt nie przestrzegał?

Zdała sobie sprawę z tego, że wpatruje się w czerwono-złotą tapiserię. Po raz pierwszy dostrzegła, jak jest nijaka i niestarannie utkana. Zwinęła ją, schowała głęboko do skrzyni, a następnie ubrała się.

Trzeba posłać po księdza do Jedburgha. Fitzjohna postanowiła nie zawiadamiać.

W końcu listopada deszcz przestał padać, mgła się rozproszyła i Clare wyjechała na polowanie. Nie udało jej się spłoszyć żadnej zwierzyny, choć Angus pilnie jej wypatrywał.

Konie zwolniły do stępa, a ona spojrzała na sokolicę i nagle pomyślała, że jest okrutna. Ptak miał polowanie w naturze, ale był głodzony, aby zabijać na rozkaz. Wszystko wywrócone do góry nogami. Odkąd tercel pojawił się w sokołarni, wszystko się zmieniło. Może przy nim sokolica odkryła, że nie jest stworzona tylko do zabijania na żądanie, aby spełniać życzenia człowieka. Może poznała, jak to jest latać bez kapturka, pęt i dzwoneczków.

Clare patrzyła na Drobna, jej najwierniejszą towarzyszkę.

Jak mogła umieścić wszystkie swoje nadzieje i miłość w tym skrzydlatym stworzeniu, gdy trafił jej się mężczyzna z krwi i kości, który zaufał jej na tyle, by powierzyć jej najmroczniejsze sekrety swojej duszy? Ona nie okazała mu nawet na tyle zaufania, aby wierzyć, że dochowa złożonej przysięgi.

Sokoły łączą się na całe życie, tak jej powiedział w dzień ich wesela. Tymczasem ona posłała go na wygnanie. Została sama, tak jak wtedy gdy była dzieckiem. Tak jak przez całe swoje dotychczasowe życie. I nieistotne, co robiła, jak bardzo się starała być doskonałą - to nie wystarczało.

Z Drobna także nie zrobiła wszystkiego jak należało. Złamała bardzo ważną regułę. Zatrzymała ją zbyt długo.

- Angusie, pojedziemy do Hen Hole.

Nie spodobało mu się to, ale nie dyskutował. Im wyżej wjeżdżali, tym zimniej się robiło, ale Clare nie zawróciła, owinęła się tylko szczelniej peleryną.

Dotarli na wierzchołek góry, po przeciwnej stronie zbocze opadało stromo, poniżej leżała Hen Hole. W głębokiej rozpadlinie górski strumień zmierzał ku bardziej przyjaznej dolinie. Łatwo stąd było ulecieć, zjazd konno był niebezpieczny.

Clare rozejrzała się po wzgórzach z dziecinną nadzieją, że tercel czeka gdzieś tutaj na swoją towarzyszkę. Jakby jego obecność miała ją utwierdzić w przekonaniu, że dobrze robi.

Niebo było beznadziejnie puste. Zaczęła niezdarnie zdejmować kapturek, palce miała zeszywniałe z zimna.

- Co wy robicie, pani Clare? Tutaj nie ma nic do upolowania.

Powiew wiatru szarpnął pętami, dzwoneczki zadźwięczały. Clare, już spokojna i zdecydowana, zaczęła odwiązywać pęta.

- Podaj mi torbę z jedzeniem, Angusie.

- Ale jeśli ją nakarmicie, może nie wrócić.

- Wiem. Zamierzam ją wypuścić.

- Przecież to wasza ulubienica!

- Tak. Właśnie dlatego chcę ją wypuścić. - Chcę, by miała wybór. Ciepły, bezpieczny dom w sokolarni czy życie, do jakiego została stworzona. Szansę na odnalezienie tercela i latanie z nim razem pośród stromych, poszarpanych grani, gdzie sokoły gniazdują, i na terenach bliżej morza, gdzie spędzają zimę.

Sięgnęła do torby i wyciągnęła pierwszy kasek. Sokolica, nieprzyzwyczajona do karmienia, jeśli nie polowała, z początku nie wzięła go. Clare podsunęła go jej znowu. Tym razem go pochwyciła. Kolejne również, aż Clare poczuła, że ptak ciąży jej bardziej na nadgarstku.

Wzięła głęboki oddech. Drobna będzie mogła przetrwać tych kilka dni, zanim przypomni sobie, jak polować bez pomocy ludzi.

Przekazała sokolicę Angusowi i zsiadła z konia. Odebrała od niego ptaka i ostrożnie zrobiła kilka kroków dzielących ją od śliskiej, stromej grani. Wiejący prosto w twarz wiatr rozwał jej włosy, splątał ich pasma, porywając je do tyłu. Drobna siedziała na nadgarstku, tak jak ją wytrenowała, chociaż nie miała już kapturka i nie przytrzymały jej pęta. Clare pogłaskała nakrapianą podłużnymi kreskami białą-czarną pierś ptaka, rozkoszując się po raz ostatni miękkością piór.

- Wracaj do domu, Drobna, jeśli chcesz. W sokolarni zawsze będzie dla ciebie miejsce.

Ptak przekręcił głowę, jakby chciał ją lepiej słyszeć, ale Clare wiedziała, że mówi sama do siebie. Spojrzała w bystre oczy i uniosła dłoń w rękawicy. Ptak zaczął krążyć nad jej głową, niepewny, co ma robić. Nigdy przedtem nie został nakarmiony przed polowaniem ani wypuszczony, gdy nie miał ofiary w zasięgu wzroku.

Może polecą za mną z powrotem do domu, pomyślała Clare, ale szybko porzuciła płonną nadzieję. Sokolica zakreśliła jeszcze jedno kółko i odleciała na południe.

- Już jej nie ma, pani Clare - powiedział Angus.

Oszołomiony, wpatrywał się w puste niebo.

- Tak ma być, Angusie. - Jeszcze jedna droga jej istota, którą więziła przy sobie zbyt długo. Chłopiec dorósł na tyle, aby zacząć jako giermek uczyć się rycerskiego rzemiosła. - Ojciec rozmawiał z lordem Douglasem. Zgodził się, abyś dołączył do jego ludzi.



Jego pełen wdzięczności uśmiech złagodził nieco uczucie pustki.

Przytrzymał jej konia, a gdy Clare wsiadła, ruszyli oboje z powrotem na północ. Jechali w milczeniu, tylko świst wiatru wdzierał się w jej myśli. Ona też musi nauczyć się latać bez kapturka, pęt i dzwoneczków. Potrzeba jej tyle odwagi, ile okazała Drobna, wybierając swobodny lot zamiast bezpiecznej niewoli.

Miłość to złożone uczucie. Czy będzie go potrafiła kochać takim, jaki jest? Czy on będzie ją potrafił taką kochać.

Żeby się o tym przekonać, musi złamać wszelkie reguły, jakie jej wpojono i go odnaleźć.

TLR

## Rozdział dwudziesty piąty

*Anglia, styczeń 1358*

- W Anglii jest zimniej niż w Szkocji.

- Nie jest. Anglia leży bardziej na południe. Zawsze jest cieplej na południu.

Gavin dołożył polano do paleniska, nie zabierając głosu. Nie zamierzał brać niczyjej strony w dyskusji swoich towarzyszy na wygnaniu. Przejmująco wilgotne styczniowe powietrze wciskało się do wnętrza zamku Odiham. Zimniejsza czy cieplejsza, Anglia na pewno nie była jego domem. A jeśli obawiał się, że Edward go zwolni ze względu na pamięć ojca, mylił się.

Był zresztą z tego zadowolony. Jego dwaj towarzysze, Stewart i Ross, nie ukrywali zdziwienia, gdy się zjawił w zamian za kuzyna Douglasa, który otwierał listę zakładników.

- Dlaczego ty?

Wszystkie argumenty, którymi usiłował przekonać Dawida, przemknęły mu przez głowę. Bo to złagodzi gniew Douglasa. Bo udowodnię, że jestem lojalny wobec Szkocji. Bo jestem pół-Anglikiem. Bo odkupię winy ojca... Bo ona mnie dłużej nie chce.

- Tyle mogę zrobić, żeby zwrócić Szkocji prawowitego króla. Co mógłbym robić, siedząc dalej na granicy?

- Popijać dobry brogat i kochać swoją kobietę - powiedział Ross.

Nie było na to dobrej riposty. Jego małżeństwo i związane z nim nadzieje to przeszłość. Podobnie jak król Dawid i jego żona Joan będą żyli osobno, bo Clare nie może dłużej ścierpieć jego widoku.

Wracając do zamku Odiham, jakby cofnął się w czasy młodości. Życie zakładnika było zdecydowanie lepsze niż więźnia wtrąconego do lochu, ale dla Gavina Odiham nie był bardziej przyjazny niż Tower w Londynie.

Był znów na wygnaniu, ale czy Szkocja naprawdę była jego domem?

Wzgórza z charakterystyczną dla nich zmienną pogodą, oszukująca wzrok gra światła i cienia, zapach wrzosowisk, umilający dni jesieni. Tęsknił za tym wszystkim... i nie tylko za tym.

Z początku trzymał pod poduszką zaszuszoną lawendę tak by pokój chociaż odrobinę przesiąkł zapachem domu, ale po tygodniu wyrzucił ją. Zbyt boleśnie przypominała mu, co stracił.

Dawid zostawił swojego sokoła i Edward wielkodusznie zezwolił na ostatnie polowanie na zakończenie sezonu przed nadejściem zimy. Sokół, wart króla, nie umywał się do Drobnej. Rozmyślania przerwał mu giermek, który stanął w drzwiach.

- Jest ktoś do sir Gavina Fitzjohna - powiedział zdenerwowany. - Kobieta.

Przez chwilę jego towarzysze patrzyli na niego w milczeniu, a potem Ross wybuchnął śmiechem.

- Jak widzę, znalazłeś sposób, by mieć jeśli nie brogat, to przynajmniej kobietę.

- Powiedziała, kim jest? - Nie przychodziła mu do głowy żadna kobieta w całej Anglii, którą mogło obchodzić, że on jest tutaj.

Giermek potrząsnął głową.

- Ale powiedziała, że chce się z wami widzieć na osobności.

Teraz obydwaj, Ross i Stewart, gwizdnęli, a na twarzy tego ostatniego pojawił się wyraz niekłamanej zazdrości.

- Zaproś ją do mojej komnaty - powiedział Gavin, zadowolony, że Edward zapewnił im osobne pomieszczenia. Jeśli to któraś z jego dawnych znajomych chciała wznowić ich zażyłość, wołał nie narażać jej na publiczne upokorzenie odmową. Z drugiej strony, podobno Joan wróciła do Anglii. Może miała dla niego wiadomość od Dawida, nieprzeznaczoną dla postronnych uszu.

Wszedł do swojej komnaty, rozejrzał się wokół. Nie było wiele do uporządkowania przed niespodziewaną wizytą. Dziwne, ale zapach lawendy wciąż utrzymywał się w powietrzu, chociaż wyrzucił ją kilka miesięcy temu. Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę.

W otwartych drzwiach stała Clare. Na jej twarzy pojawił się uśmiech na widok jego zdziwionej miny.

- Moja droga, Clare - zaczął, nie całkiem wiedząc, jak zdołał wydobyć z siebie głos - wygląda na to, że znalazłaś się po niewłaściwej stronie granicy.

- Uczciwie mówiąc, mój mężu, nawet nie wiem, kiedy ją przekroczyłam - powiedziała, rzucając mu spojrzenie, w którym nieśmiałość mieszała się z pewnością siebie. - Straciłam ukochanego tercela, który za nic miał granice, i musiałam odbyć długą podróż, aby go odszukać i sprowadzić do domu.

Pomyślał, że powinien jej udzielić wyjaśnień na temat królów i traktatów, ale zamiast tego po prostu na nią patrzył.

- Ale ten tercel należy teraz do króla, który go nie odda - odezwał się w końcu, serce mu biło szybko, w ustach zaschło. - Nie złamałaś żadnych reguł? - spytał.

- Parę, o których muszę ci powiedzieć. - Uśmiechnęła się. - Rozmawiałam z królem. Z obydwoma nawet. Zrozumieli, że sokolnik i sokół są sobie poślubieni. I że gdy ptak odlatuje, sokolnik ma złamane serce.

Czyżby udała się na dwa królewskie dwory, żeby go odzyskać?

- Może jeśli gwizdniesz, ptak wróci na twój nadgarstek - zdołał wypowiedzieć głosem zbliżonym do szeptu.

Ułożyła usta do gwizdu. Nie wydobył się z nich przenikliwy, wysoki dźwięk, którym przywoływała Drobna, tylko zmysłowy trel, jaki Gavin wydawał tylko wtedy, gdy byli razem. I ożywił jego wspomnienia.

Gavin zrobił krok w jej kierunku. Chciał ją wziąć w ramiona, ale zląkł się, jak nigdy dotąd w żadnej z bitew. Nie bał się śmierci, ale nie zniósłby, gdyby znów ją stracił.

- Ten tercel, którego szukałaś, nigdy nie będzie bez skazy.

- Zrozumiałam, że doskonałość nie leży w przestrzeganiu reguł, tylko wierności własnej naturze. Twoja ma dwie strony, jasną i mroczną. Szkocką i angielską. I w tym jesteś doskonała.

- Tak jak ty, moja sokolico. - Będzie jej to powtarzał bez końca, aż mu wreszcie uwierzy. - Tobie najbliższej do doskonałości. Nauczyłaś się szybować wyżej niż ktokolwiek inny.

# Epilog

## *Wieżyca Carrów, wiosna 1359*

Krzyczała z rozkoszy, a kiedy już wróciła jej przytomność umysłu, leżał podparty na łokciu, uśmiechał się do niej i wpatrywał w nią, jakby była ósmym cudem świata. Dała mu żartobliwego kuksańca.

- A to za co? - spytał z miną niewiniątka.

Pocałowała go, a kiedy wreszcie ich wargi się rozłączyły, przeciągnęła się pod kołdrą.

- Anglik.

- Francuzka.

Nachylił się nad nią i polaskotał ją, a ona zaprotestowała radosnym okrzykiem, jak dziecko, przestraszone dla zabawy.

Zimę spędziła razem z nim w Anglii, a gdy napłynęła część okupu za Dawida, Edward pozwolił im wrócić do domu. Podczas tego krótkiego okresu na obczyźnie odkryła, że nie wszyscy Anglicy są wcielonymi diabłami, a nie wszyscy Szkoci są święci. I że pokój jest takim samym błogosławieństwem jak rodzinna ziemia.

- Nie mogę się cały dzień wylegiwać w łóżku. Muszę się wziąć do pracy i przygotować wypieki na Beltane, bo z Euphemii niewielki będzie pożytek w tym roku.

Euphemia kilka dni temu powiła swojemu mężowi drugiego syna.

- A my będziemy się potykać pod gwiazdami - wyszeptał gorącym szeptem wprost do jej ucha, co miało taki skutek, że pozostali w komnacie jeszcze dłuższą chwilę.

W końcu uścisnął ją i zaczęli powoli zbierać się, żeby wstać.

- Pomyśleć, że tylko długoletniemu wygnaniu króla Dawida zawdzięczam to, że cię mam. To niewiarygodne.

- Co masz na myśli?

- Obietnicę Douglasa, że twój ojciec będzie mógł wybrać ci męża.

Clare usiadła na łóżku.

- To moja matka umierając, wyraziła życzenie, aby ojciec wybrał dla mnie męża.

Teraz Gavin także usiadł na łóżku i spojrzął na nią pytająco.

- Twoja matka? Mnie powiedział, że to z powodu śmierci twojego brata i pojmania Dawida.

- Jakiego brata?

Nagle oboje jednocześnie zrozumieli. Zerwali się oboje na równe nogi i narzucili na siebie tylko tyle ubrań, ile wymagała przyzwoitość, aby pokazać się w holu. Podbiegli do drzwi komnaty barona. Gavin zabębnił w nie i nie czekając na odpowiedź, otworzył, bez względu na to, co mogło dziać się w środku.

- Skłamałeś...

- Ty przebiegły, podstępny...

- Wymyśliłeś całą tę historię!

- Obie! Jak to było naprawdę? - spytała Clare, zadyszana, gdy przeszła pierwsza fala złości.

Ojciec, siedzący razem z Murine przed paleniskiem roześmiał się głośno.

- W końcu to odkryliście, co? Miałem szczęście, że tak zawzięcie ze sobą walczyliście, inaczej przyłapałibyście mnie wcześniej.

Wtedy i ona, i Gavin też się roześmiali, a baron po chwili do nich dołączył.

- No dobrze - powiedział w końcu - oto cała historia. To, że spoilem Douglasa i wprawiłem go w dobry nastrój, jest prawdą. Ale nie mogłem mu przypomnieć o obietnicy udzielonej żonie czy nawet mnie, bo nie było żadnych synów. Zagrałem więc z nim w kości.

- Ryzykowałeś moją przyszłość w grze?

- Gdybym przegrał, twoja przyszłość byłaby dokładnie taka sama jak przedtem. Przedstawiłby kilku kandydatów odpowiadających jego zamiarom, którzy mogliby dbać o nasze ziemie tyle, co o zeszłoroczny śnieg. Chciałem kogoś, kto uważa, że tu jest jego miejsce. - Uśmiechnął się. - I znalazłem.

Gavin objął ją ramieniem i skinął twierdząco głową. Clare spojrzała na niego z uśmiechem. Obawiała się oddać mu serce, bo nie mogła znaleźć, w jego ramionach bezpieczeństwa, którego tak usilnie szukała. Potem pogodziła się z naturą Gavina.

Od tamtej pory byli jak wędrowne sokoły, które złączyły się na całe życie, i wiedziały, że zawsze będą do siebie wracali.

Jeszcze tego samego ranka znalazła chwilę, żeby przystanąć i spojrzeć w niebo. Płynęły po nim z rzadka lekkie chmury, czuło się ciepło w wilgotnym powietrzu. Pachało wiosną.

Nowa sokolarnia stała pusta. Clare nie była gotowa na szkolenie nowego ptaka. Zamierzała dopiero latem poszukać w Hen Hole jakiegoś sokoła.

Wysoko na niebie pojawił się nagle ptak, a po chwili drugi. Zwężała oczy i zamrugała powiekami, starając się rozpoznać ich kształty. Nie chciała uwierzyć, ale obydwa podleciały do wieży i przysiadły na dachu sokolarni.

- Wróciłyście do gniazda - wyszeptwała.

Drobna odnalazła swojego towarzysza. Latem Clare postanowiła poszukać nowego gałęźnika do szkolenia.

Ptaki odleciały, a Clare weszła do domu.

W sierpniu, jeśli Murine się nie myliła, ona i Gavin będą mieli swoje własne pi-skłę.

